KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Nr 6/140 1959



« La Culture » • Revue mensuelle •

FUNDUSZ STYPENDIALNY
nienia ALBINA RADOMSKIEGO

MIEROSZEWSKI :
NAJWAŻNIEJSZY Z WAŻNYCH

CHCIUK :
AJNOWSZA EMIGRACJA W AUSTRALII

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Inż. Józef Lubański, Pine Crove, Cal. (U.S.A.) ponownie ..	1.250 frs
J. Pietrasz, Schenectady, N.Y. (U.S.A.)	5.000 ,,
Kazimierz Rasiej, Bogota, N.J. (U.S.A.) ponownie	750 ,,
Ks. Donald Malinowski, Little Falls, N.Y. (U.S.A.)	2.000 ,,
Franciszek Socha, Milwaukee, Wis. (U.S.A.)	3000 ,,
Bezimiennie z Polski	8.000 ,,

DZIĘKUJEMY



NA AKCJĘ KULTURALNĄ "KULTURY"

Bezimiennie, Bronx N.Y. (U.S.A.)	2.500 frs
Frank Parszuto, Brooklyn, N.Y.	750 ,,

DZIĘKUJEMY



NA "SECRET POLICE FUND"

Charles E. Merrill Jr., Boston, Mass. (U.S.A.)	44.986 frs
A. Mieczysławska, New York, N.Y. (U.S.A.)	2.500 ,,
Jiri T. Kolaja, Lexington, Ky (U.S.A.)	2.500 ,,
Stefan Korboński, Washington, D.C. (U.S.A.)	5.000 ,,

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France.

Najważniejszy z ważnych

Być może za lat pięćdziesiąt Chiny przysłonią wszystkie inne zagadnienia polityczno-gospodarcze świata. Być może za pół wieku pojawią się przed nami zagadnienia zupełnie nowe, które całkowicie zrewolucjonizują współczesny system polityki międzynarodowej. Niemniej, jestem głęboko przekonany, że w chwili obecnej problem Niemiec jest najważniejszy z ważnych. Jest ważniejszy i groźniejszy niż wszystkie problemy Azji z Chinami włącznie.

Rzeczywiste problemy polityczne są zawsze proste. Problem niemiecki nie stanowi wyjątku od tej reguły. Istnieją dwie republiki niemieckie, które należą do dwóch wrogich obozów. Obie strony w sporze, tj. zarówno Waszyngton jak i Moskwa, nie tracą nadziei, że powiedzie im się w sprzyjających okolicznościach zjednoczyć Niemcy i włączyć do swego obozu. Jeżeli Chruszczow oznajmia, że nie pragnie zjednoczenia Niemiec oznacza to jedynie, iż nie chce zjednoczenia na warunkach zachodnich, natomiast nie miałby nic przeciwko zjednoczeniu Niemiec na warunkach sowieckich. W tej chwili żadna ze stron nie dąży do zjednoczenia Niemiec ponieważ ani Rosjanie ani Amerykanie nie czują się na siłach, by zjednoczyć obie republiki na swoich warunkach. Byłoby jednak błędem przypuszczać, że Rosjanie raz na zawsze zrezygnowali z planów zjednoczeniowych. Wprost przeciwnie, ich inicjatywa berlińska zmierza do wzmocnienia postawy wyjściowej w tym właśnie kierunku. Nie ulega wątpliwości, że długofalowym celem polityki sowieckiej jest porozumienie rosyjsko-niemieckie i włączenie zjednoczonych Niemiec do obozu państw komunistycznych. Nie należy nigdy o tym zapominać.

Rosjanie nie śpieszą się, ponieważ czas środkowoeuropejski jest ich sojusznikiem. Można sobie wyobrazić, że Niemcy z czasem pogodzą się z utratą Wrocławia. Nie pogodzą się jednak nigdy z utratą Drezna. Żaden zachodnio-niemiecki mąż stanu,

ani żadna partia polityczna nigdy nie będą mogli skreślić pc stulatu zjednoczenia z swego programu.

Rosjanie nie ryzykując wojny — w ramach obecnych możl wości — mogą podjąć inicjatywy, które wpłyną na całokszta problemu niemieckiego. Jeżeli zawrą oddzielny traktat pokojow z wschodnimi Niemcami to NRD stanie się suwerennym pań stwem. Ulbricht zostanie uznany wówczas nie tylko przez wszy stkie państwa obozu komunistycznego, lecz również przez więk szość państw neutralnych. Uznanie NRD będzie obejmowało za razem uznanie jej granic, a więc i granicy na Odrze i Nysie NRD znajdzie się wówczas w uprzywilejowanej pozycji, ponie waż będzie miała traktat pokojowy z drugim mocarstwem świat i tym samym zechce występować na zewnątrz jako historyczn dziedzic niemieckiej państwowości.

Teoretycznie, Amerykanie i ich zachodni sojusznicy moglib odpowiedzieć na inicjatywę sowiecką zawarciem odrębnego trak tatu pokojowego z rządem w Bonn. Ale w praktyce jest to nie wykonalne. Mocarstwa zachodnie, choć na ten temat zachowuj dyskretne milczenie, pogodziły się już dawno z granicą na Odrz i Nysie. Gen. de Gaulle wypowiedział odważnie pogląd ogólni przyjęty. W sumie należy stwierdzić, że lojalność Niemiec oku piona jest dwiema fikcjami. Fikcja Nr 1 — to zjednoczen Niemiec na warunkach zachodnich. Fikcja Nr 2 — to ustalen granic traktatem pokojowym, podpisanym z rządem ogólno-ni mieckim. Inicjatywa sowiecka zmierza do ostatecznego wyek plodowania tych dwóch mitów. Innymi słowy, Chruszczow ch przekonać Niemców, że tak zjednoczenie jak i ewentualna „k rektura" granic są możliwe tylko via porozumienie z Moskw

Oczywiście Niemcy zachodni mogą z czasem dojść do ro sądnego wniosku, że wojnę przegrali i muszą ponieść związan z tym konsekwencje. Mogą, do czasu, zadawalać się mglistyr nadziejami, że kiedyś sytuacja ulegnie poprawie i wówczas m carstwa zachodnie wymuszą na Rosji konkretne ustępstwa. Ta było do tej pory, ale układ opierał się nie na jakiejś koncep politycznej, ale na osobistym autorytecie dwóch ludzi: Adenaue i Dullesa. Dulles jest ciężko chory a kanclerz Adenauer jest wieku bardzo podeszłym. Zaufanie i przyjaźń, jaka łączyła ty dwóch mężów stanu — stanowiła fundament sojuszu niemieck amerykańskiego. Jeden z poważnych tygodników amerykań skich stwierdził niedawno, że Adenauer formował polity amerykańską w stosunku do Niemiec, a Dulles w znacznej mi rze kierował politykę niemiecką w stosunku do Ameryk Owa „entente cordiale" opierała się na dwóch eleme tach: po pierwsze na olbrzymiej pomocy gospodarcze która w znacznej mierze umożliwiła niemiecki „cud ekon miczny" i po drugie na osobistej przyjaźni dwóch czoł wych mężów stanu obu narodów. Politycznie ten sojusz je pusty. Zachodni sojusznicy Niemiec nie będą mogli nigdy zrea zować na drodze pokojowej, programu zawartego w deklara

berlińskiej z lipca 1957. Na ten temat nikt nie ma złudzeń ani w Londynie, ani w Paryżu, ani w Waszyngtonie.

Między celami NATO a podstawowymi postulatami politycznymi Niemiec istnieje sprzeczność. Sprzeczność tę przysłania się frazesami, z których utkana jest cytowana powyżej deklaracja berlińska. NATO jest sojuszem obronnym i tylko obronnym. Jego funkcją jest obrona status quo. W interesie NATO leży by Niemcy były podzielone, bo tylko podział Niemiec gwarantuje uczestnictwo Federalnej Republiki w Sojuszu Atlantyckim.

Gdy w polityce niemieckiej era Dulles-Adenauer dobiegnie kresu, owe podstawowe sprzeczności wystąpią z całą siłą. Wówczas Niemcy dojdą do wniosku, że udział w NATO nie tylko nie gwarantuje im zjednoczenia, lecz, wprost przeciwnie, gwarantuje permanentny podział Niemiec.

Już dziś zresztą rodzą się w Federalnej Republice koncepcje, które winny pobudzić do refleksji zachodnich polityków. Socjaliści wysunęli plan stopniowego zjednoczenia Niemiec. Plan przewiduje powołanie parytetowych organów po obu stronach barykady, tj. w zachodnich i wschodnich Niemczech. Jest rzeczą charakterystyczną, że komuniści wschodnioniemieccy początkowo odnieśli się do planu socjalistów niezmiernie krytycznie, lecz za radą Sowietów zmienili front. Ulbricht wysłał specjalne pismo do socjalistów zachodnioniemieckich sugerując wspólne rozmowy w sprawie zjednoczenia. Z informacji, którymi dysponuję w chwili pisania niniejszego artykułu, wynika, że socjaliści zachodnioniemieccy odrzucili propozycję Ulbrichta. Ale któż zaręczy czy analogicznej propozycji nie przyjmą za pół roku? Chruszczow woli w tej chwili posługiwać się Ulbrichtem — zależy mu bowiem wyraźnie na podniesieniu prestiżu rządu NRD. Lecz, również ze względów prestiżowych, socjalistom zachodnioniemieckim trudno jest konferować z Ulbrichtem. Chruszczow w swej taktyce wykazuje wiele giętkości. Za pół roku czy za dziesięć miesięcy już nie Ulbricht, ale sam Chruszczow może wystosować zaproszenie do socjalistów zachodnioniemieckich. Ci sami panowie, którzy nie kwapią się do rozmów z Ulbrichtem, czuliby się pochlebieni zaproszeniem Chruszczowa.

Osobiście nie stawiam żadnych horoskopów, ale uważam za możliwe, że w pewnej sytuacji Chruszczow zdecyduje się na podjęcie bezpośrednich rozmów z socjalistami zachodnioniemieckimi. Obiektywnie należy podkreślić, że ich plan zjednoczeniowy — starannie tuszowany przez prasę anglosaską — jest jak dotąd jedyną realną koncepcją zjednoczeniową wyprodukowaną w zachodnich Niemczech. Podjęcie rozmów z socjalistami umożliwiłoby Chruszczowowi bezpośredni wpływ na wewnętrzną politykę Niemiec zachodnich.

Należy również pamiętać, że w krajach w których polityka formułowana jest w mniejszym lub w większym stopniu autorytatywnie zawsze jest możliwy nagły zwrot w opinii publicznej. W polityce nie ma ludzi nie do zastąpienia — nie oznacza to jednak, że wielcy mężowie stanu znajdują swoich kontynuatorów.

Przeważnie ich nie znajdują i zamiast kontynuacji następuj zmiana. W Niemczech nagły zwrot w politycznej orientacji spo łeczeństwa jest bardziej możliwy niż gdziekolwiek indziej.

Amerykanie odrzucają wszystkie projekty ,,disengagement'' neutralizacji itp., ponieważ pragną zatrzymać Niemcy zachodni w orbicie NATO. Wydaje im się również, że obecna form organizacyjna NATO zapewnia amerykańskim siłom zbrojnym korzystny układ baz i punktów oparcia na kontynencie euro pejskim.

Autorzy wszystkich planów neutralizacyjnych nie zdołali d tej pory przekonać Amerykanów, że podtrzymywanie status qu jest bardziej ryzykowne i wojskowo mniej korzystne niż neu tralizacja. Jest oczywiste, że dopóki Amerykanie nie dojrz własnego interesu w rozwiązaniu po tych liniach — wszystki plany neutralizacyjne posiadają jedynie wartość makulatury.

W niniejszym artykule ,,Kultura'' pragnie przedstawić pew ne sugestie i argumenty, które mogą ocenić tylko ludzie o do kładnej znajomości sytuacji we wschodniej Europie. Wydaj się, że ten zespół argumentów uszedł — jak dotąd uwadze ame rykańskich i zachodnioeuropejskich znawców przedmiotu.

Wszyscy autorzy planów ,,disengagement'' — nie wyłą czając Mendès-France'a, który wystąpił ostatnio z projekte ,,trzech stref'' w Europie środkowej — wychodzą z mylnej ana lizy sytuacji. Politycy ci przyjmują bowiem za podstawę ocen fakt, że zarówno blok NATO jak i blok Warszawski — to s dwie monolityczne organizacje politycznowojskowe, oddzielon od siebie ,,żelazną kurtyną''. Stojąc na tym stanowisku trzeb by przyznać rację Amerykanom i uznać, że Niemcy stanow trzon sił NATO i wskutek tego byłoby błędem demilitaryzowa Republikę Federalną.

W swoim czasie Dulles przeciwstawiał tzw. ,,polityce pow strzymywania'' politykę ,,wyzwolenia''. Polityka ,,wyzwolenia okazała się nierealna — niemniej przecież, studiując wypowied polityków amerykańskich, dochodzi się do wniosku — że Am rykanie mimo, iż porzucili politykę ,,wyzwolenia'' liczą nad na przyjaźń i lojalność narodów ujarzmionych. Gdyby było inacz nie wydawaliby gigantycznych sum na propagandę, stypend i wszelkiego rodzaju pomoce.

Co należy w praktyce rozumieć przez życzliwość narodó ujarzmionych w stosunku do Ameryki?

Przypuszczam, że politycy i generałowie amerykańscy sądz iż w razie wojny Polacy, Czesi czy Węgrzy nie zechcą walczy przeciwko Amerykanom. Sztandar amerykański będzie wówcza symbolizować wolność i niepodległość dla narodów ujarzmiony przez sowiecki imperializm.

Tak brzmi oficjalna wykładnia tego problemu, która wym ga jednak pewnej korektury. Polacy nie będą walczyli przeciwk Amerykanom, ale przeciwko niemieckiemu sojusznikowi Amery będą walczyć do upadłego. Amerykanom wydaje się, że mog mieć NATO z Niemcami, jako głównym taranem tego sojusz

i równocześnie zachować życzliwość i lojalność stu milionów wschodnich Europejczyków. To nie jest możliwe i jeżeli Amerykanie mają w tej materii jakieś iluzje, powinni się ich co prędzej pozbyć. NATO będące koalicją, w której główną rolę mają grać atomowe Niemcy, będzie oceniane przez wschodnich Europejczyków jako związek wrogi. I nie może być inaczej. Niemcy zgłaszają pretensje terytorialne nie tylko pod adresem Polski i nie tylko w Polsce pozostawili po sobie Oświęcimy i Majdanki.

Innymi słowy, rozpatrując problem neutralizacji Niemiec, trzeba odpowiedzieć na konkretne pytanie : co się lepiej opłaca, czy zrezygnować z dywizji niemieckich a w razie wojny mieć zapewnione przyjazne poparcie stu milionów wschodnich Europejczyków, czy też odbudować Wehrmacht i armie wschodnioeuropejskie mieć przeciwko sobie.

To jest problem wojskowy. Istnieje jednak jeszcze problem polityczny, niezmiernej wagi, z którego Amerykanie nie zdają sobie w pełni sprawy. Na podstawie dziesiątków a może setek rozmów z Polakami krajowymi mogę stwierdzić z całym obiektywizmem, że chociaż w Polsce tradycyjna nienawiść do Rosji nie zmalała, to jednak zrozumienie konieczności sojuszu z Sowietami staje się coraz powszechniejsze. Z całą stanowczością należy odeprzeć płytki i fałszywy sąd, że wszyscy zwolennicy pro-rosyjskiej orientacji to są bez wyjątku oportuniści i fellow-travellersi. Wśród zwolenników pro-rosyjskiej orientacji w Polsce mamy na pewno tysiące prawych Polaków, nie mających absolutnie nic wspólnego z komunizmem. Od dawna interesuje mnie to zagadnienie. Trudno sobie przecież wyobrazić bardziej niesprzyjające warunki i nastroje do powstania pro-rosyjskiej orientacji. Prąd ów nie ma również nic wspólnego z Dmowskim — jego szkołą i polityczną filozofią. Na przestrzeni ostatnich kilku lat przeprowadziłem rozmowy z wieloma zwolennikami pro-rosyjskiej orientacji. W żadnej z tych rozmów nie padło słowo : Dmowski, ale w każdej padało słowo : Ameryka. *Pro-rosyjska orientacja jest bezpośrednią i zrezygnowaną reakcją na pro-niemiecką orientację Ameryki.*

Niemcy zgłaszają pretensje terytorialne do krajów Europy wschodniej i narody tego obszaru żywią obawę, że Amerykanie w pewnym momencie poprą roszczenia swego niemieckiego sojusznika.

Jeżeli ów kompleks zagadnień rozpatrywać pod kątem widzenia interesów amerykańskiej polityki światowej, to trzeba stwierdzić, że dla Ameryki straceni są w obecnej sytuacji zarówno ci nieliczni wschodnioeuropejczycy, którzy są komunistami — jak i ci coraz liczniejsi wschodnioeuropejczycy, którzy nie będąc komunistami wyznają orientację pro-rosyjską.

Ideologia nie może być oderwana od polityki. Dziesiątki razy słyszałem od ludzi z Kraju : ,,Cóż nam z tego, że Ameryka jest anty-komunistyczna i anty-rosyjska jeżeli zbroi i popiera Niemców, którzy zgłaszają pretensje do jednej trzeciej naszego terytorium''. W Polsce każdy rząd komunistyczny tak długo

będzie mógł liczyć na poparcie społeczeństwa, jak długo będzie miał tytuł do występowania w roli jedynego obrońcy całości terytorium państwowego. Dopóki Gomułka może stanąć przed narodem i powiedzieć, że tylko on, w oparciu o sojusz z Rosją, jest władny uchronić Polskę przed zaborczym militaryzmem Niemiec — dopóty pozycja jego będzie niezachwiana. Sytuacja komunizmu w Europie wschodniej uległaby radykalnej zmianie, gdyby partii odebrano tarczę obrońcy przed imperializmem niemieckim. Wówczas i orientacja pro-rosyjska utraciłaby swą główną podstawę.

Ci emigranci politycy i publicyści, którzy odrzucają koncepcję pasa neutralnego ponieważ sądzą, że nie przyniósłby żadnych poważniejszych zmian w Europie wschodniej — nie rozumieją obecnej sytuacji. Siłą wschodnioeuropejskiego komunizmu jest jego antyniemieckość. Podważyć władanie komunizmu w Europie wschodniej oznaczać by musiało w praktyce zdegradowanie partii z roli organizatora przedmurza antyniemieckiego. Im zbrojenia niemieckie postępują bardziej naprzód — tym komuniści zyskują solidniejszą platformę do jednoczenia całego społeczeństwa.

Kierownicy polityki amerykańskiej winni pamiętać o tym, że Stany Zjednoczone walczą w pierwszym rzędzie nie z Rosją, lecz ze światowym komunizmem. Nie każda porażka Rosji stanowi klęskę światowego komunizmu, ale każde wzmocnienie komunizmu jest zyskiem Sowietów. Zbrojenie Niemiec zachodnich stanowi wprawdzie pewne zagrożenie dla Rosji, ale — z drugiej strony, wzmacnia pozycję komunistów w Europie wschodniej i odwraca od Ameryki miliony ludzi. Anty-komunizm w sojuszu z militaryzmem niemieckim nie może liczyć na powodzenie w Europie wschodniej choćby propaganda amerykańska składała się z samych geniuszów.

Stany Zjednoczone są tak potężne, że bez uszczerbku mogłyby zrezygnować z dywizji niemieckich, a wówczas pozycja Ameryki jako przywódcy światowego ruchu antykomunistycznego nabrałaby zupełnie innego wyrazu i autorytetu.

,,National Review'' podała wiadomość, że jedną z przyczyn nieustępliwej polityki Eisenhowera w sprawie Berlina jest fakt, że wszystkie raporty wywiadu amerykańskiego potwierdzają tezę, iż Rosja wojny nie chce i zdecydowana jest jej uniknąć. Jeżeli tak jest, dywizje zachodnioniemieckie nie odegrają (na szczęście) żadnej konkretnej roli militarnej, odegrają natomiast bardzo ujemną rolę polityczną. Ponieważ Ameryka również nie dąży do wojny — realną staje się obawa, że saldo operacji zbrojenia Niemiec będzie czysto negatywne.

Niemcy, zarówno zdemilitaryzowane jak i uzbrojone po zęby, same się nie obronią. W obu wypadkach wyraźna agresja sowiecka musiałaby oznaczać wojnę w skali światowej. Jednym z głównych argumentów przeciwko neutralizacji jest mit wojny lokalnej w centrum Europy. Całe rozumowanie Michael Howarda i jego ekspertów sprowadza się do tego punktu. W gruncie

rzeczy jednak nie może ulegać wątpliwości, że gdyby kiedyś sowieckie czołgi ruszyły naprzód — to wówczas można by albo cofać się, w nadziei, że na jakiejś linii agresja sowiecka się zatrzyma — albo podjąć kontrofensywę wszystkimi dostępnymi środkami, co w 98 procentach na 100 oznaczałoby wojnę światową. Jeżeli wyłączyć prowokację czy incydenty, które zawsze się mogą zdarzyć — to w razie otwartej agresji sowieckiej w Europie, Zachód nie będzie miał wyboru pomiędzy wojną lokalną a wojną światową lecz pomiędzy kapitulacją a wojną światową.

Drugie fundamentalne nieporozumienie, które jest konsekwencją wiary w mit wojny lokalnej, polega na tym, że zachodni, a w szczególności amerykańscy, mężowie stanu rozpatrują problem Europy niemal wyłącznie w kategoriach wojskowooperacyjnych. Europa natomiast jest przede wszystkim problemem *politycznym*. NATO, bazy, zbrojenie Niemiec zachodnich itp. nie rozwiązują niczego i dla tego na dłuższą metę nie zmniejszają napięcia, a tym samym nie oddalają widma konfliktu. Spacyfikować Europę można tylko śmiałą inicjatywą polityczną.

Z wszystkich wysuwanych do tej pory koncepcji — najkorzystniejsza wydaje się koncepcja pasa neutralnego, który by obejmował Niemcy wschodnie i zachodnie, Polskę, Czechosłowację i Węgry. Podstawowym warunkiem sukcesu tej koncepcji musiałaby być zgoda Stanów Zjednoczonych i Rosji na definitywne wycofanie się zainteresowanych krajów z bloków wojskowych. Niemcy zachodnie musiałyby wystąpić z NATO a Niemcy wschodnie, Polska, Węgry i Czechosłowacja z Paktu Warszawskiego. To jest punkt niezmiernie ważny i w tej sprawie nie mogłoby być żadnego kompromisu. Tylko wówczas bowiem Rosja straciłaby możność interwencji według wzorów węgierskich, tj. pod przykrywką zobowiązań sojuszniczych.

Gdyby uzyskano zgodę w tej kardynalnej sprawie, wszystkie inne problemy związane z neutralizacją i demilitaryzacją należałoby formułować w ten sposób, by o ile możności chronić ,,twarz Rosji''. Byłoby nierealne wysuwanie koncepcji wolnych wyborów czy jakichkolwiek radykalnych zmian socjalno-gospodarczych. Można by nawet przyjąć formułę, że państwa wchodzące w skład pasa neutralnego (z wyjątkiem Niemiec zachodnich) ideologicznie i ustrojowo należą nadal do tzw. obozu państw socjalistycznych. Nie byłyby one natomiast związane umowami politycznymi czy wojskowymi ani z Wschodem ani z Zachodem.

W praktyce, odatomizowany, zdemilitaryzowany pas neutralny byłby de iure pod kontrolą specjalnych komisji ONZ, de facto zaś pod gwarancją amerykańsko-rosyjską. Jeżeli mamy wyłączyć wojnę z rejestru narzędzi polityki, system neutralizacji — jako wyraz kompromisowego zrównoważenia interesów wielkiej dwójki na pewnym określonym obszarze — musi z czasem zastąpić politykę sfer wpływów i wojen lokalnych.

Opracowanie szczegółowego projektu międzynarodowego statusu państwa ,,pasa neutralnego'' wymagałoby wielomie-

sięcznej pracy ekspertów. Nim studia tego typu warto by podją trzeba by wpierw wybadać dokładnie stanowisko Rosji. Po stawą wstępnych rozmów mogłaby być druga wersja plan Rapackiego. Wydaje się, że Rosja byłaby gotowa zapłacić w soką cenę za demilitaryzację Niemiec i wyłączenie ich z NATO

Nie ulega wątpliwości, że z koncepcją pasa neutralneg związane są liczne i bardzo poważne niebezpieczeństwa. Ale naszym przekonaniu ryzyko pasa neutralnego jest mniejsze sumy niebezpieczeństw, organicznie związanych z obecną sytu cją. O istocie ryzyka decyduje stopień prawdopodobieństw Trudno jest sobie wyobrazić w jakich warunkach mógłby funkcj nować normalnie obecny system środkowo-wschodnio-europejs z „wyspą" berlińską po środku. Każda z rogatek Berlina pr wadzi do kryzysu, a każdy kryzys jest przedpokojem katastrof

Trzeba bronić twardo swoich praw i pozycji wykazując ró nocześnie inicjatywę i dużą giętkość w negocjowaniu własny planów. Albowiem nieustępliwość czysto defensywna nikom jeszcze nie przyniosła zwycięstwa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Zagasły światła szabaśne (2)

(Z CYKLU ,,ŻYDZI W KULTURZE POLSKIEJ'')

V

Jeżeli od strony polskiej przejdziemy do strony żydowskiej, to i tu spotkamy się z ocenami, które w zasadniczych treściach były zgodne z tym, co o sprawie żydowskiej mówili przedstawiciele myśli polskiej. I po stronie żydowskiej były różnice w ujmowaniu pewnych zjawisk i prądów, ale sposób patrzenia na ,,odrębność'', ,,obcość'' i izolowanie się nie odbiegał od tego, cośmy przedtem mówili.

Podobnie jak po stronie polskiej zachodziła zasadnicza rozbieżność pomiędzy stanowiskiem takiego np. Staszica i stanowiskiem Łukasińskiego, tak i po stronie żydowskiej były nie mniejsze różnice pomiędzy ocenami asymilatorów i narodowych Żydów.

Poglądy asymilatorów były w zupełności zgodne ze stanowiskiem reprezentowanym przez Czackiego, Łukasińskiego czy Orzeszkową. I asymilatorzy przyjmowali ,,odrębność'' czy nawet ,,obcość'' Żydów, i oni źródła tych właściwości widzieli w żydowskim życiu religijnym i w jego instytucjach. I oni wreszcie w oświacie i uobywatelnieniu widzieli jedyny sposób rozwiązania trudnego zagadnienia.

Nie negując faktu ,,obcości'', asymilatorzy główny nacisk kładli oczywiście na ,,odrębność''. Podobnie jak Orzeszkowa, asymilatorzy, zaczynając od Czyńskiego, Hollaenderskiego i Lublinera, powoływali się na tradycje historycznego związania Żydów z Polską. Holleaenderski w swej cennej książce ,,Les Israélites de Pologne'', Lubliner w ,,Des Juifs en Pologne'' sięgali w przeszłość, skwapliwie wydobywając wszelkie dowody obywatelskiej i patriotycznej postawy Żydów polskich. Chodziło tu o legitymację historyczną, która by w oczach społeczeństwa polskiego uzasadniała konieczność przyjęcia Żydów do polskiej wspólnoty narodowej. Każda grupa, która się asymiluje do grupy

innej, szuka takiej legitymacji. Stany Zjednoczone — ten wielki tygiel narodów — mogą dostarczyć niezmiernie pod tym względem cennych przykładów. Kościuszko i Pułaski, Steuben i Lafayette, spełniają w Ameryce tę samą funkcję, jaką w wypadku asymilujących się Żydów polskich spełniały takie postacie, jak Esterka, Józefowicz, Szmul Zbytkower, Berek Joselewicz i szereg innych. Zarazem — podobnie zresztą jak w przypadku asymilujących się grup emigracyjnych w Ameryce — postacie te stawały się patronami żydostwa polskiego, miały być jego przewodnikami na drodze asymilacji i symbolami utożsamiania się z polskością. Zresztą i Hollaenderski i Lubliner życiem własnym i działalnością dawali dowody, że są dobrymi Polakami. Po roku 1831 obaj znaleźli się na emigracji i tam rozwijali żywą działalność polityczną. Lubliner był bliskim przyjacielem Lelewela.

Frankista Czyński, zachowujący dawne wyznanie Hollaenderski i Lubliner, wszyscy oni podobnie patrzą na obraz żydostwa polskiego. Żydzi ,,tkwią w przesądach'' i przez to wyobcowali się z życia polskiego, przez to nie są gospodarczo produktywni, nie stają się dobrymi obywatelami. Źródłem jest tu ciemnota, przesądy, Talmud, władza rabinów. Hollaenderski, który o życiu żydowskim wiedział znacznie więcej niż współcześni autorzy Polacy, w swej książce nie szczędzi barw czarnych, opisując przesądy żydowskie, rządy kahałów i rabinów. Nie mniej krytycznie o tych sprawach mówią Czyński i Lubliner. Ale jednocześnie wszyscy oni są optymistami. Przede wszystkim dostrzegają fakty pozytywne, budzenie się nowych tendencji, występowanie jednostek obywatelskich, ofiarnych, dobrych Polaków. Lubliner zwłaszcza widzi w tym doskonałą zapowiedź na przyszłość. Oświata, walka z ciemnotą — oto droga, wiodąca do tej przyszłości. Wiele w tym zależeć będzie od pracy czołowych jednostek wśród samych Żydów. Ale muszą one mieć wydatną pomoc od strony polskiej. Pomoc taka leży w interesie Polski, jest dla jej przyszłości sprawą jak najbardziej żywotną. Niechęć do Żydów, dawne uprzedzenia trudnego zagadnienia nie rozwiążą. Konieczna jest życzliwość, braterstwo, rzeczywiste równouprawnienie.

Późniejsze pokolenie asymilatorów wiernie trzymało się poglądów swoich poprzedników. Składało się ono z ludzi, którzy sami (lub ich rodzice) wyszli z Ghetta, którzy swój awans społeczny zawdzięczali nieraz z wysiłkiem zdobytemu wykształceniu i zerwaniu z tradycyjnymi obyczajami. Byli głęboko przekonani, że ich własne doświadczenie życiowe może posłużyć za wzór dla osiągnięcia emancypacji mas żydowskich. Gdy masy te ulegną językowej i kulturalnej polonizacji, gdy ich życie religijne zostanie zreformowane, to i struktura gospodarcza przeobrazi się i Żydzi staną się Polakami wyznania mojżeszowego, częścią składową polskiej zbiorowości narodowej. Samo zaś wyznanie mojżeszowe, wolne od wpływów Talmudu, będzie systemem deistycznym, bardziej etycznym niż religijnym, opartym na Biblii

i na wskazaniach wielkich żydowskich moralistów wszystkich czasów. Majmonides wśród tych moralistów był szczególnie często wymieniany. Wszystko to razem oznaczało całkowity nawrót do idei Wieku Oświeconego. Mozaizm w tym ujęciu stawał się religią rozumu.

W Polsce poglądy te znalazły dla siebie najlepsze sformułowanie w niewielkiej książce pod tytułem „Leon i Lajb. Studyum religijno-społeczne". Autorem jej był Hilary Nussbaum i ukazała się ona w Warszawie w roku 1883. Jest to dialog między dwoma Żydami — asymilatorem Leonem i ortodoksą Lajbem. Każdy z nich jest człowiekiem dużej wiedzy : Leon — świeckiej (choć nie obca mu jest i wiedza talmudyczna), Lajb — tradycyjnej, religijnej. Ideałem życiowym Lajba jest jak największe pogłębienie tej wiedzy oraz udanie się do Palestyny, by tam, na ziemi praojców osiągnąć najwyższy stopień mądrości. Nie jest on syjonistą. Dla niego Palestyna ma wyłącznie sens religijny. Leon natomiast uważa ideały Lajba za antyspołeczne i głęboko szkodliwe. Miejsce Żyda jest w Polsce i wśród Polaków. Powinien zabrać się do pracy produktywnej i służyć krajowi, którego jest synem.

Dialog porusza wszelkie dziedziny sprawy żydowskiej, tak jak była ona widziana w owym czasie. W rezultacie zwycięża Leon. Lajb uznaje, że poglądy jego były fałszywe, niezgodne z duchem czasu, wyrzeka się Palestyny, wyrzeka się Talmudu i postanawia stać się dobrym obywatelem kraju. Nie chodzi nam tu o ocenianie tej książki pod kątem wartości jej treści i formy. Treść jest naiwna, a forma — papierowa. Ale książka miała ogromne znaczenie programowe i wychowawcze, i z tego względu jest cennym dokumentem epoki. Wypowiada się w nim optymistyczna wiara, że odrębność Żydów może być usunięta i że uswojszczenie mas żydowskich jest tylko sprawą pracy i czasu.

W takim też duchu utrzymywane były różne wydawnictwa obozu asymilatorskiego. Na pierwszym miejscu trzeba tu wymienić „Izraelitę". Tygodnik ten przez pół wieku prowadził wytrwałą działalność wychowawczą i niewątpliwie odegrał bardzo poważną rolę w kształtowaniu się nowej generacji zasymilowanych Żydów polskich. Zwrócił on też pilną uwagę na kobiety i miał wśród nich wiele czytelniczek.

Celem „Izraelity" było uobywatelnienie i spolszczenie Żydów w Polsce. Nie było to łatwe zadanie. Masy żydowskie, do których pismo przede wszystkim starało się trafić, były obojętne czy niechętne. W społeczeństwie polskim po roku 1863 rosły nastroje antysemickie, z każdym dziesięcioleciem coraz silniejsze. Prawda że „Izraelita" mógł liczyć na poparcie wielu czołowych jednostek zarówno wśród Żydów jak i Polaków, ale poparcie to nie zawsze zdolne było zrównoważyć niechęć, jaką do pisma odczuwały szersze masy. Zresztą koła tzw. postępowe — zwłaszcza socjaliści — odnosiły się bardzo krytycznie do kierunku pisma. A do tego dochodziły kłopoty z cenzurą, która pismu często dawała się we znaki. Redaktorzy „Izraelity" — podobnie

jak i ich koledzy z całej ówczesnej prasy zaboru rosyjskiego — musieli ważyć każde słowo, by uniknąć zatargów z cenzurą.

Sama nazwa, jaką założyciele wybrali dla pisma, mówiła o jego programie. „Izraelita" to nie Żyd, pisany przez duże Ż, rozumiany jako uczestnik określonej zbiorowości narodowej. „Izraelita" to wyznanie, a zarazem podkreślenie pochodzenia. Ale nie odrębność narodowa. Izraelitą miał być Polak określonego wyznania i pochodzenia, ale niemniej Polak. Analogiczne tendencje istniały w tym okresie w całej Europie Zachodniej. „Alliance Israélite" czy „Israelitische Gemeinde" wyrażały to samo, do czego zmierzali polscy asymilatorzy. Rzecz znamienna, że Hollaenderski swej słynnej książce dał tytuł „Les Israélites de Pologne". Lubliner jednak pisał o Żydach.

Jak już było powyżej zaznaczone, główny okres działalności pisma przypadł na podnoszącą się falę antysemityzmu w Kongresówce. W roku 1881, w Warszawie, była próba zorganizowania pogromu żydowskiego, w czym wybitny udział miała policja rosyjska. „Izraelita" musiał więc duży nacisk kłaść na apologetykę, wykazując nie-Żydom, że antysemityzm jest nieuzasadniony, że jest szkodliwy dla Polski, że nie daje żadnego rozwiązania zagadnienia. Powoływanie się na przykłady świata zachodniego i równouprawnienia, jakie Żydzi tam osiągnęli, było argumentem często używanym przez pismo. Rzecz ciekawa, że od czasu do czasu ukazywały się tam artykuły o Żydach amerykańskich, podnoszące, że całkowite równouprawnienie, jakie Żydzi osiągnęli w Stanach Zjednoczonych, doprowadziło do ich utożsamienia się z całą społecznością amerykańską i do uobywatelnienia się.

Ta apologetyka oczywiście posługiwała się argumentami historycznymi. „Izraelita" stale sięgał do tych kart historii Żydów polskich, które świadczyły o ich patriotyzmie, o poświęcaniu się dla kraju. Rzecz jasna, w ówczesnych warunkach cenzuralnych można się było w tej materii posługiwać tylko niedomówieniami, parabolami czy przykładami z dziejów innych narodów. Ale pewne rzeczy były przemycane, a czytelnik ówczesny umiał czytać między wierszami.

Pismo pilnie notowało wszelkie przejawy obywatelskiej działalności Żydów. Założenie nowego szpitala, ufundowanego przez żydowskiego fabrykanta, szkółki czy ochronki, schroniska dla starców — wszystko to było szczegółowo przez tygodnik omawiane. Tak samo — albo jeszcze bardziej — pilnie były notowane i omawiane wszelkie próby przebudowy zarobkowo-ekonomicznych stosunków wśród Żydów polskich. „Izraelita" dużo pisał o próbach osadzania Żydów na roli, o planach bar. Hirscha, o Kucharach Posnera itp.

Tygodnik bardzo dużo uwagi poświęcał sprawom religijnym. Życzliwie odnosił się do wysiłków reformowania judaizmu w Niemczech i we Francji. Prawda, że trochę krytykował reformizm amerykański, obwiniając go o to, że całkowicie zatraca charakter żydowski, ale była to krytyka raczej łagodna. „Izrae-

ita" drukował prace o żydowskich moralistach, popierał przekłady na język polski żydowskich modlitewników i pism sakralnych. Gdy słynny kaznodzieja Dr Jakub Cylkow zaczął ogłaszać swe przekłady na polski razem z własnymi komentarzami pism Starego Testamentu, „Izraelita" poparł tę imprezę bardzo życzliwie.

Współpracownicy pisma szczerze wierzyli, że antagonizm wobec Żydów będzie zanikał w miarę tego, jak Żydzi upodobnią się do reszty społeczeństwa, jak zniknie ich odrębność i obcość. Byli przekonani, że jest to możliwe, że oświata i postęp gospodarczy doprowadzą do rozwiązania istniejących zagadnień i zlikwidowania istniejących antagonizmów. Byli w tym najzupełniej zgodni zarówno z Lublinerem i Hollaenderskim, jak i z Łukasińskim, Czackim, Niemcewiczem. Dla wszystkich tych ludzi obiektywne „odrębność" i „obcość" były wyłącznymi przyczynami istnienia „kwestii żydowskiej" w Polsce. Niewątpliwe też dla nich było, że „odrębność" i „obcość" są rezultatami ciemnoty i swoistych właściwości żydowskiego życia religijnego.

VI

Pod koniec wieku XIX na scenie życia żydowskiego w Polsce ukazuje się nowy czynnik. Są nim ideologowie narodowego odrodzenia żydowskiego. W ich przekonaniu Żydzi są nie tylko grupą religijną o określonym pochodzeniu i tradycjach, ale społecznością narodową o własnym języku, własnej kulturze, społecznością swoistą i różną od innych społeczności narodowych.

Ideologowie tacy zjawiają się w Polsce, ale występują i w krajach innych, zwłaszcza w Rosji i — choć w stopniu słabszym — w Niemczech. Wzrost antysemityzmu w tej części świata bezwątpienia odegrał wielką rolę w powstawaniu takich dążeń. Ale nie mniejszą rolę odegrały ogólne prądy nacjonalistyczne, jakie w tym czasie zaczęły się powszechnie ujawniać. W całym szeregu grup etnicznych, którymi dotąd interesowali się głównie etnologowie, występują teraz tendencje w kierunku odrodzenia narodowego, dążenia do zaznaczenia swej odrębności wśród narodów świata. W tym to przecież czasie takie tendencje coraz potężniej zaznaczają się wśród Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów itd., by pominąć budzenie się analogicznych prądów w innych częściach Europy i reszty świata. Żydowska emancypacja narodowa była wypadkiem poszczególnym w obrębie prądu — z czasem sądzone mu było stać się potężną rzeką — masowych narodowych dążeń emancypacyjnych. Procesy te wszędzie zachodziły w podobny sposób i mechanizm ich działania wszędzie wykazywał ten sam wzór.

Każde takie dążenie w kierunku określenia swej tożsamości narodowej musi od samego początku mocno podkreślać swą

różność od innych grup narodowościowych. Ideologowie ukra nizmu — Drahomanow, Franko, Antonowicz, Hruszewski i in — z całą mocą zaznaczali, że Ukraińcy nie są Rosjanami cz Małorosjanami, że język ukraiński nie jest dialektem język ogólnorosyjskiego, że Ukraina ma swoją odrębną i specyficzn fizjognomię historyczną i kulturalną. Równocześnie nie mni mocno podkreślali odrębność ukrainizmu od polskości. Tak same postawy z łatwością dadzą się zauważyć i we wszystkic innych budzących się grupach narodowych.

Nie inaczej było i z Żydami. Mieli oni zresztą sprawę o ty ułatwioną, że zawsze tworzyli specyficzną społeczność językow kulturalną i religijną. Chodziło o wykazanie, że społeczność była równocześnie społecznością narodową, albo że w każdy razie tkwiły w niej wszelkie dane na stanie się taką społeczn ścią.

Zrozumiałe jest przeto, że ideologowie narodowej emanc pacji Żydów z całą stanowczością stwierdzali odrębność czy ró ność Żydów od nie-Żydów, bardzo często nie cofali się prze specjalnym akcentowaniem obcości żydowskiej w stosunku d szerszego otoczenia. Wrogo też odnosili się do asymilatorów, których widzieli odstępców sprawy żydowskiej. Fakt, że sa często wychodzili ze środowisk zupełnie zasymilowanych, nieraz dopiero w późnym wieku uczyli się języka żydowskie czy hebrajskiego, że nie zawsze języki te potrafili opanowa nie miał znaczenia. Nie inaczej zresztą bywało i z ideologa wielu innych grup narodowościowych! Niektórzy z ideologó żydowskich — żeby tylko wymienić Stanisława Mendelsona sami w pewnych okresach swego życia brali czynny udział polskim ruchu politycznym i nieraz odgrywali w nim rolę p ważną. Mendelson był przecież jedną z czołowych postaci PP Niektórzy — żeby tu wymienić nazwisko jednego z twórc Bundu, Włodzimierza Medema — nawet wyznaniowo mało mi wspólnego z żydostwem. Zresztą sam twórca syjonizmu Teod Herzl wyszedł ze środowiska całkowicie zasymilowanego. A — powtarzamy — podobnych przykładów mogą nam dostarcz dzieje wszystkich innych narodowych ruchów emancypacyjnyc Dość tu wskazać na Ukraińców i Litwinów, a w naszych cz sach na narody kolonialne.

Ideologowie narodowego odrodzenia żydowskiego system tycznie starali się wykazywać odrębność Żydów. Historycy ż dowscy — jak Dubnow — byli zgodni z większością historykó polskich, że Żydzi polscy zawsze tworzyli izolowaną społeczno której styczności z otaczającym światem były bardzo nielicz i sporadyczne. To zawdzięczali Żydzi swym instytucjom relig nym. Narodowi Żydzi byli zgodni z asymilatorami i nie-Żyda w tym, że religia żydowska była źródłem odrębności Żydó Różnili się jednak od asymilatorów i nie-Żydów w oceniar roli tej religii. Nawet ci z nich, którzy w życiu religijnym b zupełnymi agnostykami i krytycznie odnosili się do tradycyjny

instytucji religijnych, uważali jednak, że wierność tym instytucjom uratowała narodowość żydowską przed zagładą. I dlatego to nawet najbardziej wobec religii krytycznie usposobieni wysoko sobie cenili jej funkcje narodowościowo-zachowawcze. Nie odbiegało to zbytnio od tych Polaków, którzy w katolicyzmie widzieli ostoję zachowania polskości.

Niektórzy z żydowskich ideologów szli tak daleko, że uznawali Żydów za swoistą grupę fizycznie-antropologiczną, szykując w tym drogę dla późniejszego rasizmu. Kategorycznie też odrzucano teorie w rodzaju Gumplowicza o nieżydowskim pochodzeniu Żydów wschodnio-europejskich. Nie bez słuszności dostrzegano w chazarskiej teorii Gumplowicza próbę uzasadnienia konieczności asymilacji. Skoro Żydzi właściwie nie są Żydami, to nie ma sensu, by się upierali przy swej odrębności. Jest rzeczą zrozumiałą, że w środowiskach zasymilowanych teoria chazarska cieszyła się powodzeniem.

Szczególnie syjoniści chętnie powoływali się na fakt „obcości'' Żydów w diasporze. Teoretycy syjonizmu tym samym przyjmowali antysemityzm jako rzecz uzasadnioną. Dopóki Żydzi są w diasporze i stanowią w niej ciało obce, dopóty musi być antysemityzm, który jest formą antagonizmu wobec obcego. Jedyne więc rozwiązanie to masowa emigracja Żydów do własnego kraju, to powstanie nowej ojczyzny żydowskiej. Jak wiadomo, sam Herzl nie był pewien, jaki kraj ma być wybrany na tę ojczyznę. Projekt Ugandy był poważnie rozpatrywany i długo miał swoich zwolenników.

Stanowisko syjonistów nie było więc różne od stanowiska antysemitów. Jedni i drudzy mówili o organicznej odrębności Żydów i tym samym o ich obcości. Oczywiście różnili się zasadniczo w ocenianiu roli Żydów i ich znaczenia historycznego. Ale w punktach wyjściowych byli zgodni, a i ich wnioski końcowe nie zbyt odbiegały od siebie. Na tym miejscu tylko nawiasowo zauważymy, że historiozofia Ludwika Gumplowicza miała swój wpływ na ideologów polskiego antysemityzmu spod znaku „Ligi'' i Narodowej Demokracji.

Żydowscy narodowcy-niesyjoniści nie szli tak daleko. Największe znaczenie mieli tu Bundowcy. Stali oni na gruncie narodowego odrodzenia Żydów w krajach ich osiedlenia. Wysuwali hasło autonomii kulturalnej, która by jednocześnie zabezpieczyła rozwój kulturalno-narodowy Żydów i umożliwiła ich współistnienie z szerszym otoczeniem. Przy takim stanowisku „obcość'' nie mogła być zbyt mocno podkreślana. Podkreślana natomiast była „różność'', w sensie jednak bardziej odrębności kulturalno-narodowej niż politycznej. A i ta „różność'' nie negowała możliwości współposiadania pewnych zasadniczych wartości i ideałów. Bundowcy byli socjalistami, ściśle współdziałali z partiami socjalistycznymi krajów diaspory i odrzucali szowinistyczny nacjonalizm. Syjoniści często oskarżali ich o asymilatorstwo i — ze swego punktu widzenia — nie bez uzasadnienia. Jest rzeczą znamienną, że w Polsce obóz antysemicki bardziej

wrogo odnosił się do ideologów typu bundowskiego niż do syjonistów. W najmniejszym stopniu nie było to sprawą przypadku

W każdym więc razie wszystkie stanowiska narodowych Żydów były zgodne w poglądzie, że Żydzi są różni od Polaków, że stanowią wyraźnie odrębną zbiorowość kulturalno-narodową, że mają swe własne i swoiste interesy. Syjoniści cały nacisk kładli na ,,obcość'', bundowcy na ,,różność'' i ,,odrębność''. Ale jedni i drudzy fakt przetrwania Żydów przypisywali ich wielowiekowemu izolowaniu się od otoczenia i — inaczej niż Polacy i asymilatorzy — w izolowaniu się tym widzieli zjawisko nadzwyczaj pozytywne.

VII

A jednak istniało stanowisko, które znacznie silniejszy akcent kładło na ,,swojskość'' Żydów polskich niż na ich ,,odrębność'', nie mówiąc już o ,,obcości''. Nie oznaczało to negowania faktu odrębności Żydów — odrębności językowej, religijnej, obyczajowej. Chodziło jednak o to, że Żydzi — przy wszystkich swych odrębnościach — byli częścią integralną życia polskiego, że byli wewnątrz tego życia, a nie obok niego czy z dala od niego. Stanowisko takie uznawało fakt udziału Żydów w kulturze polskiej i oceniało go życzliwie.

Ze stanowiskiem takim spotykamy się przede wszystkim w literaturze pięknej, niekiedy — w prozie historycznej. Można się z nim spotkać i wśród Polaków i wśród Żydów.

Idea ,,swojskości'' Żydów najpiękniejszy dla siebie wyraz znalazła w ujęciu Mickiewicza. Niewątpliwie — jak to wykazał A. Duker — pogląd poety na Żydów nie był jednolity i nawet w ,,Panu Tadeuszu'' dają się zauważyć ambiwalentne postawy. Niemniej jednak w swym ostatecznym sformułowaniu koncepcja Mickiewicza jest jednolita i wyraźna. Izrael stanowi składową część społeczności polskiej. Opatrzność sprawiła, że Polacy i Żydzi zostali powołani do współżycia i do świadczenia o pewnych prawdach wieczystych. Izrael to ,,starszy brat'', który jest duchowo i fizycznie związany z Polską i jej przeznaczeniami.

Idea ,,swojskości'' najpełniej oczywiście wypowiedziała się w postaci Jankiela. Zauważmy, jak kolosalną rolę odgrywa Jankiel w ,,Panu Tadeuszu'' — rolę moralną, polityczną, nawet — wojskową. Jankiel jest tym, który godzi zwaśnionych, który jest łącznikiem między różnymi składnikami świata ,,Pana Tadeusza''. Szanują go i zwolennicy Soplicy i zwolennicy Hrabiego. Jest zaufanym Robaka. Jest emisariuszem politycznym i wojskowym. A jednocześnie nie przestaje być Żydem. Zachowuje wiarę i obyczaj żydowski, jest podrabinkiem, wykonywuje czynność gospodarczą, która w Polsce tradycyjnie była udziałem Żydów — jest karczmarzem i arendatorem. Ale, będąc Żydem, ma ,,sławę dobrego Polaka'', jest patriotą, gorą

i szczerze oddanym sprawie polskiej. „Żyd poczciwy ojczyznę jako Polak kochał".

Mickiewicz genialnie w działalności Jankiela uchwycił pewne funkcje kulturotwórcze, jakie były udziałem Żydów polskich. Jankiel jest źródłem rozchodzenia się po Litwie pewnych wartości kulturalnych — muzycznych przede wszystkim. Mazurki i kołomyjki stają się dobrem ogółu dzięki niemu. Jemu to się przypisywało, że pierwszy na Litwę przyniósł Mazurek Dąbrowskiego. Jest rzeczą zdumiewającą, jak trafnie Mickiewicz umiał ocenić rolę żydowskich muzykantów wiejskich w kształtowaniu się i rozpowszechnianiu polskiego folkloru muzycznego. Na tę stronę „Pana Tadeusza" dotąd stosunkowo mało zwracano uwagi. A niewątpliwie jest to skarbnica uwag i spostrzeżeń odnośnie kulturotwórczej roli Żydów polskich. O tych sprawach wypadnie nam zresztą jeszcze kiedyś szerzej pomówić.

Jankiel jest „różny" — wiarą, obyczajem, zajęciem, ubiorem. Ale równocześnie ta jego „różność" mieści się w jego „swojskości" jako w czymś znacznie szerszym, ogólniejszym i istotniejszym. Mickiewicza nie razi to, że w obrębie tej „swojskości" mieszczą się rzeczy, zjawiska i wartości rozmaite. Jest to wielość w jedności, wielość, która jedność wzbogaca i rozwija. I w tym — jak i w wielu innych sprawach — Mickiewicz okazał się znacznie głębszym obserwatorem i myślicielem niż wielu zawodowych socjologów czy etnologów.

Motyw „swojskości" Żydów polskich występuje i u pomniejszych pisarzy polskich. Syrokomla w postaci wileńskiego księgarza znów wprowadza zagadnienie funkcji kulturalnych Żydów. Księgarz Syrokomli to też Jankiel, tylko że tragiczny, osamotniony. To ten Żyd, który pod strzechy zanosi książeczki polskie i chroni przed zagładą wielkie zabytki przeszłości. Znacznie później wybitny historyk polsko-żydowski Jakub Szacki napisze piękny rozdział o roli i działalności tych drobnych handlarzy-antykwariuszy, którzy tak walnie się przyczynili do rozpowszechniania się polskich wartości i tradycji kulturalnych. W prozie polskiej Ksawery Pruszyński i Karol Estreicher uwiecznią postacie takich antykwariuszy.

Wszyscy ci ludzie w ujęciu swych twórców nie są „obcymi". Są „różni", są „odmienni", ale jak Mendel Gdański czują się głęboko związani z Polską i w życiu jej jakąś rolę — rolę pozytywną — odgrywają.

Tego rodzaju traktowanie charakteru i roli Żyda polskiego występuje i w żydowskiej twórczości literackiej. A w pierwszym rzędzie — w twórczości Opatoszu.

Józef Opatoszu był pisarzem żydowskim. Pisał po żydowsku, tematyka jego była żydowska. Był Żydem jako człowiek i pisarz. Był duchowo związany z żydostwem, jego przeszłością, tradycjami. Miał wiarę w jego przyszłość. Był Żydem narodowym, któremu obce były hasła asymilatorów.

Ale jednocześnie Opatoszu był głęboko związany z Polską. Kulturze polskiej zawdzięczał bardzo dużo i był tego w zupeł-

ności świadom. Do końca życia interesował się sprawami pol skimi i z dala od Polski, w New Yorku, zbierał książki polskie utrzymywał stosunki z pisarzami polskimi.

W jego powieści ,,W lasach polskich'', poświęconej Pow staniu Styczniowemu, idea związania Żydów z Polską jest prze prowadzona bardzo jasno. Żydzi nie są Polakami, są Żydami Mają własną kulturę, własne aspiracje i własne sprawy. Al są Żydami polskimi. To, co polskie, nie jest im obce. Zachowują swą odrębność, są częścią Polski jako czegoś szerszego i ogól niejszego. I tu jest wielość w jedności.

Mam wrażenie, że poza literaturą piękną, podobne poglądy tylko w jednym Jakubie Szackim znalazły swego przedstawiciela Ciekawa to była postać — Jakub Szacki. Z urodzenia Warsza wianin, wychowanek Uniwersytetu Jagiellońskiego, wielbicie Micińskiego, znalazł się w Legionach. Brał udział w walkach był ranny i odznaczony. Po wojnie przez krótki czas pracowa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W roku 1923 wyjecha do Ameryki, gdzie przebywał aż do swej śmierci w roku 1956

Szacki był narodowym Żydem. Przeważająca część jeg prac była napisana po żydowsku, w języku, którym władał zna komicie — tak znakomicie, jak i polskim. Po żydowsku był pisana jego wielotomowa historia Żydów warszawskich, niestet niedokończona. Żył sprawami żydowskimi, utożsamiał się z nim one to wyznaczały sens jego życia.

Ale równocześnie nie wielu znajdzie się Polaków, którz byliby takimi, jak Jakub Szacki, znawcami zagadnień życia po skiego, kultury polskiej, literatury i historii. Jego wiedza zakresie historii Polski była fantastyczna. Był doskonałym znaw cą literatury polskiej — tu w umiłowaniach swych zawsze za chowywał wierność swej młodości, gdy pisywał krytyki litera ckie w feldmanowskiej ,,Krytyce''. Literatura młodopolska mia ła stale dla niego szczególny urok.

I w historiozoficznej koncepcji Szackiego Żydzi polscy n byli ,,obcymi''. Byli Żydami, byli ,,różni'', ale w obrębie sz rokiej rzeczywistości polskiej byli ,,swojakami''. Za tragiczn Szacki uważał, że ta ,,swojskość'' Żydów, ,,swojskość'' istni jącą obiektywnie, nie tylko że nie była uznawana, ale że by zaprzeczana, przekreślana, odrzucana. Była odrzucana prze antysemityzm i zaprzeczana przez krańcowy nacjonalizm żydow ski. Antysemityzm był jedną z przyczyn, dla których Szacki opu ścił Polskę. Szowinizm żydowski nie raz mu się dawał we zna w Ameryce.



W formie tylko jak najbardziej szkicowej możemy mów o tych prądach, koncepcjach, wartościowaniach. Były to prąd i koncepcje ideologiczne, które niezawsze i nie koniecznie mu siały mieć odbicie w postawach i wartościowaniach szerszy

mas ludzkich. Te postawy i wartościowania to sprawa inna, o której wypadnie nam jeszcze szerzej pomówić. Ale zacząć musimy od koncepcji ideologicznych, zwłaszcza że i one nie wisiały w próżni, ale pozostawały w jakimś związku z postawami i wartościowaniami, podzielanymi przez szersze masy ludzkie.

Podsumowując te koncepcje ideologiczne, przyjąć musimy, że w swej przeważającej większości przyjmowały one ,,odrębność'' Żydów polskich, odrębność, która obejmowała różne oceny — od stwierdzenia zwykłej ,,różności'' aż do całkowitej ,,obcości'' i ,,wrogości''. To ostatnie w okresie międzywojennym wyraźnie przeważało. A w latach okupacji stało się jednym z najważniejszych — choć bynajmniej nie jedynym — składników tego klimatu duchowego, wśród którego następowała zagłada żydostwa polskiego.

Aleksander HERTZ

List z Neapolu

DIALOG Z CZESŁAWEM MIŁOSZEM

Kochany Panie Czesławie!

Zakłopotanie które Pan mi sprawił swoim artykułem c „La Combe" minęło. Przecie, jeśli jest także *taka* postać emigracji, jaką Pan odkrywa, że ktoś „nie został znikąd wygnany", to warto ją z wdzięczności dla Pana wyjaśnić tym listem z podróży: taka postawa nie polega bowiem na obojętności, ani wobec swego kraju ani wobec innych. Komuż jak nie Panu powierzę odkrycie włoskiego przekładu Odyssei pióra Ettore Romagnoli! Dając się gościć tylu zakątkom i ustroniom okolicy Neapolu, nie miałem w kieszeni oryginału Odyssei, choć nie trudno mi było wskrzesić z pamięci stosowne strofy; ale wolałem odnowić je w języku kraju. A oto jak brzmi, w przekładzie Romagnoli'ego, prezentacja Odyssa bogu rzeki, który ocalił rozbitka przed żywiołem morza:

Odimi, o Sire, comunque ti chiami! Con molte preghiere io mi rivolgo a te... Rispetto pure essi i Celesti immortali portano all'uom, quale ei sia, che giunga errabondo come io...

Jedno przecie odróżnia wszystkie te zakątki od postaci w jakich przekazała je Odyssea. W ciągu tysięcy lat uprawa ziemi, a wina w szczególności, wyparła wszelki las, a z nim mech i w końcu źródła i wodę, dlatego nawet tam, gdzie oficjalnie istnieje jeszcze „rzeka", jak w Avallo, z drugiej strony Wezuwiusza, jest to tylko zapasowe łożysko dla ulew i dla odwilży po zimowej porze. Toteż bogowie i geniusze miejsc nie objawiają się i nie witają już nas szumem wód, tylko inaczej, o czym zaraz powiem.

Zauważy Pan bez trudu, że myślałem i czułem tak jak gdybyśmy my obaj rozmawiali o wszystkim z czym spotkałem

się i jak gdybym oglądał mą podróż poniekąd oczyma Pańskich stwierdzeń. Myślałem i czułem i czułem tak nawet w stosunku do tego co już znałem w Neapolu i okolicy, która jest może jeszcze bardziej dawną Europą niż obecną, mimo wprost oszałamiający ruch i komunikacje (zresztą Słowacki w swych listach opisywał ten sam ruch i tę samą bujność, mimo, że w tradycyjnych ramach).

Przede wszystkim chodzi o tutejsze *szepty*. Huculi rozróżniają dwa rodzaje szeptów w chacie : te, które *wędrują* z daleka, wpadają do chaty jak do pułapki, szastają się po kątach, dając się słyszeć zupełnie wyraźnie. Z takich można dowiedzieć się lub domyśleć rzeczy prawdziwych, odległych lub dziejów bardzo dawnych. Drugi rodzaj szeptów to szepty z tej samej chaty, widocznie szepty przodków (te szepty gromadziły się w dzwonowym dachu Fokowej chaty w Jasienowie, który miał postać dwu czapraków nałożonych jeden na drugi. Był on bardzo akustyczną komorą szeptów).

Na pytanie czy to ma być dowodem, że jest jakaś nieśmiertelna dusza, wzruszano ramionami: tylko Bóg mógłby to wiedzieć, bo nas już raz złożył z cząstek i postawił tutaj i jeśli zechce to znowu postawi. Dobrze jest siedzieć cicho i czekać jak pieniące się wino w piwnicy. Taki też jest las na Monte Faito, las bukowy pod Neapolem, w którym znalazłem kwiaty asfodelu, podobne do wysokich świec. Ten sam kwiat wspomniany jest trzy razy w Odyssei na łąkach Hadesu, po których wielkimi krokami przechadza się dusza Achillesa. Pokażę go Panu kiedyś pod Grenoble na dwu stanowiskach, blisko Seyssins nad stromą ścianą Drac'u i pod górą Rachais nad tutejszą Bastylią.

Szepty przechadzają się po bukowinkach na Monte Faito nie inaczej jak u nas w Jasieniowie, tylko nie zauważyłem, aby miały skłonność do zgodnego chóru, jak u nas, bo widocznie powiewy tutejsze nie są takie śmiałe, poza tym ta wspaniała zresztą bukowinka nie ma takich gęstych podściółek i takiej bogatej asocjacji roślinnej, jak u nas, znanej Panu także zapewne z Litwy. Przecie niech Pan nie myśli, że Faito ma coś wspólnego z francuskim *faillite* to jest bankructwo. Nie, jest to neapolitańskie dialektowe słowo używane zamiast *faggito* — bukowy, gdyż *faggio* pochodne od łacińskiego fagus oznacza buk. I Monte Faito jest przykładem i dowodem, że buki i bukowiny *są* ramami Europy, czy tu na południu czy też w Karpatach i prawdopodobnie na Żmudzi.

O ile bukowinki takie jak u nas na Hołowach, jak w Słobodzie i te, które widziałem na Rozewiu nad Bałtykiem, (przypomnę zresztą jeszcze inny koniec Europy, jak wynika z wiersza Kochanowskiego „O białoskrzydła morska pławaczko, wychowanico *Idy* wysokiej, łodzi *bukowa*"), o ile strzegą granic Europy, odkrywają, a jak dawniej roiłem przepowiadają także, jej styl. Styl bukowy. Niestety, żaden kościół nie pokusił się dotąd o ten styl, ale od razu można go sobie uświadomić wiosną w lesie bukowym, porankiem, gdy tęgie stalo-

we buki rzucają grube cienie, a tysiące metalowych listków odbijają słońce, podniecając do tak wielu porywów, także do ciekawości, aby wyruszyć w świat, poznać go i polubić.

Ale niech Pan nie myśli, że na tym kończą się szepty Neapolu. Odzywają się one jeszcze bardziej nieoczekiwanie, odzywają się w Cumae, greckich Kymaj, w grotach Sybilli. Coś podobnego jak tumy skalne w Synyciach w Krzyworowni na prawym brzegu Czeremoszu. Niedaleko stamtąd Bal Szem Tow, bardzo tolerancyjny Żyd, choć niczego z żydostwa nie chciał poświęcić, uważając że im więcej wierzy się, tym lepiej, siadywał sobie w jaskini na lewym brzegu Czeremoszu i słuchał szeptów idących z prawego brzegu. Jeśli chodzi o Cumae, to choć trzeba być cierpliwym, nie trzeba natchnienia Bal Szem Towa, bo szepty same wieją po tumach Sybilli i jeśli kilka osób je odwiedza, rozszczepiają się i furkocą po grotach. Z Synyciami sprawa jest trudniejsza niż z Cumae, bo trzeba wdzierać się korytarzami, aby coś usłyszeć, aż do furteczki na tamten świat, tam gdzie Dziecię Boże zabiera dusze.

Druga jaskinia Sybilli w Cumae jest może jeszcze ciekawsza, niestety jest bardzo ciemna i mało ludzi ją odwiedza, bo od razu po wejściu chce się uciekać. Przecie jeśli ktoś odważny zanurzy się w nią, dotrze do miejsca gdzie stoi wielki głaz — mówią że to ołtarz — a gdy ktoś stanie na nim, z góry z wysokości czterech pięter uderza weń gwałtownie snop światła, powiększając postać wprost niesamowicie, bo wszystko naokoło jest zupełnie ciemne.

Właściwie przeznaczenia tych tumów dotąd nikt nie odgadnął, odważono się nawet na charakterystyczną dla technicznego stulecia hipotezę, że były to ogromne zbiorniki wody na wypadek oblężenia. Jest to jednak mało prawdopodobne, toteż nowocześni odgadywacze umieścili jednak na skałach wiersze z Wirgiliusza obrazujące postać Sybilli. Właściwie bardziej przekonywujące są zwrotki Dantego, bo charakteryzują te szepty, które i teraz się słyszy :

Cosi al vento nelle foglie lievi
Si perdea la sentenza di Sibilla.

Wydaje się prawdopodobnie, że Dante słyszał te szepty, jak i to że był na polach flegeejskich, gdzie cała ziemia dymi siarkowymi wyziewami i szepcze gorącymi źródłami, dzięki czemu ciągle przepowiadają, że ma tam powstać (jak nas zapewniał zresztą przewodnik : ,,już pojutrze !'') nowy wulkan.

Bo cały Neapol otoczony i podminowany jest podziemiami, jedne podziemia chłodne nawet zimne jak tumy Sybilli i jak dawne katakumby chrześcijańskie, których rozmiarów podobno dotąd nikt nie sprawdził, a drugie podziemia gorące, ogniste i to wszystko wokół zatoki morskiej, gdzie na każdym kroku wieje strach przed piratami i lęk przed Posejdonem. Mimowoli przychodzą do głowy, a nawet dają się głośno słyszeć słowa z Odyssei zwrócone do lądujących : ,,O goście coście za jedni,

czy przywozicie przez morze towary, czy może jesteście rabusiami, co czyhają na łup i niszczą dusze ludzkie?'' Te słowa kręcą się szczególnie naokoło świątyni Posejdona w Paestum, najważniejszego zabytku starożytności, jaki istnieje z VI wieku przed naszą erą. Budynek bardzo dobrze zachowany, niemal budowla Cyklopów, ale tak potężny, że nie jest łatwo uchwycić harmonię jego, bo jest raczej przeznaczony do zniknięcia w nim niż do podziwiania.

I jeszcze te szepty nie kończą się. Daleko na północ, na najwyższym miejscu Neapolu, około 500 m. nad poziomem morza, znajduje się klasztor kamedułów, którego dwa bratnie klasztory są w Polsce. Tam, po całym kościele szepcą sobie brodacze w bieli, a tuż obok kościoła nad przepaścią wieją powiewy przez starożytny las tak zwanych ,,kamiennych'' dębów o żołędziach takich jak u naszych dębów, lecz o listkach przypominających raczej drzewa oliwek. Tam to stary przeor brodatych szeptaczy, Szwajcar z pochodzenia, rozgadał się z nami i nie mógł się nagadać, jakby chciał sobie powetować wszystkie czasy ciągłego milczenia. Na pożegnanie bardzo nas zapraszał, aby przyjść jeszcze, jakby jeszcze nie miał dość. Pokazywał nam jak mógł najdokładniej swój klasztor, także refektarze, w których się milczy i takie, w których raz na rok na Boże Narodzenie można rozmawiać. Coś mi się zdaje, że mimo wszystko rozmowę cenią więcej niż to ciągłe milczenie, bo jest ona wielkim świętem.

Informował nas o wielu rzeczach, między innymi, że kameduli oprócz medytacji i modłów pracują tj. kopią ziemię, w szczególności ziemię w ogrodzie, a prócz tego każdy kopie grób dla siebie samego. Dodał z humorem: ,,U nas gdy kto umrze, nie robią z nim wielkiej ceremonii, tylko od razu rzucają kości do grobu już przygotowanego. Wielkich kłopotów z tym nie ma''.

I my byliśmy przez to uprawnieni do dowcipów, powiedziałem mu: ,,A przecież potrzebujecie ludzi, ktoś musi wrzucić te kości do grobu, a w dodatku zasypać''. Przeor wzdychał: ,,No cóż robić''.

Wizyta odbyła się w pogodnym nastroju, chociaż kobiet nie wpuszcza się do klasztoru, co odbiera ochotę pozostania tam na stałe. Mimo to przeor ucieszył się, gdy wyprowadził nas za klauzurę, gdzie czekały nasze towarzyszki i gdy ujrzał wśród nich rodaczkę, młodą Szwajcarkę, z którą wesoło rozmawiał w rodzinnym dialekcie (bo pochodziła, jak i matka przeora, z Schaffhausen).

Gdy myślałem o tych wszystkich szeptach, gdy patrzyłem na te dęby stalowe, te same prawdopodobnie co w uroczysku Dzeusa w Dodonie, gdzie z szeptów szczególnie jednego dębu wysłuchiwano wyroczni, przypomniałem sobie co Plutarch mówi o Beocji, że jest pełna *wielogłośnych,* na różne głosy szeptanych wróżb.

W wysoko położonej dzielnicy miasta, Vomero, mieści się najelegantsza, wprost izolowana od ludu i jego zupełnie

odrębnego narzecza, część miasta. Strzeże się tam zapobiegli wie, aby dzieci dobrych rodzin nie zanieczyściły języka, a takż swoich dusz, ,,ordynarnymi'' słowami albo zwrotami z narzecza A przecież to ostatnie jest podobno bardzo bogate i Benedett Croce z widocznej miłości dla narzecza przełożył na włosk wspaniały pomnik literatury neapolitańskiej ,,Pentameron''.

Koniec końców geneza i powstanie Vomero jest zupełni homeryckie i rolnicze, bo *vomero* po włosku znaczy tyle c angielskie *ploughshare* i istnieje całkiem wiarygodna tradycj co do nazwy tej dzisiejszej siedziby ludzi uprzywilejowanyc i plutokracji. Jak widać jeszcze teraz, Vomero jest relikter bardzo urodzajnego terenu rolniczego jak zresztą przeważni wulkaniczne obszary wokół Neapolu. Tam mieszkali niegdy bardzo pionierscy rolnicy, którzy orali dla siebie i dla innyc ogromne obszary. Na wiosnę bywało tam szczególne święto że szereg *pługów* zaprzężonych w woły stawało do wyścigu k upatrzonemu z góry punktowi ! Kto prędzej i kto jak na prościej nie zbaczając z prostej linii zdąży ! Umyślnie rozpinan między wyścigowcami wielkie płachty sukna, aby jeden ni widział drugiego. Publiczność i lud z całego Neapolu zbiegał się tam licznie, a zwycięzcy otrzymywali spore nagrody i o tego czasu tę część Neapolu nazwano Vomero.

Kochany Panie Czesiu, to wszystko jest wyrazem, że chcia łem Pana tam mieć ze sobą, ciągać wszędzie, opowiadają różne bajki i wrażenia. Toteż zamiast posłać taki czy inn essay np. do ,,Kultury'', wolę napisać do Pana osobiści Tylko w tym jest bieda, że taki list sążnisty może Pana zmęczy a w ,,Kulturze'' może przeczytałby go Pan jeszcze bardzi chętnie nawet gdyby był dłuższy. Jednak ja mam pociąg d ,,dymensji'' intymnej, osobistej, toteż muszę Pana jeszcz co najmniej na przestrzeni tej stronicy, ciągać po różnych l dziach.

Najmilsze moje występy i spotkania były na terenie Scuo Svizzera i to zarówno w kontakcie z profesorami jak i uczniami. A najciekawsze dla mnie a może i dla innych by moje propozycje, jak i w którym przekładzie czytać po włosk Homera. Musiałem z konieczności, chociaż bardzo grzeczni wystąpić przeciw przekładowi obowiązującemu program szkc ny. Autorem tego pseudoklasycznego przekładu (z XVIII w jest Monti, który przełożył Odysseję z łaciny i to w dodatku źl Dowiedziałem się przy tej okazji czegoś co przypuszczałem co zresztą i dla Polaków jest pouczające, a mianowicie *dlaczeg* ten przekład podoba się : przypomina on retoryką i patose (obcym Homerowi) Torquata Tassa. Nie dziwota, pomyślałe sobie, że już przed wiekami przekład Tassa, pióra Piot Kochanowskiego, bardziej poetyczny a mniej retoryczny, podl bał się jakiemuś nuncjuszowi o dobrym smaku, lepiej niż or ginał.

Do tej ,,kontroli'' Montiego użyłem pomocy profeso uniwersytetu, specjalisty od greki, również nazwiskiem Mon I zaleciłem na to miejsce nowy przekład Romagnoli'ego, wca

ładny i o wiele dosłowniejszy, ale widocznie niezbyt zachęcający przez swe wirtuozostwo. Mieliśmy z tym pewien natychmiastowy sukces, jako że szef programu szkolnego w ministerstwie zgodził się z Johnem Marbachem, dyrektorem Scuola Svizzera, co do moich wniosków i pochwalił szkołę, że może dać tym pionierski przykład.

Drugi sukces, trochę nieprawdopodobny a przecież prawdziwy odnieśliśmy u uczniów. Oto John Marbach miał pomysł, aby odczytać im we włoskim przekładzie, bądź co bądź bardzo rytmicznym, ,,Napad Dobosza na Złotą Banię''. Sukces był niezaprzeczony. Odczytywał, wszystko według projektu Marbacha, nauczyciel matematyki, który poza tym docenił moją propozycję, aby wykład kosmografii rzucić na tło mitologiczne to jest mitycznych obrazów greckich nieba i konstelacji gwiezdnych. Miałem zawsze szczęście do matematyków prawdziwych, także i tym razem. Obecnie chcemy opracować projekt jak wykładać uczniom mitologię grecką.

Z uczniami miałem i to powodzenie, że chcąc wybić im z głowy, że tu chodzi o jakieś bajki, bo przecie jako ,,dojrzewający'' ludzie pragną nie jakichś ,,bajek'', tylko prawdy, wskazałem, że wojna trojańska była walką dwóch cywilizacji, a raczej obrazem wielkiej cywilizacji napadniętej przez dorabiających się pół-barbarzyńców (vide Achilles!) tak jakby Chińczycy czy Rosjanie napadli na Włochy albo na Francję. Wskazałem też na rzeczywistość poety Homera.

I jeszcze po innych ludziach chciałbym ciągać Pana, zwłaszcza tam gdzie zbiegają się różne korzenie i nici Europy niegorzej jak w bukowinkach. W Neapolu jest takie akwarium istot morskich głębinowych, nieco uboższe niż to w Monaco, ale bądź co bądź wspaniałe i niezmiernie ciekawe, gdyż na nim opierają się biologiczne badania i studia nad życiem głębi morskiej. To akwarium zostało założone przez prof. Dohrna, oczywiście Niemca, ale ożenionego z Polką z domu Baranowską z Litwy a raczej z Białorusi. Byłem cały wieczór u jego syna, również profesora, który ma dzisiaj lat 78 i tam natknąłem się na nerw prawdziwie europejski. Matka profesora z domu Baranowska przełożyła na niemiecki pomnikowe dzieło Kalinki ,,Sejm czteroletni'' znany mi z biblioteki mego dziadka z Krzyworowni. Jeszcze dalej: ta pani Baranowska pochodziła z tej samej rodziny co babka mego dziadka. I jeszcze dalej: poeta Tadeusz Miciński, autor ,,W mroku gwiazd'', był przyjacielem tej rodziny i kiedy wyjechał z Warszawy w roku 1918 na Białoruś, by uratować i przywieźć chorą panią Baranowską-Dohrn do swoich, to został gdzieś po drodze zamordowany (podobno wzięto go za przebranego generała). Może za szczyt wszystkiego należy uważać, że obecny prezydent Niemiec *Heuss*, zaprzyjaźniony z rodziną Dohrnów, w okresie hitlerowskim, chociaż zasadniczo nie wolno mu było pisać, napisał przecie biografię starego Dohrna, w której znajduje się obszerny rozdział o pani Baranowskiej, o majątku na Litwie, o przekładzie Kalinki itd. I jeszcze jeden szczególik: żona prof.

Dohrna, tego którego poznałem, była Rosjanką i nazywał się z domu *Żiwago*. Córka mówi dobrze jeszcze po rosyjsku a prof. Dohrn przemawiał, w szczególności do mojej żony z kurtuazji po polsku i kazał dla nas przygotować polsko francuską kolację.

Mówi się zazwyczaj, że świat jest mały, ale raczej należałob powiedzieć, że rodzina europejska jest dość wielka i trzym się mimo wszystko jeszcze co najmniej ostatkami sił. Znaj oni także Czapskiego i lubią go i cenią. I nasz Herling-Gru dziński (który z kolei wszedł w rodzinę Benedetto Croce) za przyjaźniony jest z nimi i tylko Pana tam brakowało i brakuje ale obiecałem, że Pana przywiozę. Tę zresztą obiecankę, choćb bez Pańskiej zgody, rozsypałem dość szczodrze naokoło; w szczególności John Marbach chciałby stworzyć Akademię Poez Europejskiej na tle odczytów o tej poezji (i tu wspomniałem z przekonaniem, choć również bez jego zgody, Mariana Pan kowskiego).

Mówiliśmy też gęsto o Panu z racji wizyty u Gaetaniego z tej samej rodziny co okropny papież Bonifacy VIII, któr nie tylko przepędził świętego pustelnika na tronie papieskim zwanego Celestynem V, ale tak wydatnie przyczynił się d twardego losu Dantego i bądź co bądź niemało go ,,zachęcił (przez odwrotność, jak mówią chasydzi) do stworzenia Inferna bo tam, już za życia Bonifacego, przygotował mu Dante ,,cie płe'' miejsce. Młody Enrico Gaetani jest świetnym poeta odczytywał nam szereg wierszy, które kiedyś poślę Panu przypuszczeniu, że zechce Pan je przełożyć, także żona jego z znanej holendersko-angielskiej rodziny jest poetką włoska Włoski język zawiera coś takiego, iż sobie myślałem, że i Pa mógłby wkrótce pisać po włosku. Ja brnąłem po kolana w włoszczyźnie, nie lękając się poruszać, przy wszystkich moic brakach językowych, najtrudniejszych tematów.

Najciekawsza może para i bardzo sympatyczna, to dawn proletariusz żydowski z Warszawy, obecnie nazywa się Rodolfo ale naprawdę Ruwyn, mówi dotąd jeszcze dobrze po żydow sku, a trochę nieśmiało po polsku, jego żona hrabina neapo litańska, bardzo delikatna poetka. Rodolfo Ruwyn, o przybra nym nazwisku Banet, jest malarzem i w ostatnich latac wyrobił się na świetnego malarza ceramika, o niesłychan intensywnych barwach i ruchach rytmicznych postaci, z kto rych ma się ochotę zgadywać do jakiej melodii tańczą. Jest o nauczycielem ceramiki w Scuola Svizzera i ma już kilka zamo wień na mozaikowe fontanny w kilku miastach włoskich. Kied pani hrabina Filangeri-Banet, osoba nieco cieplarniana i dlateg rozmarzona komunistycznie, miała silny atak migreny, zorga nizowaliśmy odczytywanie jej poezji i to natychmiast pomogł Rodolfo-Ruwyn, zakochany w żonie, stwierdził, że żadn lekarstwa tak jej nie pomagają jak takie komunikowanie s ze słuchaczami za pomocą jej własnych wierszy. Trzeba doda że ma on bardzo charakterystyczną tragiczną i równocześn pełną ciepła, żydowską twarz, tak że można by go pozn

nie tylko w Neapolu. Spotkali się na ulicy i (jak mówili) natychmiast wiedzieli, że do siebie należą, kiedy Ruwyn wylądował w Neapolu w mundurze angielskiego żołnierza (po wielu perypetiach, między innymi po pobycie w niemieckim obozie jeńców, jako żołnierz francuski).

Trzeba już skończyć, więc tylko wspomnę co najmniej tyle, że podczas pobytu na wulkanicznej wyspie Ischia ,,odkryłem'' tam miejsce lądowania Odyssa i ,,pralnię'', gdzie w ciepłej (nawet gorącej) wodzie prawdopodobnie prała wraz ze swymi służącymi bieliznę księżniczka Nauzykaa, posłana tam przez Atene, aby uratować rozbitka. Może Pan wie, jak bawią mnie te wszystkie ,,identyfikacje'' homeryckie, niemniej bawiła mnie moja własna, bo sądzę, że żywiołem Odyssei jest *całe* Morze Śródziemne. Zachodzi tu może coś podobnego, jak w wywodzie ,,etnograficznym'' mazowieckich melodii Chopina, jak wiadomo nie udało się to, bo nie jakaś melodyjka, lecz całe Mazowsze jest żywiołem muzyki Chopina.

Teraz mam pewne miłe zadanie w Bernie: przekonać Szwajcarów do przekładu Odyssei na *berneńskie* narzecze, celem wydania tego przekładu z funduszów państwowych. Autorem przekładu jest nauczyciel szkoły powszechnej Albert Meyer, który już teraz prawie zupełnie ogłuchł, a tylko przysłuchuje się wciąż jeszcze Homerowi (*pendant* do ślepoty Homera). Przekład należy do najlepszych jakie znam, porywający a przy tym bardzo dosłowny, niezmiernie jędrny, a równocześnie naiwny. Wbrew uprzedzeniom panującym w Szwajcarii na korzyść obowiązującego *niemieckiego* (pseudoklasycznego) przekładu Vossa, w długich i cierpliwych lekturach wspólnych przekonałem do Meyera szereg Szwajcarów, między innymi Zbindena, tak że przyczyni się on prawdopodobnie do jego wydania.

W dwu i półgodzinnej lekcji homeryckiej w progimnazjum w Thun, należycie zresztą przygotowanej przez mapę Morza Śródziemnego i rysunek okrętu homeryckiego, przekonałem też siebie i innych, że nie ma lepszego sposobu zaczynać z Homerem, jak odczytywać go wyrostkom dwunastoletnim — podobnie jak to było w Grecji — i to w tekście, względnie w wersji bliskiej uchu, sercu i wyobraźni. Widziałem bowiem z jakim zapałem suchali chłopcy *berneńskiego* przekładu V księgi Odyssei, to jest przeprawy Odsysa przez morze od nimfy Kalypso. Jakież to odległe od lektury *pseudoklasycznych* przekładów, czytanych w późniejszym okresie życia, niekiedy z uczuciem wyższości, jeśli nie nudy.

Może więc dość będzie na dzisiaj, choć jest to tylko słabym wyrazem tego, że z wdzięcznością i czule ciągałem Pana wszędzie ze sobą.

Stanisław VINCENZ

Fragmenty z dziennika

Poniedziałek

PIESEK MOKRY, LUB TYLKO WILGOTNY, DO WYBORU

Środa

Każdy adwokat, inaczej ,,mecenas'', pławi się w górnym mniemaniu o swojej ,,kulturze ogólnej'' (bo to przecież ,,prawo kształci''), a byle inżynier od wodociągowej rury uważa siebie za naukowca całą gębą, niczym Heisenberg. Zbędne nadmieniać iż w rzeczywistości mają więcej niż słabe pojęcie o wyobrażeniu

Wczoraj. Jakież irytujące! Przez dwie godziny musiałem znosić przemądrzałość obu tych gatunków półinteligenta z dyplomem. Niewiarygodna głupota. Mecenas z tym swoim fasonem prawnika, ze światopoglądem, stylem, formą zalatującymi owym nieszczęsnym uniwersytetem, jak garnitur zalatuje naftaliną... Inżynierzyna głosił wyższość nauki ścisłej, bo to, panie, takie tam filozoficzne czy artystyczne romanse nie dla zdyscyplinowanego umysłu i ,,czy panowie słyszeli o kwantach?'' Poziom straszny. A każdy z nich opatrzony i uzupełniony połowicą która z samiczą ekstazą uwielbiała jemu ten intelekt. Smutne że uniwersytety produkują rok rocznie tysiące osłów, z których każdy znajdzie sobie prędzej czy później swoją niezawodną oślicę.

Jak zaradzić temu, żeby wyższe uczelnie nie fabrykowały takiej tandety, nie psuły tak okropnie powietrza w świecie cywilizowanym? Coraz gęściej wokół mnie od młodych kretynów tej uniwersyteckiej fabrykacji, chemicznie wypranych z naturalnej inteligencji. W Ameryce Południowej też zaczyna być duszno od studenterii, która wie tylko to co się jej wsadza w głowę i

wyfaszerowana wiadomościami, zatraciła poczucie takich imponderabiliów, jak charakter, rozum, poezja, wdzięk. Ordynarna brzydota tych pracowników intelektualnych, specjalistów od medycyny, prawa, techniki itd, nawet tu, w Argentynie, zaczyna dawać się we znaki. Niewrażliwi na sztukę, nie znający życia, formowani przez abstrakcje, są zarozumiali i ociężali, a pierwszy lepszy czeladnik jest wobec nich uosobieniem książęcego wdzięku. Lubię doprowadzać do furii tych nieestetycznych głuptaków, albo też topić w chaosie zmyślonych na prędce nazwisk i teorii — oby mnie kiedyś nie pobili! Bawi, że te gminne natury skazane są wyłącznie na naukę — reszta, wszystko poza tym, całe życie duchowe plemienia ludzkiego, to dla nich nabieranie gości — wskutek czego bez przerwy umierają ze strachu żeby nie dać się nabrać.

Z rozkoszą podjudzam tedy ich chłopską nieufność do ,,literata'', tego nabieracza par excellence, i podpuszczam od czasu do czasu minę, czy słówko, zgoła wątpliwe a nawet wręcz pajacowate. Ich prostacki szacunek dla powagi jest tak wielki, iż zupełnie od tego baranieją. Albo zajeżdżam ich arystokracją i genealogią, chwyt niezawodny, gdy chodzi o doprowadzenie bałwanów do zupełnego zbałwanienia.

A jednak... arystokracja... A jednak... arystokracja... O, arystokracjo, a jednak jesteś może czymś więcej niż złośliwym żartem. Bożyszczem gminu jest *pożytek,* a bożyszczem arystokracji *przyjemność..* Być pożytecznym i nieprzyjemnym — oto meta rozwoju każdego robota i speca. Być tak bardzo pożytecznym, aby się mogło być nieprzyjemnym — to ich marzenie. Gdy marzenie arystokratów jest akurat odwrotne: być do tyla przyjemnym, iżby się mogło być niepożytecznym. Otóż, co do mnie twierdzę i zapisuję to jako jeden z kanonów mojej wiedzy o ludziach — ten kto pragnie podobać się ludziom łacniej dostąpi człowieczeństwa, niż ten, kto pragnie być tylko pożytecznym sługą. Forma!

Czwartek

PIESEK BIAŁY, SMACZNY, DOBRZE ODŻYWIONY.

Piątek

Moim uczniom mówię: pamiętajcie, że nie jestem jednym z waszych zacnych, patentowanych i gwarantowanych profesorów. Ze mną nigdy nic nie wiadomo. W każdej chwili mogę powiedzieć głupstwo, albo skłamać — w ogóle, wystrychnąć na dudka. Ze mną nie ma żadnej gwarancji. Jestem drań — lubię się zabawić — i gwiżdżę — gwiżdżę — gwiżdżę... na was i na moje nauczanie.

Sobota

ZAMIENIĘ PSA CZARNEGO, GRYZĄCEGO, NA DWA STARE.

Sobota

Szedłem ścieżką przez dużą polanę w lasku santiageńskim, teren zdaje się przeznaczony na zabudowania, porosły rzadką trawą, z białymi łysinami piasku, nieciekawy — posuwałem się zwolna, zamyślony, patrząc pod nogi, a słońce już zaszło — przechodziłem obok rumowiska, złożonego z cegieł porzuconych i szczątków maszyn i skrzyń — gdy w tym ścieżka wzbiła się nieco pod mymi stopami, niewiele, trochę tylko, w następstwie lekkiego wzdęcia gruntu — i zaraz opadła. To wystarczyło. Poczułem, że ziemia z dołu uderzyła we mnie falą, doznałem jej falowania, jej niespodziewanej, utajonej prężności. Stój! Co to?! Czy ścieżka ożyła? Czy ziemia ożyła? Stój, stój, na Boga czy to możliwe żeby rzeczy stały się żywe... ależ w takim razie *ty musiałbyś nieodwołalnie stać się martwym przedmiotem*. Jakto? Jakto? Trzy kamyczki na ścieżce przykuły mój wzrok jeden obok drugiego... czy nie jest możliwa inna interpretacja kosmosu, w której ich martwota stałaby się życiem, a moje życie śmiercią? Nie, precz z tym, to zbyt naciągane, to fantastyczne ale — posłuchaj — gdyby oprócz świata żywego i świata martwego, istniał jakiś trzeci świat — trzecia zasada — och, o które nam się dotąd nie zamarzyło, zapewniająca aktywność przedmiotowi, przetwarzająca przedmiot w podmiot? Ująć te trzy kamyczki jako *aktywne*... Byłże by możliwy bezwład czynny? Stój! Stój! Co za głupstwa!...

Wszystko to dlatego, że jesteś rozgarniętym chłopcem. Dlatego nie ma idiotyzmu, który by był dla ciebie niejadalny... inteligencja i wyobraźnia oddają cię głupocie, gdyż nic już nie jest dla ciebie dość fantastyczne... i stoisz na ścieżce, jak uwiedziony nagle głupstwem, które za tysiąc lat — za tysiąc lat, och, ty synu tysiącleci — gotowe stać się czymś pokrewnym prawdzie.

Poniedziałek

PIES MOKRY I TŁOSTY. *Znamienna wypowiedź wysokiego urzędnika.* Towarzysz minister Kultury i Sztuki powiedział przez radio (grudzień 1958): *„Jest coś nienormalnego w dzisiejszej sytuacji. Weźmy przykład pierwszy z brzegu: książka Gombrowicza, jest smaczkiem literackim, recenzowana jest przez wszystkie nasze pisma i to nie raz, lecz wielokrotnie, podczas*

gdy książki dla masowego odbiorcy w ogóle nie są recenzowane".

I za chwilę, w tym dialogu o polityce kulturalnej, czy też, jak oni mówią „kulturowej" przed mikrofonem Polskiego Radia towarzysz Minister znowu powraca do tegoż obsesyjnego tematu.

„Ma bardzo dużo wspólnego z polityką kulturalną fakt, że, na przykład, przy małej ilości miejsca w prasie, Gombrowicz jest recenzowany 25 razy, a Wanda Melcer na przykład — ani razu".

Rozumiem. To już obsesja. I to już oznacza bardzo ostrą dietę. Skończona idylla.

A to mi balet! Jaka szkoda, że moi koledzy na Zachodzie nie znają tego kontredansu z własnym narodem — raz od pieca, raz do pieca. Przez dziesięć lat jest się niczym, przez dwa lata — znacznym, po czym człowiek mocą kulturowej dyspozycji staje się autorem „smaczków literackich", zresztą, owszem, niezłych.

To „zresztą" najbardziej mnie niepokoi. Jabym może wolał żeby oni dziko i krańcowo o mnie zamilkli na amen, jak to się działo jeszcze niedawno, aby na stosie mnie spalili, lub w klozecie utopili. Sztuka, jak wiara, jednego tylko się boi: letniości. Ale oni — kulturowo. Z planem. Owszem — trochę pochwalić można, żeby nie wyglądało na terror... ale nie zanadto. To „trochę" zabija, jak trucizna w małych dawkach, powoli sączona.

Środa

PSY PRZYGRYZAJĄ SOBIE W UPAŁ

Czwartek

Rozpamiętując moje liczne przerażenia dochodzę do wniosku, że moja słaba odporność, moje, po prostu, tchórzostwo — które utrudnia mi np. wejście do windy i pojawia się, gdy wsiadam do tramwaju, które zatruwa mi życie — pochodzi z tej właściwości (a może maniery) mojej wyobraźni, że mnie męka objawia się przeważnie w jakimś aspekcie podrzędnym, drobniejszym. Dla mnie „duszę się" to nie ten moment, gdy płuca pękają, a tylko gdy zaczyna brakować powietrza — ale zaczyna na dobre. Złamanie nogi gotów jestem wyobrażać sobie jako ból pleców, gdy nie można zmienić pozycji, a wojnę jako smak przedwczorajszej herbaty, wrzód na palcu i ciemność. Taka wizja toczy odwagę, jak robaki drzewo.

Co ma wspólnego strach z niewinnością? A jednak maksymalne przerażenie to dla mnie coś tak czystego jak... maksymalna niewinność.

PIES ŻÓŁTY, NADGRYZIONY, ZRESZTĄ NOWY.

Czwartek

Nowy rok 1959 w Tandilu. Stąd, z pięknej willi Maurów gdzie mieszkam jak król, pieszczony ich gościnnością, oglądałem wystrzały świetliste rac nad miasteczkiem, zaszytym w kotlinie. A z tyłu miałem ciemną ścianę góry iglastej, wspinającej się stromo, jak koń — i niemej. Z prawa i z lewa otwierające się duże, nocne odległości, zgubione wśród wzgórz. Piliśmy szampana.

Czwartek

Jak mało napisałem w ubiegłym roku ! Trochę dzienników. Trochę tej ,,Operetki'', którą teraz znów zarzuciłem. Cóż Choroba ! Jeszcze jestem nieświetnie ze zdrowiem, choć Zellner już zdołał postawić mnie na nogi.

Co mam do roboty ? Wyliczmy — to może zainteresować — tych mianowicie, co mną się interesują... (Zakłócenie perspektywy wskutek wzrastającej sławy : zatraciłem dawniejsze, jasne rozeznanie pomiędzy tym, co w pisaniu moim nudne, a co ciekawe, gdyż teraz coś nudnego może zaciekawić dlatego jedynie, że mnie dotyczy ; tak to wzrastające ,,ja'' moje wywołuje konfuzję...).

Wyliczmy przeto :

Skończyć niniejszy fragment Dziennika.

Wykończyć drugi akt ,,Operetki'' wprowadzając wątek ,,matki łajdaczki'' i nasilając role Firuleta i Szarma.

Przejrzeć tłumaczenie francuskie ,,Dziennika''. List do Suzanne Arlet.

Koresoondencja : Janusz, Kot, Alicja Giangrande, Giedroyc, *Preuves*, Koszella etc. Alice de Barcza.

Przejrzyć notatki o Heideggerze ze względu na czwartą pogadankę w klubie ,,Amigos del Arte''.

Telegram do Świeczewskich.

Przygotować teksty dla radia.

Korespondencja z wydawcami.

Tłumaczenie francuskie ,,Iwony'' (ruszyć z martwego punktu). Pojęcia nie mam — nudne, czy interesujące, to wyliczenie ?

Piątek

,,On nie wie ! Tak dalece deprawujący okazał się ciężar tego ,,ja'' wzrastającego — i to ,,ja'' rosnące zakłóca mu coraz ba

dziej stosunek do świata. Oprócz choroby fizycznej, o której wspomina aby usprawiedliwić, że mało napisał, istnieje ta druga niemoc, chyba bardziej dolegliwa: on na dobrą sprawę nie wie co począć z tym Gombrowiczem, który od pewnego czasu jawi mu się w cudzoziemskich gazetach, już międzynarodowy, europejski, już (prawie) światowy. Niemoc tym bardziej upokarzająca, że przecież kłopot taki jest typowo gombrowiczowski — cóż bardziej jego, jako temat i problem, niż owo rozrastanie się osobowości, wydymanej sławą? Lecz to właśnie powiększa tylko jego bezradność — gdyż to zobowiązuje — i jemu nie wypada ze sprawą tak bardzo osobistą, tak przeżytą, wkraczać na już utorowane ścieżki, on musi znaleźć tutaj własne rozwiązanie i na pytanie ,,jak być wielkim?'' winien dać zupełnie osobną odpowiedź. No, pewnie! Nie będzie przecież uciekał się do ,,rozwiązań'' wielkości już znanych, a nawet oklepanych, nie dla niego, na przykład, afektowane mistrzostwo Anatola France'a... ale z chłopska prostoduszna, chytra a namiętna, wielkość Dostojewskiego również nie do użycia... zresztą całkowicie mu obca. A Olimp Goethego? A Erazm, lub Leonardo? Tołstoj z Jasnej Polany? ,,Dandyzm metafizyczny'' Jarry'ego, czy Lautréamonta? Tycjan lub Poe? Kierkegaard, lub Claudel? Nic z tego, żadna z tych masek, żaden z tych płaszczy purpurowych... trzeba zdobyć się na coś własnego... tylko z tym kłopot, że wielkość, ta stara k..., jest jedną z najbardziej niezawodnych przynęt sztuki, więc już tysiąc razy była w użyciu, i w rozmaitych wersjach. Znana jest wielkość patetyczna i pokorna, błazeńska i cyniczna, żarliwa i brutalna — chrześcijańska — pogańska — i liryczna — i sucha — i matematyczna... Przecież każda z tych starych odalisek inaczej swój taniec tańczyła''.

,,Ze wszystkich tych stylów wielkości, proponowanych przez tylu mistrzów, jemu najbliższy był może ten, który Tomasz Mann wypracował w ciągu długoletniej swej kariery. Mann bowiem zdołał — w duchu swojej epoki — związać w sposób ściślejszy, niż ktokolwiek inny, wielkość z chorobą, geniusz z dekadencją, wyższość z poniżeniem, zaszczyt ze wstydem, podszedł on do tego szalonego sprzęgnięcia sprzeczności ze szczerością wzbudzającą zaufanie... a zarazem potraktował tę wstydliwą sprzeczność nie jako coś zasługującego na wstręt i potępienie, ale właśnie jako coś namiętnego i odurzającego, a nawet godnego miłości, tak dalece, że wielki artysta w odtworzeniu mannowskim jest wstrętny i śmieszny, ale też wspaniały i pociągający... jak kochanek. Ta ,,sprawiedliwość'' mannowska w rozłożeniu świateł i cieni, ta głęboka inteligencja w ujęciu problemu, nad wyraz podobała się Gombrowiczowi i często zwykł on w rozmowach powoływać się na tego autora i na jego prześliczne w rysunku opowiadanie ,,Tonio Kröger'', w którym on, Gombrowicz, wcześnie odczytał swój los i powołanie. Ale w miarę upływu lat stawało mu się coraz wyraźniejsze, że ta szczerość rzetelność, jawność Manna były tylko jedną więcej kokieterią i jednym więcej w historii kultury forsowaniem — pod

pozorami szczerości, a nawet pokory — własnych tytułów do chwały. Rzeczywiście, ten śmiały burzyciel mitu „zdrowej" i „naturalnej" wielkości, ten ujawniacz brudów i nędz, burzył i ujawniał, jak się okazywało, tylko aby siebie samego zaopatrzyć w pomnik bardziej solidny, odporny, bardziej na rzeczywistości ufundowany i na świadomości. I coraz wyraźniej w miarę narastania dzieła mannowskiego, poza owym demaskatorskim burzycielstwem rewolucjonisty dawała się słyszeć ciężka retoryka, rozlubowana w dostojeństwie, mizdrząca się mistrzostwem, majestatyczna, purpurowa niczym kardynał. A, Mannie, stara ladacznico — takiż z ciebie kokiet ?!"

„Cóż tedy miał począć Gombrowicz? Czy można było, opierając się na Mannie, przezwyciężyć go — stać się nowym Mannem, Mannem o krok dalej? Nowocześniejszym o jedno pokolenie? Czy, słowem, w stosunku do Manna miał Gombrowicz spełnić akurat tę rolę, którą Mann odegrał w stosunku do swoich poprzedników? Zrujnować dialektycznie jego wielkość aby sobie nową, na wyższym piętrze świadomości, zafundować? Nasz kandydat na mistrza nie był pozbawiony pod tym względem atutów, zapewniających błyskotliwy sukces, miał do dyspozycji nową szczerość, a nawet nowy bezwstyd — wynikające z jego haseł, które głosiły wieczysty rozbrat między człowiekiem a jego formą i, w konsekwencji, pozwalały podejść do tych tak drastycznych kwestii ze swobodą, dotychczas chyba niespotykaną. Mógłby, na przykład, w swoim dzienniku opisać własny proces porastania w pierze, wkraczania w historię, przetwarzania się z szarego autorka w osobistość, jak gdyby nie o niego chodziło, jak gdyby ten triumf był jedynie narzuceniem nowej i niezbyt wygodnej „formy" — „zrobionej mu", a nawet „paczącej go". Stawać się wielkim? Jak to jest? Co się odczuwa? Jak to człowiek rozdwaja się i która z tych osób jest prawdziwsza? Mógłby wykazać (grążąc Manna), że wielkość jest zawsze nieautentyczna, to znaczy, że człowiek nie jest zdolny urzeczywistnić siebie w tym wyższym wymiarze, choćby nawet sława i podziw najsłuszniej się należały jego zdolnościom. Zwierzając się ze wszystkich małostek swego olbrzymienia z zupełnie niespotykaną bezczelnością, nudząc, męcząc, jątrząc owym rozrastaniem swoim mógł swoje wyznania przemienić w skandal literacki pierwszej klasy, a siebie w niesamowitego błazna wielkości. Co, w sumie, byłoby całkowicie zgodne z jego filozofią formy i chyba zapewniłoby mu dość oryginalne miejsce w historii kultury XX stulecia".

„Pewnie — ciekawe i wdzięczne zadanie! Bo to wcale nie oznaczało, że on ma ascetycznie wzgardzić wielkością — przeciwnie, to mu pozwalało z całym łakomstwem jej się oddać, pieścić się nią, upajać, pysznić — bo z chwilą, gdy przestał utożsamiać się z wielkością swoją, a traktował ją jako coś, co mu się zdarzyło, ona traciła swój intymny i wstydliwy charakter. Autoreklama też stawała się dozwolona, przecież rozprawiając na te tematy nie można było jej uniknąć i to ostatecznie też był

przyjemne a nawet dogodne. Gombrowicz nie był na tyle naiwny aby nie zdać sobie sprawy z niezwykłych artystycznych plusów tego, tak swobodnego, publicznego współżycia z wielkością — czytelnik bowiem lubi blask, woli opowieść o królach, książętach, czy wielkich artystach, szewcy lub drobni urzędnicy mało go interesują, jest on w marzeniu swoim artystokratą i, jakeśmy już powiedzieli, wielkość, ta stara kur...tyzana, jest bardzo skutecznym wabikiem i sex appealem panów w starszym wieku, z wieńcem laurowym na skroniach".

„PIES ZIMNY NA WIOSNĘ. Gombrowicz tedy mógł rzeczywiście ulepszyć problematykę mannowską — z jednej strony, kompromitując jeszcze bardziej wielkość, z drugiej, oddając się jej z nieporównanie większym bezwstydem i bez tego „mistrzowskiego" zadęcia, które stało się słabością Manna. Ale coś stawało na przeszkodzie... co takiego? Przede wszystkim okazywało się w praktyce (to jest gdy nasz autor zabrał się w „Dzienniku" do urzeczywistniania tego programu, zamieszczając z początku drobne i powściągliwe wzmianki o swej sławie), że konwenans, zakazujący piszącemu „samochwalstwa" i głoszący, że tego typu informacje „nudzą", jest wyjątkowo trudny do przełamania — o wiele trudniejszy niż gdyby chodziło o zwykłe gombrowiczowskie rozwodzenie się na własny temat (co także przecież wzbudzało spore opory). Dlaczego ludzie reagowali aż tak ujemnie? Przecież powinno być na odwrót. Sukces, sława, powodzenie, rosnący prestiż — toż to smakołyk, szary czytelnik uwielbia takie blaski w wymyślonych od a do zet powieściach, więc cóż dopiero w prawdziwym dzienniku, dotyczącym rzeczywistego losu, będącym autobiografią? A jednak wyraźnie dawały się wyczuwać złość, niechęć, znudzenie, nawet wstydliwość niekłamana... zupełnie jak gdyby czytelnik naprawdę „nie chciał o tym słyszeć".

„Dziwniejsze jeszcze, że niechęć czytelnika znajdowała potwierdzenie w wewnętrznej niechęci autora — niechęci również nie dającej się uzasadnić, od czegóż bowiem dysponował Gombrowicz takimi zapasami wolności duchowej? Jednakowoż był to opór... jakieś niezadowolenie z siebie, podobne czasem do wyrzutów sumienia, a czasem do żalu... gorycz, i nuda, i nawet przykrość, czy ból, które doradzały „nie bierz się do tego, zostaw, nie wtrącaj się — niech będzie, jak jest"... Co się działo? Skąd ta trudność? Ten protest nie rodził się z intelektualnej krytyki, był odruchem o ileż bardziej spontanicznym... było to tak, jak gdyby on, niszcząc wielkość swoją, niszczył własny sen o sobie z czasów młodości i jakby ostatecznie likwidował ten „projekt" ukochany, młodzieńczy, dotyczący własnej swej przyszłości. Tu więc coś bardzo osobistego, lirycznego, poufnego, stawało na przeszkodzie, coś związanego — uwaga! — z młodością i coś prawie tak wstydliwego, jak miłość. Sprawa stawała się drastyczna i bolesna... Nie był to problem intelektualny, było to coś z dziedziny może religijnej, może miłosnej... Miłość? Młodość? Czy było możliwe, że Mannowi, choć tak przepojone-

mu ideami Freuda i bardziej zbliżonemu do Freuda, niż do Schopenhauera, wymknęła się właściwa interpretacja tego kompleksu starców, zwanego wielkością? A jeśli tak... co tutaj pozostało niedopowiedziane?"

„ — Dobrze — myślał Gombrowicz — dobrze... Mistrz, u Manna, jest pociągający dla ucznia. Uczeń „kocha" mistrza. Jeśli we wczesnej fazie rozwoju pociągająca, zachwycająca, jest zwykłość, to niezwykłość, wybitność, staje się powabem późniejszej fazy... Lecz jeśli tak jest, jeśli wybitność jest pociągająca, czemuż objawia się jako siła — nie jako słabość? Przecież — i jest to prawda, o której nie należy zapominać — tylko słabość i niedostateczność są czarujące, nigdy — siła i pełnia. A Freud i Mann wprawdzie umieli wydobyć całą nędzę biologiczną, towarzyszącą wielkości, owe zboczenia, choroby wielkiego męża, ale to co stanowi o wielkości, co jest geniuszem, talentem, iskrą olimpijską, płomieniem Synaju, to u nich jest jednak potężne, pyszniące się wszystkimi blaskami Pełni i Rozkwitu...".

„A to nie odpowiada prawdzie (myślał dalej). Niedostateczność nie jest czymś, co towarzyszy wielkości, wyższości, a tylko jest to jej „quid", substancją. Wielkość — powiedzmy to w końcu — jest niedostatecznością!

„Szalony! Szalony! Znów dosiadał swego konika! Twarz jego, pochylona nad papierem, przybrała wyraz dramatycznego natężenia, szukał czegoś, czegoś co było może zbyt nieuchwytne... i może prawda jego zawarta była w pościgu, a nie w osiągnięciu... Ach, jak przejrzyście i składnie to wszystko kształtowało mu się w teorii: czymże bowiem był tzw. wielki człowiek, jeśli nie produktem nieustannego wysilenia, sztucznego wyolbrzymiania dojrzałości, skrzętnego ukrywania swych braków, przystosowywania się usilnego do innych wybitnych, którzy dopuszczali się takiego samego fałszerstwa — i czyż wielkość nie była tworem „międzyludzkim", jak cała kultura? A w takim razie ten, kto w sferze życia zbiorowego ulegał wywyższeniu, musiał osobiście być zawsze poniżej... i tu właśnie wielkość, wybitność, dostojność, mistrzostwo stawały się niedostateczne, niedojrzałe... spowinowacone pokątnie ze wszystkim młodym... Mistrzostwo było więc wieczystym partactwem! Wieczystą słabością i czarem! Tak! Tak! Ale, wobec tego, dlaczego nie mógł on, Gombrowicz, znaleźć dla tej teorii odpowiednika praktycznego, czemuż ta myśl stawała się nieznośna, gdy usiłował wprowadzić ją w życie na stronach Dziennika?"

„Coraz jaśniej ukazywało się naszemu kandydatowi na mistrza, że jego formuły nie wyczerpują sensu życiowego tych spraw... sensu „pustego", sensu może „opacznego", a może „sprzecznego z sobą"... Boże wielki, któż znajdzie właściwe słowo na myśl wymykającą się, umykającą!... I coraz bardziej stawało się widoczne, że nie można zanadto ujawniać kulis przedstawienia, w którym bierze się samemu udział — tu gra zbyt była pasjonująca, kokieteria zanadto istotna, ważna... zasadnicza... wchłaniająca...".

„Szukał. Rozglądał się za jakimś „rozwiązaniem". Ale póki co zrezygnował w Dzienniku z frontowej napaści na te trudne zagadki, tudzież z wynalezienia nowego, własnego „genre'u" wielkości. Postanowił poczekać... Przyjrzeć się — zresztą — bliżej, jak to będzie w końcu z tą jego wielkością i jaki rodzaj, ostatecznie, jest mu sądzony: czy trudna wielkość arystokratyczna, niezrozumiała dla tłumu, skazana na szczupłe grono wtajemniczonych, czy ta, bardziej łatwa, popularna?... Jedyne, na co się zdobył na razie, to wprowadzenie w Dziennik „drugiego głosu" — głosu komentatora i biografa — co pozwalało mu mówić o sobie „Gombrowicz", jakby cudzymi ustami. Był to, w jego pojęciu, ważny wynalazek, wzmagający niezmiernie chłodną sztuczność tych zwierzeń, a zatem pozwalający na większą szczerość i namiętność. I było to coś nowego, czego nie napotkał w żadnym ze znanych mu dzienników".

„Ciekawa, rzeczywiście, inowacja. I może ważniejsza niżby się zdawało. Gombrowicz już od dawna zauważył, że wielki styl nie tylko jest wielki, ale i nieustannie trąca cię pod żebro szepcząc: „uwaga, nie przegap, jestem wielki". Wielki styl posiada własnego swego mistrza ceremonii, a także wykładowcę i komentatora. A zatem ten podział na głosy był uzasadniony samą strukturą stylu i mocno wsparty na rzeczywistości. Lecz poza tym — jakież to wzbogacenie móc mówić o sobie w pierwszej i w trzeciej osobie jednocześnie! Wszak ten kto mówi o sobie per „ja" musi z konieczności tyle niedopowiedzieć i tyle sfałszować — a ten, kto by potraktował siebie per „on" i próbował opisać się z zewnątrz, też operowałby tylko cząstką prawdy. Więc to przerzucanie się od „ja" do „Gombrowicz" mogło (stopniowo, w miarę doskonalenia i pogłębienia tej praktyki) doprowadzić do ciekawych rezultatów".

„I pozwalało chwalić się i demaskować jednocześnie!"

Poniedziałek

Mecz footbolowy na stadionie River Plate. Ze 30.000 widzów, Słonko przygrzewa. Naraz nad trybunami, rozgadanymi w niecierpliwym oczekiwaniu na zaczęcie walki, jawi się balonik... Balonik? Wszyscy widzą, że nie balonik a prezerwatywa, wydęta olbrzymio czyimś nieprzyzwoitym oddechem. Prezerwatywa-balonik, wspomagana prądami bijącymi w górę z rozgrzanej publiczności, szybuje nad głowami, a gdy opadnie podbijają ją nieznacznie dłonie żartownisiów... i tłum wielotysięczny wpił się wzrokiem w ten fruwający skandal, tak straszliwie widoczny, tak rażący! Milczenie. Nikt nie śmie pisnąć. Ekstaza. Wtem jakiś „padre de familia", oburzony, dziabnął ją scyzorykiem Pękła.

Gwizd! Wycie! Wściekłość niewiarygodna wytrysła zewsząd — z bliska i z dala — a przerażony „ojciec rodziny" wieje

co prędzej najbliższym wyjściem. Opowiadał mi to Flor de Quilombo (a) Flor (a) Florquilo (a) Quiloflor (a) Coliflor (a) Floren-coli (a) Coli-en-flor.

PIES TAKI SOBIE, JAK PANI RÓŻA, BO JA WIEM.

Witold GOMBROWICZ

Strapienia tłumacza

I

Właśnie na zamówienie „Kultury" skończyłem przekład dwudziestu pięciu wierszy Borysa Pasternaka, zamykających powieść „Doktor Żiwago". Nie jest to pierwszy mój kontakt z najwybitniejszym współczesnym poetą rosyjskim. Przekładałem go dorywczo przed wojną, a tłumaczenie świetnego „Demona" („Prichodił po noczam...") ukazało się bodaj-że w roku 1937-ym, w warszawskim „Pionie".

Co innego jednak tłumaczyć wiersz w y b r a n y, a więc w jakimś stopniu bliski, ulubiony, a co innego — cały cykl, który z natury rzeczy zawiera utwory także dla tłumacza obojętne. W zwykłych warunkach, jeśli trafiasz na wiersz, który wydaje ci się nie przetłumaczalny, zawsze możesz go pominąć, wybrać inny. W tym wypadku nie było to możliwe. Trzeba było wziąć się za bary z całością, nie opuszczając ani jednej zwrotki, ani jednej linijki.

„Wiersze Jurija Żiwago" — bo taki jest tytuł tego zbiorku, stanowiącego siedemnastą, ostatnią część powieści — są poetycko bardzo nierówne. Obok świetnych liryk, przypominających Pasternaka z lat najlepszej formy, znalazło się kilka utworów raczej słabych, wyraźnie puszczonych. Przypisane czołowej postaci powieści, usprawiedliwiają w tym sensie pewien liberalizm autora. Ostatecznie, zawsze można przymrużyć oko i oświadczyć: To nie ja pisałem te wiersze, to doktor Żiwago!

I właśnie te słabsze pozycje, przyznaję, przekładałem bez przekonania, z obowiązku. Każdy, kto posiada poważniejsze doświadczenie w tej dziedzinie pracy poeytckiej, wie, jak bardzo trudno pokonać w podobnym wypadku piętrzące się trudności. A jest ich jeśli chodzi o Pasternaka — niemało.

Wprawdzie z biegiem czasu nabrał on większej prostoty, pozbył się nadmiernych komplikacyj metaforycznych, stał się czytelniejszy. Bryły zdań już nie piętrzą się wzburzonym

potokiem, układają się spokojniej w zamierzony ład; język jest bardziej powszedni, kolokwialny. Jednocześnie jednak wzrósł poetycki lakonizm i niezmierna konkretność wizji. Poetów wielosłownych i malowniczych przekładać łatwiej; im większe skąpstwo słów, tym trudniej. To dlatego z Rosjan tak ciężko ugryźć Puszkina, akmeistów i właśnie Pasternaka. Jesienina — najłatwiej. A już soc-realistycznych wierszopisów sowieckich można przekładać dosłownie na kopy. Wystarczy odkręcić kurek.

II

Istnieje wielce rozpowszechnione przekonanie, że najłatwiej przekładać z języków pokrewnych. Jest to oczywiste nieporozumienie. Niewątpliwe bowiem ułatwienia znajdują całkowitą kompensację w niemniejszych komplikacjach. Zbieżności dźwiękowej słów często odpowiada rozbieżność znaczeniowa. Rosyjski s t u ł to polskie k r z e s ł o, a nie s t ó ł. Rzekome ułatwienie staje się w tym przykładzie utrudnieniem. A ileż to razy złudzony pozorami tłumacz daje się ponieść optymizmowi i w wyniku siada na stole, zamiast na krześle. Jeden z dobrych tłumaczy poezji rosyjskiej trafił na znany wiersz Jesienina, kończący się słowami :

Niknut sosny, niknut jeli
i kriczat jemu : Osanna !

Złudna zbieżność dźwiękowa podyktowała : Nikną sosny i choiny... Nikną, znikają, a znikając, krzyczą? Oczywista nie tak. N i k n u t znaczy — pochylają się, kłaniają, p a d a j u t n i c , czyli padają na twarz. Wyszedł więc absurd. Poczciwy Bohdan Zaleski przerobił k a l o n y j e (hartowane) s t r i e ł y na k a l i n o w e . Ładny mi hart rzewnych kalinowych gałęzi ! W bardziej anegdotycznym ujęciu przypomina się słynne — K a k a j a u w a s k r a s n a j a r o ż a ! — i wynikający z tego komplementu blamaż Bogu ducha winnej pani Barykowej.

Ale najważniejsze to rytm. W przeciwieństwie do języków wschodnio-słowiańskich, stały akcent w polszczyźnie uniemożliwia używanie niektórych miar rytmicznych i niezmiernie redukuje swobodę w stosowaniu męskich rymów. Wiersz czysto daktyliczny jest w ogóle niemożliwy. Tuwim długo mordował się, żeby oddać śpiewność Niekrasowa i nic z tego nie wyszło. Proszę uratować w polskim przekładzie : *I ugas on słowno swieczeń-ka...* Akcent pada na trzecią sylabę od końca. Niemożebność ! — jakby powiedzieli na Powiślu. To samo u Pasternaka : *Tam wdali, po driemuczym u-ro-czy-szczam...* Akcent pada na *ro;* trzeba albo zrezygnować z przekładu w ogóle albo zastąpić dźwięczący daktyl skromniejszym amfibrachem czy nawet szarym trochejem. Innej rady, niestety, nie ma.

A cóż z męskim rymem? W rosyjskiej poezji (również ukraińskiej) cieszy się on pełnią praw obywatelskich, w polskim rzadziej dochodzi do głosu. Zdobywa niekiedy wyłączność w krótkim wierszu lirycznym (mickiewiczowskie ,,Słowiczku mój, a leć, a piej...''), na ogół jednak stanowi zbyt nikłą mniejszość, by stawać do walki o prymat, czy choćby równouprawnienie. Władysław Syrokomla założył się kiedyś, że napisze dłuższy poemat męskimi rymami. Tak powstało ,,Tręzlowe'', istotnie niebylejaki popis wersyfikacyjny. Ale co innego rubaszna, szlachecka gawęda, a co innego nowoczesna poezja. Zresztą i w ,,Tręzlowem'' nie obeszło się bez żeńskich podpórek.

Od czasów Puszkina Rosjanie kochają się w stopie jambicznej, spływającej przy końcu wiersza energicznym rymem męskim, jak ciosem rzeźbiarskiego dłuta. Brzmi ona doskonale i w polszczyźnie, a już Tuwim doszedł w jej stosowaniu do mistrzostwa. Tu jednak zasadnicza różnica. W poezji rosyjskiej można pisać jambem niezależnie od długości wiersza, w polskiej tylko w wierszu krótkim, co zwłaszcza przy pracy przekładowej stwarza dodatkowe trudności.

Teoretyczna zasada każe zachować rymy męskie. W praktyce — albo się to udaje, albo nie udaje. Walenie kłody przez pień doprowadza przeważnie do porażki. Jerzy Liebert, który we własnej poezji władał rymem męskim jak mało kto, doskonale przełożył kilka wierszy Aleksandra Błoka (świetne, kongenialne ,,Kroki Komandora''). Natomiast w przekładzie ,,Sępa'' uparł się właśnie walić kłodę przez pień i poniósł całkowitą klęskę. Błok zapytuje:

Dokole matieri tużyt'?
Dokole korszunu krużyt'?

Liebert, pragnąc za wszelką cenę utrzymać męski rym, przełożył: ,,Kołuje sęp nad morzem łąk, zawodzi matka w krąg...'' — i położył się jak długi. Bo i sensu nie oddał, i rytm przekabacił, i pytajniki pogubił i na dodatek potknął się o pechowe, antypoetyckie ,,zawodzi... w krąg...''. Cena okazała się zbyt słona. Oto jaskrawy przykład, jak nawet najlepszy tłumacz popełnia gaffy, jeśli dla utrzymania męskich rymów poświęca całą, nierównie ważniejszą resztę.

W grudniu ubiegłego roku Zoja Gurjewa ogłosiła w ,,Wiadomościach'' przekłady dwóch wierszy Pasternaka. Tłumaczka włożyła niemało pracy, widać żmudny wysiłek w każdej linijce i szlachetną ambicję nie uronienia niczego z właściwości oryginału. I znowu, jak u Lieberta, zemściło się uparte ratowanie rymów męskich. ,,I morza Martwego był bezwład za tło...'' — to brzmi zbyt sztucznie, żeby było dobrze. Albo ,,rozświetlał zakręt szlaku, co się w i ł . . . ''. Oczywista, że skoro ,,zakręt szlaku'', to się wił. A u Pasternaka po prostu: ,,był poworot dorogi ozarion''. Na każdym kroku stwierdzamy ciężkie łamanie się z niewdzięcznym materiałem języka, siłą naginanego do obcego mu kształtu. A niekiedy pokorna rezy-

gnacja daje lepsze wyniki, niż najszlachetniejsza ambicja. Tu nie tylko rymy wypadły sztucznie, ale na domiar złego pociągnęły za sobą konieczność ciągłego watowania wiersza i natrętnych wstawek, nie mających nic wspólnego z oryginałem.

Nie piszę tego w zamiarze brzydkiego krytykowania innych, lecz by w bardzo chytry sposób usprawiedliwić samego siebie. Po wielu bezskutecznych próbach i przyglądaniu się Pasternakowi ze wszystkich stron, doszedłem do wniosku, że stosując skrupulatnie męskie rymy, przełożę ,,Wiersze Jurija Żiwago'' źle. Bardzo źle! Trzeba by gwałcić co chwilę treść wiersza, gubić metafory, stwarzać dziwolągi składniowe. Zresztą w niektórych wypadkach nawet taka barbarzyńska operacja nie zdałaby się na nic. W poemaciku ,,Magdalena'' ten sam męski rym powtarza się ośmiokrotnie, w ,,Wielkim Tygodniu'' po osiem, sześć i pięć razy. A do tego często dochodzą rymy wewnętrzne. Proszę mi pokazać cudusia, który by to zachował w całej okazałości! Więc zrezygnowałem, utrzymując rymy męskie tylko gdzieniegdzie, niejako dla honoru domu. Tak drużyna piłkarska, przegrywająca wysoko spotkanie, w obliczu klęski stara się zdobyć przynajmniej honorową bramkę.

Na pociechę przecież pozostaje świadomość, że tłumacz rosyjski, mający do czynienia z polskim wierszem, stanąłby wobec takich samych trudności, tylko że na odwyrtkę. Jeżeli polszczyzna nie znosi nadmiaru rymów męskich, to znowu rosyjszczyzna nie potrafi się bez nich obejść. Tym samym nie jest w stanie utrzymać, zwłaszcza w większej całości samych rymów żeńskich. To, co u nas jest nadmiarem, u nich stanowi ograniczenie. I odwrotnie. W pewnym więc sensie jesteśmy na remis.

Dłuższy utwór poetycki, pozbawiony rymów męskich, brzmi w rosyjskim języku nienaturalnie, sztucznie. Denerwuje. Na przykład, parzystych rymów żeńskich na przestrzeni blisko dziesięciu tysięcy wierszy ,,Pana Tadeusza'' żadne rosyjskie ucho nie wytrzymałoby. Toteż Mickiewicza Rosjanie przekładali, stosując wersyfikację mieszaną. Podobnie i z tych samych powodów postąpił w swojej świetnej wersji litewskiej epopei Maksym Rylskyj, gdyż poetyka ukraińska jest pod tym względem identyczna z rosyjską. Nie wolno iść w wierności oryginałowi zbyt daleko, nie wolno w jej imię zadawać gwałtu duchowi własnego języka.

Jak czuły czytelnik już zapewne dostrzegł, zacząłem od usprawiedliwiania technicznego niedołęstwa, a skończyłem na uzasadnieniu wyroku, zwalniającego od winy i kary.

III

Technika tłumaczenia doczekała się już swoich teoretyków i uczonych w piśmie. Osobiście stoję twardo przy tak bardzo zwalczanej zasadzie e k w i w a l e n t ó w , cho

nigdy nie stosowałem jej rygorystycznie i po doktrynersku. Trzeba wyjść z założenia, że przekład, w najdrobniejszym szczególe powtarzający oryginał, udaje się niezmiernie rzadko, właściwie zdarza się równie często, co ślepej kurze przysłowiowe ziarnko. W ciągu trzydziestu kilku lat — zacząłem parać się tą robotą jeszcze w szkole powszechnej — przełożyłem dobrych kilkadziesiąt tysięcy wierszy poetów rosyjskich, ukraińskich, białoruskich. Po wojnie — również hiszpańskich i katalońskich. Ponosiłem, rzecz prosta, klęski, zdarzały się i osiągnięcia. Doświadczenie mówi, że jedyna słuszna droga prowadzi poprzez ścisłe przestrzeganie hierarchii wartości.

Awangardowe kierunki usiłowały niejednokrotnie podważyć znaczenie rymu i rytmu, zwłaszcza regularnego. Padały pogardliwe określenia, jak ,,kataryniarze'', ,,strofkarstwo'', ,,trzepaczki rymów''... Nie tu miejsce na podejmowanie dyskusji na ten temat. Ale nie ulega wątpliwości, że jeśli autor zbudował swój utwór na podstawie jednego stroficzno-rytmicznego wzoru, uczciwy tłumacz musi zachować wszystkie wersyfikacyjne cechy oryginału, gdyż stanowią one organiczną część artystycznej całości. Próby przekładania poezji prozą, nawet rytmiczną, odartą z rymów, pozbawioną wewnętrznej melodii, stanowią zwykłe nieporozumienie. Takim nieporozumieniem była na przykład praca Paul Cazin'a: ,,Pan Tadeusz'' w ogóle do czytelnika francuskiego nie dotarł. Równie dobrze można by swoimi słowami opowiadać koncerty Bacha, czy symfonie Beethovena. Zwłaszcza rytm gra zasadniczą rolę. Jego utrzymanie należy do świętego obowiązku tłumacza.

Melodia i plastyka, której wehikułem jest metafora, decydują niemal bez reszty o poetyckim klimacie wiersza. Tego klimatu nie zastąpi wierność, dochowywana słowom. Sądzę, że właśnie słowa wolno tasować swobodnie, byle by wyszedł ów ostateczny pasjans poetycki. Cóż z tego, że wszystko będzie pasować do oryginału, jak klucz do zatrzasku, jeżeli nie przeleci iskra takiego samego lirycznego wzruszenia! W hierarchii wartości, o której mówiłem poprzednio, dokładność słownictwa schodzi na jedno z dalszych miejsc.

Przed wojną sporo zainteresowania i żywej dyskusji wywołał artykuł Tuwima w ,,Wiadomościach Literackich'', pod tytułem ,,Czterowiersz na warsztacie''. Znakomity przekładowca Puszkina spowiadał się w nim szczegółowo z kłopotów tłumacza. Obiektem interesującej wiwisekcji były pierwsze wiersze ,,Rusłana i Ludmiły'', niegdyś znane na pamięć dzieciom całej Rosji: ,,U łukomorja dub zielonyj...''. Wielu uznało artykuł za przesadzony, zbyt dłubiący się w szczegółach, pedantyczny nawet. Posypały się przekłady czterowiersza — Słonimskiego bodaj najszczęśliwszy; — chciano udowodnić, że Tuwim piętrzy fikcyjne przeszkody i zanadto cacka się ze swoim warsztatem tłumaczeniowym. Podobno Boy-Żeleński oświadczył sarkastycznie: ,,Kryguje się, a wszystko żeby zdumieni ludzie zawołali: — Patrzcie, jak pracuje mistrz!'' A jednak, nawet nieco przesadzając, Tuwim miał rację, pokazał bowiem, ile

przymiarek musi przeprowadzić tłumacz, zanim zdecyduje się na uszycie ubrania.

U Pasternaka jest drobny erotyk, składający się zaledwie z ośmiu linijek. „Pod rokitą obwitą bluszczem...". To dosłow-nie. A w moim przekładzie: „Wpośród bluszczem obwitych wiklin...". Dlaczego rokita, rokicina zamieniła się na wikliny? Czy aż tak daleko sięga licencja tłumacza? Jak to uzasadnić?

Otóż rokita w żaden sposób nie chciała mi zmieścić się w wierszu. Rozpychała się na prawo i lewo, a gdym wreszcie ją zmusił do posłuszeństwa, okazało się, że nie można znaleźć rymu ani asonansu i trzeba wszystko przerabiać od początku. Gdy wreszcie znalazł się asonans — „Wpośród bluszczem obwi-tych rokicin... wspólnym płaszczem okryci..." — połamał się rytm. Ostatecznie przyszła z ratunkiem wiklina, równie typowa dla polskiego pejzażu, co rokita dla rosyjskiego.

Wpośród bluszczem obwitych wiklin
przytuleni trwamy w dzień słotny.
Wspólny płaszcz ramiona nam przykrył
i twą kibić me ręce oplotły.

Nie, nie tak. Te wikliny wysokie
są nie bluszczem obwite, lecz chmielem.
No, to pozwól, na całą szerokość
wspólny płaszcz pod sobą rozścielim.

W pejzażu i nastroju nic istotnego nie uległo zmianie. Botanik ma prawo oburzyć się; poeta powinien być zadowo-lony.

Ciekawszy przykład metody stosowania ekwiwalentów przynosi przekład wiersza „Wesele". Tu trudności były o wiele większe, bo Pasternak używa rytmu i obrazowania, zaczerpnię-tego z rosyjskiej pieśni ludowej. Zwroty, które, przetłumaczone dosłownie, w ogóle nic nie znaczą. Trzeba było szukać śmia-łych odpowiedników, żeby to, co zagubiło się lub nadwyrężyło w jednej zwrotce, nadrabiać w drugiej. Jak przełożyć: „Pro-walias' w tartarary, kanuli kak w wodu..."? Nie mam pewno-ści co do filologicznego pochodzenia słowa „tartarary". Może znaczyć — „nie wiadomo gdzie", „u diabła na kuliczkach", „poszło w pioruny" i tuzin innych określeń zbliżonego typu. Zdecydowałem się na wersję: „Gdzieś przepadło wszystko w diabły, z wiatrem się rozwiało". Powinno być — „zatonęło w wodzie", „plusnęło w wodę" — ale wówczas rym również po-szedłby w diabły.

A co każecie zrobić z iście zwariowaną zwrotką z tego sa-mego wiersza?

I razsypał garmonist
snowa na bajanie
plesk ładoniej, blesk monist,
szum i gam gulanja.

Dokładne tłumaczenie wyjdzie płasko, mało wyraziście, a nawet niezrozumiale. Znowu trzeba było szukać ekwiwalentów. Wypadło następująco :

I rozsypał na harmonii
gracz na radość łasy
brzęk korali, bicie w dłonie,
gwarne obertasy.

Zapewne — nie jest to ideał. Ale utrzymane, jak sądzę, w kręgu tej ludowej stylizacji, o jaką chodziło autorowi. W większości wypadków przekład uratuje się przed potępieniem, jeśli stanie się bliskim synonimem oryginału. Lepszy synonim, niż martwa fotografia.

Wspomniałem na wstępie, że zasada ekwiwalentów ma wielu zdecydowanych przeciwników. Przed wojną atakował ją zaciekle Siedlecki, a i w latach późniejszych nie zyskała sobie powszechnego uznania. Niżej podpisanego splantował w ,,Nowej Kulturze'' za zbyt swobodny stosunek do przekładanych tekstów Seweryn Pollak, sam solidny tłumacz Pasternaka. Uznał nawet za wskazane określić mnie przy tej wątpliwej okazji jako ,,kanalię polityczną i literacką''. Było to w czasie największego nasilenia ,,soc-realistycznego entuzjazmu'', więc i epitety musiały znaleźć się na odpowiednim poziomie. Pollaka spotkała za to słuszna kara : opracowany pod jego redakcją zbiorowy tom przekładów z Pasternaka, zapowiedziany na ubiegłą jesień, nie ukazał się po dziś dzień. Widocznie na wiadomość o przyznaniu Nagrody Nobla redaktorzy, tłumacze i wydawcy dostali nagłej czkawki i nie przyszli jeszcze do równowagi.

Najzabawniejsze w tych sporach, że najwalniejsi przeciwnicy zasady ekwiwalentów, sami w praktyce muszą ją częstogęsto stosować, choć zwalczają ostro w teorii. Zwykły to los nie liczących się z życiem doktrynerów. Odnoszą swoje sukcesy niemal wyłącznie za cenę odstąpienia od sztywnej zasady.

IV

Postulat równomiernego rozmieszczenia ,,napięć lirycznych'' w poemacie, wysunięty po raz pierwszy bodaj przez Peipera, pozostał w dziedzinie pięknych złudzeń. Odegrał on pozytywną rolę w zwalczaniu zbyt rozwielmożnionej a szablonowo stosowanej p o i n t e ' y i — niewiele ponadto. Każdy wiersz zawsze posiada swój środek ciężkości, decydujący o poetyckiej równowadze utworu. W bardziej skomplikowanych wypadkach takich środków ciężkości może być więcej, nawet kilka — zgoda ! — ale o równomiernym nasileniu całości można tylko marzyć.

Tłumacz, jak kartograf w krajobrazie, powinien orientować się według głównych punktów triangulacyjnych. Jeśli nie straci

z pola widzenia żadnego z nich, przekład ma szanse wypaść zadawalająco. Inaczej mówiąc, chodzi o wydobycie elementów najbardziej istotnych, nieraz, gdy zajdzie potrzeba, kosztem drugorzędnych. W opisie śmierci Chrystusa, podanym przez Magdalenę, wypadł mi ze strofy cały wiersz: ,,Jutro zasłona rozedrze się w świątyni''. Trzeba było koniecznie uratować dwa końcowe wiersze: ,,Ziemia zadygoce pod stopami, jakby litowała się nade mną'' — bo to one decydują o nasileniu lirycznym zwrotki.

Ciekawe! — Tłumacz młodopolski nie miałby tu żadnych trudności: zastąpiłby nie mieszczący się w wierszu i nie dający się zrymować amfibrach ,,w świątyni'' krótszym trochejem ,,w chramie'', osiągając wersję jak najbardziej dokładną. Ale jakże w roku Pańskim 1959-ym powracać do dawno zdewaulowanego słownika Młodej Polski?! Gdyby jeszcze chodziło o któregoś z poetów rosyjskich tamtej epoki, Briusowa, Balmonta, nawet Błoka, sprawa wyglądałaby inaczej. Zaś do Pasternaka ów pseudodostojny, przybyszewsko-tetmajerowsko-wyspiański c h r a m stanowczo nie pasuje. Tak spotykamy się z jeszcze jednym zagadnieniem: problemem właściwej indywidualizacji języka. Indywidualizacji podwójnej, bo dotyczącej i przekładanego autora i jego epoki.

I na zakończenie wyznanie nieco liryczne. Być może, niejeden czyelnik pomyśli, że napisałem garść tych wyjaśnień z intencją, skądinąd zrozumiałą, przedstawienia okoliczności łagodzących. Otóż nie! Dokonana praca powinna obronić się sama; jeśli nie potrafi, widocznie wyszła z rąk partacza. Chodziło mi o co innego, mianowicie, o uwydatnienie, że to, co krytyk mógłby uznać, zwłaszcza w konfrontacji z oryginałem za mimowolne potknięcia się tłumacza — niedokładności, zmiany w konstrukcji zdania, dość duża swoboda w stosowaniu zasady ekwiwalentów, wynika w gruncie rzeczy z dobrze przemyślanego systemu.

Jeżeli więc chodzi tu nawet o szaleństwo, to w każdym razie nie pozbawione metody.

Józef ŁOBODOWSKI

?olski Londyn
›o siedmiu latach

Niech pedanci i nudziarze wymyślają mi od ostatnich słów
- nie będę dla ich wygody marnować cennych godzin na prze-
lądanie encyklopedii. W jakimś polskim poemacie (podejrze-
am że bardzo znanym), jakiś poeta pisze (plus minus) : ,,Wszy-
ko tak jak było, tylko się ku starości trochę pochyliło''. Ot
cały polski Londyn po siedmiu latach. Czytelnik, któremu się
ɔieszy, może na tym skończyć. Reszta — to będą już tylko
etale.

Minęły ,,górne i chmurne'' dnie, które nastąpiły po ma-
owym osiedleniu się 200 tysięcy Polusów na Wyspie po kata-
rofie Zwycięstwa i Wyzwolenia. Minęły złote czasy *Black
Iarket'u* kasztanów, przerzutów, Allies'u, zmiany żon, roman-
ów, afer, kłótni, sprzeniewierzeń, walk o ,,władzę'', ,,wiado-
ości z najlepszego źródła'', codziennego oczekiwania wojny,
órnolotnych przysiąg, przemówień, zaklęć. Minęły także czasy
ozpaczy, rozterki, listów na wszystkie strony dla odnalezienia
ony, kochanki, rodziców. Minął okres zawieszenia między for-
ną a nędzą, między grynderką a wyrobnictwem, między
ght club'em a samobójstwem. Minęły czasy, gdy między emi-
acją a ,,reżymem'' istniała przepaść : gdy ukłonienie się Wi-
ewiczowi czy Strasburgerowi na ulicy, cóż dopiero uściskanie
ysuwanej przez nich łapy, wydawało się najbardziej umiarko-
anym emigrantom (ze mną włącznie) aktem apostazji, wyrze-
eniem się Lwowa i Wilna, zdradą sztandaru, przejściem do
ɔozu Wroga (przez wielkie Wu). W latach 1945-1950 emigra-
a w Londynie — to był kocioł, to był wrzątek, to był war
y wywar. Wszystko było ważne. Wszystko było pilne. Wszy-
ko było niewątpliwe. Wszyscy byli tułaczami. Wszyscy byli
nigracją polityczną. Prości chłopi, marynarze, żołnierze sta-
iali za ostatni grosz piwo po szynkach angielskim spryciarzom
nadziei, że ich przekabacą, wyjaśnią im całą szatańskość
anów Stalina. Anglicy pili, kiwali głowami, chrząkali, a po

wypitce dalej wołali, że ,,Uncle Joe'' wcale nie jest taki zł i że dla Polski będzie z korzyścią pozbycie się landlordów i r cepcja demokracji od ,,postępowych Sowietów''. Przekleństw mieszały się ze łzami. W polskim światku huczało. W pubac i barach nasi rodacy staczali ostatnie boje o Monte Cassin Przegrali, przegrali tę ostatnią bitwę z kretesem...

◆

Cisza cmentarna zastąpiła łoskot bitew i szczęk zbroi, kupc polowy zajął miejsce szpady i bułanka, kardiogram i roentge zastąpiły komunikaty z placów boju i postoju, wypełnienie zeznan podatkowego — przemyt złota od Filipin poprzez Kair aż c śp. Białego Orła na Knightsbridge. Klepsydra w ,,Dzienniku' nabożeństwo w rocznicę śmierci, przejęły dawną rolę promoc na podsekretarza stanu, awansu na generała, czy objęcia now prezesury. Splendor dostojeństw zbladł wobec solidnych awa tażу handlu kiełbasą; bogactwa paczkarzy (tych co dotąd n pobankrutowali) zajęły miejsce dawniej rezerwowane na rozp miętywanie hrabiowskich genealogii; obliczanie obrotów sklepik rozłożystej wdowy nabrało uroków dawniej rezerwowanych o som ud, piersi, nóg i innych detali anatomicznych młodszyc co skoczniejszych rodaczek. Nawet król-bridge przygasł : z r pędzonego rumaka zamienił się w nędzną szkapinę, z wariack rulety, z obłąkanego hazardu stał się klipą zrzędzących, po grycznych i astmatycznych starszych panów, głęboko zaabsor wanych ewolucją własnych hemoroidów. Na naszym emigrac nym Wawelu, to znaczy w londyńskim Ognisku, z trudem tyl można w restauracji czy kawiarni znaleźć młodziana poni pięćdziesiątki : siwe głowy, łysiny, zmarszczki, bezzębne szczę spłowiałe, wyblakłe oczodoły witają zimno, obojętnie, milcz nowych gości, tak jak szkielety dawnych ofiar pustyni wit Farysa : ,,gdzie ty lecisz, obłąkany''? Poważne drypcie zas piły dawne podfruwajki; plotkarze żyją skandalami sprzed pi nastu, dwudziestu i więcej lat : potencja, tak samo jak bogactw pozycja, bohaterstwo, nadzieje, ambicje, stała się już tyl klechdą z czasów bajecznych. Do polskiej starości dołączyła angielska rezerwa, mroźna, lodowata obcość. Odpadło całow nie się z dubeltówki, nawet uścisk ręki, tak jak skończyły pożyczki : niczym nowotwór, *le petit bourgeois*, centuś i d grosz wypełzł w sercach, kurczowo ścisnął portfeliki, wessał w krew, w duszę, w wyobraźnię dawnych utracjuszów i lek duchów, magnatów i mieszczan, dorobkiewiczów i *Assistan Board*'owców, żonatych i rozwodników. O fundę wśród Polak londyńskich równie trudno dzisiaj, jak o przyjaźń czy kred Konto bankowe stało się ostatnim okopem św. Trójcy, ostat sygnetem herbowym, ostatnim miernikiem hierarchii emigracyj — i ostatnim łącznikiem między nami, tułaczami, a kult anglosaską.



Rozglądając się po londyńskim Wawelu, prawie nie widzę znajomych: w ogromnej większości są to postacie nieznane, choć ci, co kamieniem wytrwali na Wyspie, dalej kłaniają się bez przerwy na lewo i na prawo. Co to za jedni? Sypią się usłużne odpowiedzi: tu handel win, ówdzie import serów, z tej strony biuro podróży, tam żona-Angielka, obok wypiek ciastek, kreślarnia, posada inżynierska. Określenia te zastąpiły dawne zawołania i zawody, dziś nieaktualne: przywódca PPS, były minister sanacyjny, bohater spod Tobruku, dowódca 17. pułku ułanów, redaktor ,,Zorzy Wolności'' czy ,,Gwiazdy Leguna''. Ci odeszli: jedni na zawsze, na nieprzytulne, mroczne, obdrapane i skąpiące miejsca cmentarze londyńskie, inni na dalekie przedmieścia, skąd dojazd do Ogniska jest całodzienną wyprawą, inni na poddasza czy do suteryn, gdzie cierpliwie i pokornie wyczekują Trzeciego Dzwonka. Z dawnych ekip wytrwało kilku generałów i ich sztabowcy: wyleniały tygrysy, udobruchane latami, bardziej ludzkie i przyjazne, niż za dawnych czasów, walczące dzielnie i dziarsko z nudą, pustką, brakiem zajęć i funduszów, z utratą nadziei. Kilku paczkarzy obnosi swe skromniutkie dochody, swe śmieszne fundusiki, swe lilipucie zasoby, jakby świat do nich należał, jakby decydowali o koniunkturze globu: wcięci w zbyt kuse angielskie ubranka, dusząc się w zbyt ciasnych angielskich kołnierzykach, obnosząc karawaniarskie angielskie krawaty, hałaśliwie afiszują swą ,,brytyjskość'', swą *British way of life,* swą angielską ignorancję Europy i współczesnego świata, swój londyński prowincjonalizm. Pisarzy, dziennikarzy prawie nie widać: nie stać ich na ten pięcioszyllingowy obiad, na to kwaśne wino, à dwa szyllingi mikroskopijny kieliszek: można te nieszczęsne cienie, zgarbione i wymizerowane nie tylko latami nędzy, ale jeszcze bardziej latami upokorzeń, latami kłaniania się i skamlania o okruch chleba, o prawo do życia, o pogardliwą jałmużnę możnych dyrektorów, wydawców, rozdawaczy mikroskopijnych pieniędzy amerykańskich, spotkać u Lyonsa, czy u Dinosa, czy w *Fish and Chips,* czy przed straganem ulicznego sprzedawcy śmierdzącej herbaty i stęchłego, zakalcowatego pieczywa. Gdy w chwilach szaleńczej śmiałości wychylałem się do emigracyjnego Wawelu, nigdy nie mogłem sobie tego darować: tak bowiem w każdym ukłonie, w każdym słowie nawet kelnerki, cóż dopiero członków Zarządu dawano mi odczuć, że zbyt wysokie to dla mnie progi, że w hierarchii obecnej ,,gryzipiórek'', ,,pismak'', ,,dziennikarzyna'', ,,bezrobotny niedojda'' zajmuje ostatnie miejsce, że jest trędowatym i natrętem, że czas by zdechł i sczezł, że jest obiektem pogardy, wstrętu i odrazy. Wyjazd Stanisława Mackiewicza, spowodowany straszliwą nędzą, w której znalazł się ten wyjątkowy talent, ofiara śmiertelnej zawiści grafomanów i nicości, zaszczuty przez aferzystów, zaszczuty przez ekscelencje z Kobrynia, przez ,,wiernych'' którejś tam brygady i któregoś tam kolejnego

„wodza”, przez wszystkich redaktorów Pierdzikiewiczów — ten jeden, jedyny wypadek potrafił emigrację na chwilę obudzić z jej letargu, wywołał wśród niej dziki taniec czerwonoskórych, którym udało się nareszcie oskalpować znienawidzoną „bladą twarz”.



Na bruku londyńskim rządzi niepisana sitwa. Wytworzyła się pewna tajna równowaga, której wszyscy przestrzegają: każdy pilnuje swego kęska, swej mizernej posadki czy synekurki, i przestrzega niezmienności ustalonego porządku, wyznaje immobilizm doskonały, bo obawia się, że najmniejsze naruszenie tego equilibrium może się odbić i na jego nędzarskim kawałeczku chleba. Światopogląd emerytalny triumfuje w całej pełni. Na tym tle zamarły dawne kłótnie, spory, orientacje: Kukiel się gorszy, gdy się przy nim krytykuje Sławoja; Bielecki niechętnie słucha cierpkich komentarzy pod adresem sanacji, sanatorzy są naturalnie bardziej wybredni, ale i oni przyznają dawnemu „partyjniactwu” prawo do wegetowania. Biedny, i smutny, i nieszczęsny to światek. Odcięty jest od Anglików: bariera języka, rasy okazała się nie do przebycia; cienia jakichkolwiek „stosunków” nikt nie ma, przestano nawet o nich marzyć. Mariaże polsko-angielskie na ogół słabo wytrzymują próbę czasu. Jeszcze polscy mężowie Angielek, wierni wielkiej narodowej tradycji pantofla, jakoś tkwią, choć skrzywieni i cierpcy, u boku podstarzałych małżonek, natomiast Anglicy, pożenieni z Polkami, w większości wypadków wysadzają swe polskie magnifiki na boczny tor rozwodu czy separacji, płacąc im raczej skromne niż sute „postojowe”, czyli alimenty. Nowe mariaże polsko-angielskie mają miejsce tylko w młodym pokoleniu, jako ostateczne przypieczętowanie zangielszczenia. Polak-emigrant, a raczej syn czy córka polskiego emigranta przeobrażają się w Anglików nieokreślonego pochodzenia. Czasem jednak u takich zangielszczałych Polaków odzywa się dziwny patriotyzm, którego by nikt się po nich nie spodziewał. Znam polskiego inżyniera, ożenionego z Angielką, który chyba od 1945 r. z żadnymi rodakami w Anglii nie utrzymuje stosunków — a już od dwóch lat każdej zimy jeździ na narty do Zakopanego.

Podziwiać należy, że masa emigracyjna, krzywdzona i wyzyskiwana, spychana stale w dół, opuszczona i osamotniona, schorowana i o bardzo wysokiej przeciętnej wieku, potrafiła walczyć z tyloma przeciwnościami, potrafiła utrzymać się jako na powierzchni, potrafiła wystrzec się tradycyjnych raf emigracyjnego bytu: szpiegostwa, prowokacji, kradzieży, sutenerstwa u mężczyzn, prostytucji u kobiet. W porównaniu z Maltańczykami, Cypriotami, Rosjanami, moralność polskiej emigracji w Anglii stoi niezmiernie wysoko. Wśród tylu nieszczęść, wśród tylu zawodów, niech to nam będzie przynajmniej osłodą i pociechą.



Bo straszliwie smutne, przygnębiające, szare, jednostajne, ubogie to życie. Tysiące samotnych nie ma tygodniami do kogo gęby otworzyć, a po prowincji angielskiej, czy szkockiej, czy walijskiej ileż by się znalazło nowych „Latarników" obojga płci? Smutny jest też los rodzin: kobiety gorzej na ogół znoszą wygnanie od mężczyzn, żywiej odczuwają obcość otoczenia. Polka jest głęboko przywiązana do instytucji służebnicy domowej, brak tej służby stanowi bodaj główny powód żalów polskich pań domu z inteligencji. Idealne pożycie małżeńskie było już od 1918 r. w Polsce raczej wyjątkiem, niż regułą: lata rozłąki nie ułatwiły tego zgrania się niezbyt dobranych par, przy czym — w ogromnej większości wypadków — to raczej żony kapryszą, narzekają, kwękają; a mężowie, poczciwe ofermy, zwykle są zaharowani w gospodarstwie domowym, gotują strawę, zmywają talerze, cierpliwie znoszą trajlowanie i plotasy swych żon i ich kumoszek. Ale najsmutniejszą stroną tęgo emigracyjnego bytu są dzieci. Prawie zawsze różnica wieku między nimi a rodzicami jest duża. Te dzieci są angielskie, urodziły się w Anglii, chodzą do szkół angielskich, najbardziej szowinistycznych szkół świata, w których im bez przerwy wpakowują do głowy, że wszystko co dobre jest *English,* że Anglia jest największym krajem na świecie, który posiadł i zjadł wszystkie rozumy, że wszystkie inne narody są dziczą, że *les nègres commencent à Calais,* że poza angielskim językiem istnieją tylko jakieś barbarzyńskie dialekty dzikoludów, że poza historią Anglii nie ma nic, że nawet kuchnia jest dobra tylko w Anglii, że angielska *cup of tea* jest szczytem szczęścia, że jedyne dobre maniery są angielskie (baron de Charlus Proust'a był akurat odwrotnego zdania; pamiętne jest jego zdanie: *Les manières anglaises — ce sont les mauvaises manières*). Te dzieci angielskie wstydzą się swych nazwisk, wstydzą się swych rodziców, którzy kaleczą język angielski. Te dzieci są w furii, gdy rodzice każą im mówić po polsku: nie śmią protestować głośno, ale, złe i nadąsane, jak mogą dają do zrozumienia, że każą im się uczyć ohydnego i niepotrzebnego narzecza, słusznie wyśmiewanego przez kolegów i koleżanki angielskie; i między sobą z uporem mówią po angielsku. Ich polszczyzna jest straszna, pełna błędów, anglicyzmów, akcent okropny: polskiej książki nie chcą za nic czytać. Dzieci polskich pisarzy nie interesuje przeczytanie książki czy artykułu papy. Pomimo pozorów wytwarza się całkowita obcość pokoleń, która ciąży i rodzicom, i dzieciom.



Nie byłbym sobą, zdradziłbym moje najświętsze przekonania i ideały, gdybym tego ustępu o dzieciach nie zakończył radosną konstatacją: oto pod jednym przynajmniej względem polska emigracja w Anglii świeci budującym przykładem całemu na-

rodowi polskiemu — nigdy w naszych dziejach nie było społeczności polskiej, które by miała tak mało dzieci! Istotnie, pomijając parę bardzo nielicznych, choć opłakanych i gorszących wyjątków, nasi rodacy w Anglii zadawalają się z reguły jednym dzieckiem. Można rzec, że Polacy londyńscy zastąpili monogamię wielożeństwem, natomiast staropolski pociąg do *familles trop nombreuses* przez *Ein-Kinder-System.*

◆

Tak więc emigracja nasza w Londynie skurczyła się i kurczy dalej bardzo poważnie. Dzieci odpadają, odpadło też omal całe pokolenie młodsze, a nawet w sile wieku, które wyekspatriowało się z Europy w poszukiwaniu kawałka chleba. Ci ex-Londyńczycy pozostają zresztą wierni swej londyńskiej braci, w czasie wakacji zwykle do Londynu wpadają i pierwszą wizytą składają na emigracyjnym Wawelu, który w ten sposób spełnia ważną rolę narodową. Dopiero w Ognisku przybysz z Ugandy, z Basutolandu, z delty Orinoko i z Middletown, Ont. nadyszeć się może polszczyzną!

A wreszcie tę starczą emigrację, która dalej czuwa i trwa w Londynie, przetrzebia Kostucha, nieubłagana, coraz aktywniejsza. Z jej żniwem wszyscy się pogodzili, rzekłbym zżyli się. Jaka na dobrą sprawę różnica między przesiadywaniem w Ognisku a spoczynkiem na St. Mary's? Że się pali papierosy? Jest też o czym mówić! Może osobistością, która najwięcej w ciągu mej nieobecności przybrała na wadze i znaczeniu w Londynie jest pan major Borkowski, kierownik działu polskiego jednego z najpierwszych przedsiębiorstw pogrzebowych w Londynie. Na każdym pogrzebie, czy to zasłużonej matrony i hrabiny, czy niezapomnianego obrońcy ojczyzny, czy męża stanu, co nie dał miary ukrytych w jego łonie talentów, można dostrzec kościstą, z lekka przygarbioną sylwetkę majora Borkowskiego; jego wyraz twarzy w miarę zbolały świeżym zgonem, w miarę uduchowiony na myśl o obietnicy zmartwychwstania sprawiedliwych, jego twarz rozedrgana nabrzmiałym dla pozostałej rodziny współczuciem stały się szacowną, nieodzowną częścią pejzażu londyńskiego. Przy wychodzeniu z Brompton Oratory wszyscy się cisną, by uściskać dłoń tej sympatycznej postaci, przypomnieć siebie i bliskich jego uwadze i faworom: bo może niedaleka jest już chwila, gdy trzeba będzie jego protekcji, by uzyskać zniżkę na trumnę, piękniejszy karawan czy lepszą działkę na cmentarzu.

◆

Londyńscy *survivors* podzielili się na klany i klaniki, które tylko nieliczne z sobą utrzymują kontakty. Czasy garnięcia się Polaków do kupy minęły, Stare nawyki odżywają z okazji rytuałów emigracyjno-narodowych, niedzielnego nabożeństwa w

Brompton, akademii, rocznic, obchodów. Poczciwy polski ludek zawsze karnie i jednomyślnie uchwala rezolucje, żądając przywrócenia Wolności i Niepodległości, utrzymania Odry i Nissy, odzyskania Wilna i Lwowa. Ze składkami jest gorzej, ale odśpiewanie „Roty" i „Pierwszej Brygady" jest atrakcją murowaną. Wara temu, co by próbował ustalony protokół tych narodowych Olimpiad zakłócić: śmiałek przekonałby się natychmiast, że „dobra szabla nie rdzewieje", a stara pięść tym bardziej. Poza tym odbywają się zbiórki na dzieci polskie z Niemiec, na inwalidów, na fundusz obrony Ziem Zachodnich, Odry i Nissy, Ziem Wschodnich, Wilna i Lwowa, na repatriantów ze Wschodu, na tych co wybrali Wolność, na gruźlików, na wiele innych celów. Tylko na pisarzy, na intelektualistów nikt grosza nie zbiera — bo i po co? Mało jest takich, co się nie chcą wziąć do uczciwej pracy, a jeno coś piszą i naród tumanią, szerząc warcholstwo i opaczne poglądy? A dobrze im tak, jeżeli z głodu zdychają. Jeszcze jedna stara, bo aż z czasów saskich, narodowa tradycja została pieczołowicie zachowana!

◆

Na szczycie londyńskiej hierarchii emigracyjnej znajduje się Rada Trzech, pierwszy od czasów starorzymskich autentyczny triumvirat. Anders jest z tych triumvirów najpopularniejszy, dokonał tego cudu, że za życia stał się równie popularny co Piłsudski po śmierci. Podziwiam jego witalność: jest dobrze po sześćdziesiątce, a nadal wygląda na smagłego, przystojnego Bohuna, piwne oczy mu się jarzą, statura sprężysta, elastyczna — Eisenhower, de Gaulle wyglądają przy nim na starych dziadów. Zachowuje się ojcowsko; i, rzecz niezwykła u polskiego generała: robi wrażenie naprawdę pierwszorzędnego wojskowego.

Drugim duumvirem jest Raczyński, najinteligentniejszy Polak na emigracji, najbardziej *fin;* głęboko kulturalny, choć hrabia; żywy, choć dyplomata; wrażliwy na piękno, na talent, choć całe życie urzędnik; ludzki, przyjazny, choć urodzony w splendorach. Nie jest snobem: w jego rodzie snobizm był niepotrzebny. Rozmowa Raczyńskiego jest odpoczywająca: nie szuka efektu, nie walczy o pozycję, nie kaptuje zwolenników. Potrafił on pogodnie, bez skargi przejść z prawdziwej sceny międzynarodowej do teatru cieniów, i zrobił to z taktem, jakby to była rzecz najnormalniejsza pod słońcem.

Obok Andersa i Raczyńskiego, Bór jest triumvirem nieznanym. Był on *effacé* już w latach, gdy był przystojnym porucznikiem, o czarnym wąsiku, krakowskich „żółtych" ułanów, i takim *effacé* przeszedł przez całe życie. Może bezwiednie, ale dobierając go do purpury nasi dwaj wielcy duumvirzy pozostali wierni rzymskiej tradycji: bo każdy wie, że do pierwszego triumviratu należeli Cezar i Pompejusz, a do drugiego Oktawian-August i Marek Antoniusz, ale któż pamięta nazwiska Lepida i Crassusa? Co prawda obaj słynęli z bogactw i niestety

w tym punkcie tradycja została przerwana. Tak, ale gdzie n
emigracji znaleźć tego Krezusa? Tazab? Wolne żarty!



Na uboczu pozostaje nasz Londyński Zamek Merowingów
Soissons, gdzie przez sto lat dogorywała prawowita dynasti
w habitach mniszych, w milczeniu i zapomnieniu. ,,Les Mérovin
giens à la Cour de Pologne'' — jakżeż świetny tytuł dla błys
kotliwego felietonu. Jak ród japońskiego Genro, księci
Saionji, dynastia polskich Merowingów kontynuuje się nie drog
naturalnej sukcesji, ale adopcji. Pomimo wzmożonej aktywnośc
na tym polu, wątpię by ,,Les Rois Fainéants'' przetrwali cał
stulecia, jak potomkowie Klowisa.



O oczko poniżej triumvirów urzęduje Egzekutywa. Odką
jej szefem został Dr Witold Czerwiński, Dr Nowakowski, nas
Zygmunt emigracyjny, ma ją przyrównywać do tańca św. Wit
ale to pewno tylko dowcip krakowskiego Lajkonika, któr
czasem zapóźnil się w Zielonym Baloniku. Cenne szczegół
biograficzne z życia szefa egzekutywy może każdy znaleźć w
wspomnieniach senatora Katelbacha. Człowiek zgodliwy i uprze
my, Dr Czerwiński daje gwarancje, że nie sporządzi swy
mocodawcom ani podopiecznym niespodzianek — *un homme à
tout repos*. Nikomu z oczu snu nie spędza. I czego można żąd
więcej? Ma on grono dobranych kolegów, którzy reprezentu
cały wachlarz narodowej opinii. Zapamiętanie ich nazwisk uch
dzi słusznie za ,,test'' precyzji naukowej, która nie jest dar
każdemu, zwłaszcza felietonistom, znanym z nieścisłości.



Poniżej egzekutywy znajdują się stronnictwa polityczn
z których trzy czołowe tworzą prawdziwy trzon reżymu, ta
zwany popularnie ,,Blok Współpracy z Nikim''. Istotnie n
współpracuje on, rzecz jasna, ani z Rosją, ani z Niemcam
brzydząc się tymi odwiecznymi wrogami, ale tak samo ignoru
on Francję, Anglię, Amerykę. Tylko Papieża Blok Współprac
z Nikim uważał dotychczas za godnego partnera, ale teraz P
pież podobno coś naknocił, więc i to się zerwało.

Na czele stronnictwa narodowego stoi Dr Tadeusz Bieleck
Sobieski na emeryturze, ale bez Marysieńki. PPS przewod
Dr Ciołkosz, wyleniały trybun, Bevan u Dakowskiego. Wzr
szający mąż: od lat trzydziestu wspólna pasja do socjalizmu n
zdołała poróżnić go z małżonką, Dr Lidią Ciołkoszową, a tym
czasem małżeństwa aktorów hollywoodzkich z reguły rozlatu
się po miesiącu wśród piekielnych awantur. Kiedyś, przez ni
niezauważony, widziałem Ciołkosza z żoną, jak kogoś żegna

na Victorii: a gdy pociąg odszedł, wzięli się pod rączkę, i wyszli przytuleni, radośni, gwarzący — jak dawniej, jak za młodu, jak na Plantach... Jestem stary, cyniczny, a jednak byłem wzruszony!



Przywódcy obu wielkich stronnictw historycznych dobrali sobie, wzorem duumvirów, trzeciego partnera w osobie wodza młodej sanacji, czyli NiD'u, Rowmunda Piłsudskiego, mistrza wagi koguciej. Mam wobec niego osobiste długi wdzięczności. Z dostojników londyńskich jest jedynym, który czasem czyta moje artykuliki. I nawet ,,odobritielno''. Popieram, powiada. Aprobuję, powiada. Drożdże, powiada. Tylko, dodaje podnosząc groźnie palec, starać się, więcej wysiłku, a przede wszystkim ścisłości, ś c i s ł o ś c i mówię, a wówczas, mój panie Zbyszewski, wszystko będzie dobrze i jeszcze pan wyrośnie na człowieka pożytecznego, wyrobi się pan na niezłego dziennikarza. — Rzecz jasna, rozpływam się w podziękowaniach. Zwłaszcza te obietnice ,,wyrośnięcia'' i ,,wyrobienia się'', gdy się jest nad grobem, dodają ducha i optymizmu!



Poza ,,Blokiem'' błąkają się liczne inne grupy, ale szkoda je wyliczać: bo przecie i tak i tak cała nasza emigracja londyńska jest w stu procentach sanacyjna. Sanatorzy są tak potężni, tak wszechwładni, że mogą sobie pozwolić na chodzenie luzem, na wszystkie możliwe linie podziału, na *splendid isolation*. W jednej ubogiej jadłodajni Dr Stahl duma swą ,,Dumę o Hetmanie''. W innej nędznej garkuchni ostatni legionista, major Benedykt śni ,,Sen o szpadzie''. Z zabitego deskami obozu Dr Sławoj Składkowski zapełnia łamy wszystkich pism emigracyjnych, nawet w dodatkach dla dzieci uczy nasze dziatki kochać ,,Dziadka'' poucza je, że bez niego Polski by nigdy nie było. W innej zakurzonej kawiarni nasi współcześni Gerwazy i Protazy, Goetel i Grubiński, nareszcie zakończyli wiekowy spór Krakowa i Warszawy. Dr Zygmunt Nowakowski zamienił swą siedzibę na Hamsteadzie nie na dawną willę na Salwatorze, ale na Mont-Salvat, skąd wygląda godziny Rezurekcji. Nasi dzielni aktorzy — fertyczna Majewska, majestatyczna Oleńska, nieśmiertelny Lawiński, piękny Guy de Borucki, masywny Zięciakiewicz, wytworny Wojtecki, wsparci meteoryczną gwiazdą Renaty Bogdańskiej, jedynej Polki, która robi prawdziwą karierę w telewizji angielskiej, walczą jak mogą z ubóstwem i martwotą; wzruszające są te wysiłki w obliczu braku sali, braku kostiumów, braku funduszów, braku zachęty, braku audytorium i — jeżeli chodzi o najpopularniejszy wśród ,,wiernego ludu'' rodzaj teatralny, mianowicie rewię — brak tematu; bo co mogą Refren czy sam nawet sędziwy Hemar wycisnąć z przewrotu marcowego w Egzekutywie, czy Dualizmu na polskim szczycie?

◆

W ściśle ukrytych przed oczami niepowołanych, *profanum vulgus,* zakamarkach nasi emigracyjni Talleyrandzi kontynuują rozmyślania nad rozwiązaniem kwadratury koła : jak zapewnić Polsce pokój, bezpieczeństwo i dobrobyt ? W innych izdebkach niestrudzeni historycy męczą się nad wykryciem przyczyn, dla których wielkie koncepcje strategiczne Rydza nie przyniosły spodziewanego zwycięstwa. Gdzie indziej jeszcze generał Kukiel rozmyśla o Czartoryskim, Wieniewski odczytuje po raz setny Iliadę, pani Danilewiczowa układa kartki katalogu swej biblioteki. Najbardziej ponury Polak w Londynie, Karol Zbyszewski, pisze w swym ubogim chlewiku codzienną porcję dowcipów i kawałów, Pietrkiewicz zmienia nazwisko, Stanisław Baliński zamienił lutnię na kłopoty kamienicznika, inny poeta, Sułkowski, administruje Przytułkiem Pisarzy na Finchley Rd., Sakowski zbiera ,,informacje'' o wzroście wpływów Stypułkowskiego, czy zaćmieniu gwiazdy Kwapińskiego, Terlecki stroi delikatne struny nabrzmiałej cięciwy łuku uczuciowego napięcia, Kropiwnicki akompaniuje, Kielanowski reżyseruje, a Bielatowicz wychyla jeszcze jeden kufelek piwa. Mieroszewski hołocie się nie udziela : o tym że żyje dowiedzieć się można tylko z paryskiej ,,Kultury''. Na uboczu też trzyma się polska ekipa BBC ; słusznie dumna z zapewnionych poborów na pierwszego, z obiecanej emerytury, nie udziela się byle komu : Grabowski, Zarański, Faecher, Sapieha, Żuławski w obcisłych angielskich ubrankach, w dęciakach okrywających zaledwie szczyt czaszki, każdy ze zrolowanym parasolem, mówiący rączym staccato stylem Huxleya czy innej Young Bright Thing i z akcentem już nie oxfordzkim, a Balliol, są raczej mitem, niż rzeczywistością, w najlepszym wypadku jak błyskawice roświetlające na chwilę posępny horyzont emigracyjny. Wszelako przeciętny emigrant, a już zwłaszcza emigracyjny pisarz tak jest wytrenowany, tak wzięty do galopu, tak przyzwyczajony, że każdy, kto jakoś się wkręcił w jakiś angielski światek, odwraca się od niego z lekceważeniem i pogardą, że nikt nie doszuka się odcienia zawiści czy zazdrości wobec tej elity. Jak dawne chłopstwo, nie dyskutujemy obyczajów jaśniepaństwa, a tylko, nabożnie skuleni i schyleni, z daleka podglądamy tempo kuliga, wspaniałość polowania czy splendor Poloneza :

Que de grâce, que de grandeur,
Que votre mérite est extrème,
Ah, combien Monseigneur
Doit être content de lui-même !

◆

Ale przy tym przeglądzie izolowanych wież z kości słoniowej naszej emigracji londyńskiej, czas już przejść od tych skromnych

kurhanów czy figur przydrożnych do naszego największego zabytku narodowego na emigracji, katedry, uczelni, kazalnicy, dzwonicy i nagrobka w jednej budowli, naszego Escorialu, w którym grobowce sąsiadują z salą tronową królów hiszpańskich. Mowa naturalnie o londyńskich ,,Wiadomościach'', których redaktor, Dr Mieczysław Grydzewski, ongi kapłan literatury polskiej, stał się teraz kustoszem jej mauzoleum. Już tylko nieliczni starcy nazywają go Grydzem, i już tylko najwierniejsza jego wielbicielka, Big Ben, czyli nasz Dziubdziuś emigracyjny, która nieprzerwanie się trudzi, jak w sposób najbardziej zawiły, najbardziej barokowy, najbardziej liryczny napisać,że kocha Anglię że wielbi Anglików i marzy o nowej sukni, nazywa go w chwilach ekstazy ,,Grydzulkiem''; ale dla szarej masy jest on znany pod przydomkiem: ,,Strażnik Niezłomny''.



Dr Grydzewski mówił mi kiedyś, że uważa panią Danilewiczową za najbardziej zasłużoną osobę na emigracji. Gdyby mnie nie było, dodawał nie z udaną a szczerą skromnością, to by ,,Wiadomości'' założył kto inny, a bez pani Danilewiczowej nie byłoby doskonałej biblioteki polskiej w Londynie, ani tym bardziej jej wzorowego indeksu. Opinia ta wydaje mi się z gruntu błędna, ale jest bardzo charakterystyczna dla dzisiejszego Dra Grydzewskiego. Nie powiem, że Dr Grydzewski jest najwybitniejszym Polakiem na emigracji — takie uproszczenia grzeszą zawsze pewną trywialnością — ale powiem, że nikt nie wywarł na umysłowość polską na emigracji, a kto wie czy i nie w Polsce, równie silnego wpływu. Coraz bardziej wierzę, że na dłuższą metę duszę narodów kształcą tylko warunki materialne — dobrobyt lub nędza — oraz kultura umysłowa, słowem — przetłumaczywszy to na dzisiejsze stosunki francuskie — powiedziałbym, że interesuje mnie tylko to co robią Pinay i Malraux. Dyplomacja, siły zbrojne — to ma znaczenie dorywcze, czysto aktualne, chodzi tylko o unikanie głupstw. Na dłuższą metę znaczenie narodów zależy wyłącznie od ich zamożności i od ich wkładu w życie umysłowe świata. Bez Puszkina, Tołstoja, Dostojewskiego carowie nie uratowaliby potwornego, ale potężnego dziedzictwa Piotra i Katarzyny. Bez nowych Dostojewskich komuniści nie uratują dzieła Lenina i Stalina. Bez Mickiewicza Polska zginęłaby nie tylko jako państwo ale i jako naród. Gdy są genialni pisarze, osoba Ministra Kultury jest obojętna. Gdy są poprawni, utalentowani, wybitni, ale nie genialni, Minister Kultury jest bez mała wszystkim. Od lat 35-iu, od wyjścia pierwszego numeru ,,Wiadomości'' Dr Grydzewski piastuje stanowisko polskiego ministra kultury. On sam się jednak zmienił, i to bardzo, ale tak jak i w wypadku Adenauera, po objęciu przez niego prezydentury zamiast kanclerstwa, zakres autokratycznej władzy Dra Grydzewskiego ie zmienił się ani o jotę na skutek przeniesienia się jego redakcji Mazowieckiej na Bloomsbury.

◆

Ten rzekomy germanofob stał się na stare lata najbardzie roznamiętnionym wyznawcą wilhelmińskiej nauki akademickiej Wundtów, Mommsenów, Willamowitzów von Moellendorf. Ni tylko źródła. Nic tylko dokładność. Nic tylko ścisłość. Dr Gry dzewski wyegzorcyzmował najstaranniej ze swej redakcji cynizi Boya, wywietrzył ją po wybrykach Słonimskiego, wykadził ją p wyskokach Mackiewicza. Tępi oryginalność, dąsa się na każd myśl śmielszą : z liberała stał się patronem *des bien pensant* z nowatora wyznawcą tradycji, z heretyka prawowiernym, z pc stępowca Stańczykiem, z sowizdrzała namaszczonym kaznodzie ją, z epigona Młodej Polski autentycznym przedstawicielem sa matyzmu. Bez śladu zniknął młody redaktor Skamandra, bywal Picadora, szukający namiętnie nowych talentów na poddaszac i strychach, odszedł indywidualista, który upatrywał największ triumfy i znajdował największą przyjemność w uwiedzeniu Nowa czyńskiego, w skaptowaniu K.H. Rostworowskiego, w druk waniu niestrawnego dla sanacji Kota a dla burżuazji Bronie skiego; pozostał solenny, nieubłagany oddźwierny Akadem Umiejętności. Stał się Brunetièrem nowej inkarnacji ,,Revue d Deux Mondes'', stał się purystą, *un grammairien,* stał się w lit raturze alter ego tych brodatych radykałów, co w końcu XI wieku pędzili z Salonu paryskiego Renoira i Cézanne'a, Mane i Moneta, Sisleya i Pisarro, Gauguina i Van Gogha, Toulous Lautreca i Degasa, a natomiast obkadzali jakiego Bouguerea i jakiegoś Duranda. Na wystawie Lautreca w Musée Jacquemar André w Paryżu znajduje się afisz, przedstawiający Misię Se żonę Thaddée Natansona, jako reklamę dla ,,Revue Blanche'' afisz pełen wdzięku, afisz frywolny, utożsamiający pismo liter ckie z uśmiechem i toaletą pięknej, młodej kobiety. Gdyby I Grydzewski zniżył się do poziomu szukania afisza dla ,,Wiad mości'', to chyba by zamówił portret starego pudła w żałobny szatach albo effigię jednej z grottgerowskich płaczek z warkocz mi po pięty i w rozwianych szatach. Za młodu, Dr Grydzews musiał oglądać Zulę Pogorzelską, jak w Cyruliku Warszawski parodiowała Polską Divę Filmową, właśnie w szatach i sty narodowej topielicy. A dzisiaj Drowi Grydzewskiemu, ongi d chowemu ojcu tych scenek warszawskich, najlepszej cząstki Wa szawy międzywojnia, podobają się właśnie tylko te patriotyczi rusałki...

◆

Piszę to wszystko z głębokim smutkiem. 95% emigracji Anglii kształci się, rzecz jasna, na ,,Dzienniku Polskim'', N poleona Sądka uważa za naszego współczesnego wieszcza, B walca za wyrocznię polityczną, Kirkiena za wodza narodu. A pozostałe 5% — te które się liczą — ulegają batucie Dra Gr dzewskiego. My wszyscy z niego. I jeżeli dzisiaj ta emigrac

est tak umysłowo wyjałowiona, tak konformistyczna, tak zbana-zowana — to tak się niestety stało za sprawą tego niepospolitego złowieka, jego żelaznej woli, jego niepohamowanej, osłupiającej racowitości, jego bezinteresowności, jego samozaparciu.

◆

Nasza emigracja w Anglii zdała z grubsza egzamin. Jak już vspominałem, obroniła się przed rynsztokiem, okazała dużo po-nocy rodzinom w kraju, wyciąga dłoń pomocną nowym zbie-rom, potrafiła zabezpieczyć sobie i swym bliskim minimum bytu, hoć bardzo nędznego, wychowała swe dzieci na uczciwych ludzi, hoć nie na Polaków. Nie potrafiła niczego dokonać politycznie — ale to było zadanie, które przekraczało nie tylko jej siły, lecz akże siły całej Polski. Możemy mieć żal do Becka i Rydza, że ekkomyślnie podpalili naszą biedną chałupkę; już do Sikorskie-go możemy mieć pretensje tylko o to, że się nadymał i zgrywał, ie o to, że trzymał do chrztu klęskę: bo był wszak zupełnie bezsilny. Czegoż tym bardziej możemy żądać od obecnych emi-gracyjnych cieni? Możemy ubolewać, że emigracja okazała tak nało dynamizmu ekonomicznego, ale to zarzut słuszny w odnie-sieniu do całego polskiego szczepu, stokroć słuszniejszy w sto-unku do Polaków w Ameryce, w Kanadzie, w Afryce — oni mieli i mają milion więcej sposobności dorobienia się niż Pola-cy, zamieszkali w zubożałej, zacofanej, przeciążonej podatkami Anglii. Widocznie nasze narodowe talenty finansowe są żadne. Natomiast jest faktem bolesnym i tragicznym, że emigracja nasza nie potrafiła wytworzyć żadnego życia intelektualnego. Od tego zaś — obok dobrobytu i bogactwa — zależy wyłącznie wielkość narodów. Śmieszne jest przypisywać tę wielkość liczebności czy przestrzeni: imperium Tamerlana, później Turków, choć tak długotrwałe, w gruncie rzeczy przeszło bez śladu. A Florencja, a Wenecja ten ślad zostawiły, to piętno wycisnęły.

◆

Co leży u podstawy takiej burzy umysłowej? Na pewno nie mozolne wyrobnictwo umysłowe. Na pewno nie słowniki, nie leksykony, nie encyklopedie, nie ścisłość, nie dokładność. Pod-stawą intelektualizmu jest sceptycyzm, jest ciekawość, jest no-watorstwo, jest wieczne odrzucanie ustalonych zasad i pojęć, negowanie rzeczy nawet dobrych, buntowanie się przeciw sza-blonowi, kwestionowanie wszystkiego. Ci, co sprawują rząd dusz, powinni tę ,,rozkładową'', ,,wywrotową'' robotę ułatwiać, do niej zachęcać. Gdy rodzima kołtuneria Drowi Grydzewskiemu od tej pracy ,,wywrotowej'' wymyślała, był on twórczy, zasłu-żony, zdobywczy, pionierski, nieodzowny; dzisiaj przeszedł na pozycje swych dawnych wrogów, stał się konserwatorem, archi-wariuszem, kustoszem, żałobnikiem. Dr Grydzewski zabił życie umysłowe na emigracji, zastąpił je jakąś erudycyjką na tuzinkowy

użytek londyńskich Zołzikiewiczów. Bardziej od Bieruta zabił o emigrację. Bo co jest warta emigracja bez życia umysłowego? Jak może istnieć to życie w atmosferze kultu konformizmu immobilizmu, sporów o przecinki, o daty, o ortografię, o cytaty?

◆

Dlaczego doszło do tej katastrofy, dlaczego Dr Grydzewski przez lata pionier prawa człowieka do niezależnego myślenia złożył broń przed obskurantyzmem, zaczął z furią tępić wszystko o co kiedyś sam walczył? Dlaczego zapomniał, że redaktor jest animatorem, nie małostkowym cenzorem, dlaczego ten człowiek wykształcony, subtelny, wykwintny zmienił się w zgryźliwego tyrana, odludka wtłaczającego nasze życie umysłowe w ciasną obręcz prowincjonalnego, przestarzałego niemieckiego pedantyzmu? Czy może zwątpił w ideały oświecenia, w ideały wolności ducha i człowieka, w *libre arbitre?* Czy też może, rozdzielony śmiercią i przestrzenią od przyjaciół swej młodości, nie znalazł w sobie siły, energii, ochoty szukania nowych współpracowników, zainteresowania się nimi, ich poglądami, ich wizją świata? Czy zwątpił we wszystko i wszystkich?

Nie wiem, ale sądzę, że zabrakło mu sił, by walczyć z ogólnonarodowym zurzędniczeniem naszego społeczeństwa, w którym nawet zwyczajna glina stał się ,,panem władza''. Uległ on tej powszechnej chorobie, jedynemu dorobkowi ery sanacyjnej pieczołowicie utrwalonemu i przez rządy emigracyjne i przez rządy komunistyczne: i stał się naszym ,,panem władza''. Z redaktora stał się dygnitarzem. Nie pierwsza to tego typu u nas ewolucja. Podobnie Miedziński był kiedyś doskonałym polemistą, póki go nie zdegradowano z publicysty na dostojnika.

Bez życia intelektualnego nie może być ani życia politycznego, ani propagandy, ani literatury, ani teatru, ani sztuki, bo to wszystko jest tylko funkcją tego zaczynu, tego bakcylu, którym jest wolność ludzi piszących, wolność sądu, wolność krytyki, wolność buntu, wolność robienia błędów, wolność mylenia się i wprowadzania w błąd. I nie widzę tego ośrodka, gdzieby dzisiaj to polskie życie intelektualne, tłamszone przez wszystkie tabu, przez wszystkie dogmaty, przez wszystkie cenzury mogło się rozwijać. W Polsce samej na pewno nie — zarówno ,,Po Prostu'' jak i Hłasko mogli być zaprzeczeniem intelektualizmu, ale stuprocentowa wolność, nawet dla kołtunów, jest warunkiem intelektualnego rozkwitu. W Londynie Dr Grydzewski zdusił wszystkie możliwości w tym kierunku, wszystko sprowadził pod jeden sztrychulec, pod jedną ferułę, wmówił nam wszystkim, że najwyższym talentem jest cicho siedzieć, nikomu się nie narażać i powtarzać modne ,,na górze'' patriotyczne banały. Więc w Paryżu? W Nowym Yorku? W Monachium? Nie widzę, nie widzę, nie widzę...

Ciemno wszędzie.

W.A. ZBYSZEWSKI

Archiwum polityczne

Berlin

Berlin jest miastem brzydkim, bez architektury, bez historii i bez polotu. Kiedyś, jeszcze przed wojną, pewien malarz ukraiński opowiadał mi we Lwowie, jak to po dłuższym pobycie w Paryżu zatrzymał się w stolicy Niemiec i był przerażony brzydotą tego miasta. ,,Szyldy na sklepach'' — wspominał z odrazą — ,,wyglądają tam jak klepsydry''. Nie wierzyłem dopóki sam nie ujrzałem i nie przyznałem mu racji. Dużo tej brzydoty i ohydy roztrzaskali w czasie wojny piloci RAF-u i US Air Forces, trochę spalili Rosjanie. Na miejscu potwornych gmachów i domostw z czasów wilhelmińskich i hitlerowskich wybudowano cacka nowoczesnej architektury. Co nowe — to linię, symetrię, lśni lekkością i prostotą form, szkłem, metalem. Co zostało, jest jeszcze brzydsze niż wydawało się dawniej.

Ale ten paskudny Berlin jest miastem rozłożystym, wygodnym. Nie skąpiono mu miejsca. Wykreślano place i ulice z jakąś bardzo nie-niemiecką, powiedziałbym słowiańską, rozrzutnością. Mój przyjaciel-architekt ma na to wytłumaczenie. Po prostu Berlin to dużo, bardzo dużo zebranych do kupy dawnych wsi i wiosek, hohenzollernowskich danin i domen. Stąd takie nazwy dzielnic jak Wilmersdorf, Zehlendorf, Schmargendorf itd. Stąd też brak symetrii w całokształcie miasta-kolosa a jednocześnie morze zieleni, parków, alej, ogrodów. Mieszka się w tym Berlinie, co tu dużo gadać, przyjemnie. I ludziska są bardziej wydarzeni, niż w innych germańskich krajach, Rzeczowi, choć nie oziębli, wielkomiejscy ale nie zblazowani stołecznością, która trwała nie zbyt długo, w każdym razie nie tak długo aby berlińczykom poprzewracać w głowie, a jednocześnie w miarę by wyplenić z nich kompleksy kołtunerii i prowincjonalizmu. Mają dowcip, prawda nie paryski i nie warszawski, ale dla wschodniego Europejczyka bardziej zrozumiały i przystępny niż, ów wychwalany, mieszkańców Kolonii.

W Berlinie jest wiosna. Pogodna i bujna, taka jak przed czternastu laty. I wtedy kwitły żółte forzycje i różowo-białe magnolie. Ale wtedy Berlin zdruzgotany bombami, na pół spalony leżał jak powalony olbrzym i czekał w przerażeniu na śmiertelny cios ze strony otaczających go dział i czołgów sowieckich. Na ulicach wznoszono w pośpiechu barykady, a na placach uczono starców i szczeniaków strzelania z karabinów i *Panzerfaustów*. Teraz zniknęły barykady, odbudowano domy, Kurfuerstendammem suną eleganckie Mercedesy a trzynastoletnie podlotki kręcące fertycznie tyłkami w *blue-jeans'*ach nic nie wiedzą o tym co tu się działo przed czternastu laty. Nie pamiętają tego dnia kiedy to żołnierz gwardyjskiego pułku armii Żukowa, dzisiaj mechanik w sowchozie w dalekim Kazachstanie, zatknął czerwony sztandar na dachu Reichstagu, z którego Hitler w 1939 roku obwieszczał światu wojnę.

Później rozwinięto tu gwiaździste sztandary i Union Jack'i, jeszcze później *tricolore*. Sowieci wznieśli pomniki Chwały i mauzolea Zwycięstwa, Anglicy postawili na Reichskanzlerplatz skromny, nieduży obelisk z napisem El Alamein — Berlin. Zorganizowano Sojuszniczą Radę Kontroli i Sojuszniczą Komendanturę i zaczęła się powojenna czteromocarstwowa sielanka w Berlinie. Zapomniano jednak, że już w roku 1920 Lenin, w rozmowie z lewicowym pisarzem i publicystą niemieckim Wilhelmem Herzogiem, oświadczył: ,,Berlin jest kluczem do rewolucji europejskiej''. Zapomniano także, że czerwonoarmiejcy Tuchaczewskiego w tymże samym roku walili na Zachód z hasłem: ,,Dajosz Warszawu, dajosz Berlin''. Tak samo w okresie drugiej wojny światowej, nie zwrócono większej uwagi na pewien maleńki szczególik, że w Moskwie utworzono ,,Nationalkomitee Freies Deutschland'', w którym rej wiedli dwaj ludzie: Wilhelm Pieck, dziś prezydent i Walter Ulbricht obecnie szef komunistycznej partii SED w Niemczech Wschodnich. Prawda, w owym czasie znalazł się w brytyjskiej Izbie Gmin jeden poseł, który widać tknięty palcem bożym zainterpelował Edena co minister spraw zagranicznych Rządu JKMości zamierza uczynić wobec najoczywistszego faktu, że Rosja przez powołanie ,,Narodowego Komitetu Wolnych Niemiec'' zadokumentowała istnienie samoistnej koncepcji rozwiązania przyszłości Niemiec powojennych. Eden na to odpowiedział — o ile mnie pamięć nie zawodzi — że nie zamierza niczego uczynić. Cóż dziwnego, że Chruszczow na żale Macmillana, podczas jego niedawnej wizyty w Moskwie, dlaczego współpraca brytyjsko-rosyjska z ostatniej wojny zamieniła się w konflikt, oświadczył z brutalną rzetelnością: ,,Wydaje mi się, że odpowiedź leży w różnicy naszych obydwu systemów społecznych''. Chyba bardziej jasnej a zarazem swoiście kurtuazyjnej odpowiedzi od komunisty Chruszczowa nie można było oczekiwać.

W sielankowym teherańsko-jałtańskim nastroju ,,zapomniano'' zabezpieczyć sobie dostęp do Berlina w jasno sformułowanych i niepozwalających Rosji na żadne wybiegi i uniki traktatach czy konwencjach. Zadowolono się istniejącymi umowami

z okresu wielkiej koalicji antyhitlerowskiej, nie licząc się najwidoczniej z żadnymi komplikacjami po zgnieceniu Hitlera. Ocknięto się ze snu dopiero wtedy, kiedy marszałek Sokołowski, na wiosnę 1948 roku, trzasnął drzwiami i opuścił posiedzenie Rady Kontroli. Tego dnia prysnęła złuda utrzymania czteromocarstwowej klamry w Berlinie. Stalin postanowił blokadą wygłodzić miasto i zmusić niedawnych sojuszników do kapitulacji. To był zresztą drugi z kolei plan Moskwy zagarnięcia całego Berlina. Pierwszy zrealizowano natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej. Wojska rosyjskie przeprowadziły w rekordowym tempie akcję demontażową, która zmniejszyła o 85 procent zdolność produkcyjną przemysłu berlińskiego. Pośpiech z jakim wywożono urządzenia fabryczne z wielkich koncernów przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego przed wkroczeniem zachodnich wojsk okupacyjnych, był podyktowany nie tylko chęcią zdobycia maszyn dla odbudowy przemysłu w Rosji sowieckiej. Ponieważ w zdemontowanych fabrykach pracowała owa część robotników, Sowietom nie chodziło o nic innego, jak o przygotowanie podglebia dla Partii Komunistycznej przez stworzenie masowego bezrobocia i materialnej nędzy. Stalin przegrał jednak pierwszą bitwę o Berlin w wyborach w roku 1946, kiedy to komuniści mimo wszelkich nacisków ze strony rosyjskich władz okupacyjnych ponieśli porażkę. Drugą batalią była blokada miasta w latach 1948-49. I tę bitwę Stalin przegrał; zwyciężyła go technika amerykańska. Wówczas Amerykanie pościągali wszystkie stare graty z lotnisk w Stanach Zjednoczonych, z Filipin, a nawet z Japonii i zaczęli — z pomocą Anglików i Francuzów — zaopatrywać miasto-kolos z powietrza. Tym, dla Berlińczyków dziś niewątpliwie legendarnym, mostem lotniczym transportowano codziennie jedną dziesiątą ogólnoświatowego frachtu lotniczego. W maju 1949 roku Rosja skapitulowała likwidując blokadę Berlina. Ale przegrana Stalina nie była zupełną plajtą. Nie wiem o ile trafne są twierdzenia komunistów chińskich, że wygrywając bitwę o Berlin Ameryka straciła Chiny Czangkaiszekowskie. Ale i w Berlinie Moskwa trochę zyskała, bo blokada co prawda nie udała się, ale w tym czasie nastąpił definitywny podział miasta, powstały dwa Berliny.

Pozostała wprawdzie fikcja czteromocarstwowej kontroli, na której opiera się prawna sytuacja Berlina. W praktyce oznacza to, że mimo całkowitego niemal rozpołowienia jednolitego organizmu miasta istnieje klamra układów międzyalianckich z lat wojennych i tzw. porozumienia Malik-Jessup z roku 1949, w którym to przypieczętowano kres blokady i zagwarantowano mocarstwom zachodnim swobodny dostęp do ich garnizonów w Berlinie. W Berlinie wschodnim funkcjonuje nadal komendatura sowiecka i dla komendantów alianckich jedynym prawowitym przedstawicielem władzy we wschodnim Berlinie jest gen. Zacharow. Na tym samym prawie, czyli trochę na ,,wariackich papierach'' działają polska i czechosłowacka misje wojskowe, akredytowane w Berlinie zachodnim przy dawno już pogrzebanej Sojuszniczej Radzie Kontroli w Niemczech. To

samo dotyczy sowieckich misji wojskowych, które niezależnie od ambasady ZSSR w Bonn istnieją przy dowództwach trzech mocarstw zachodnich na terenie Niemieckiej Republiki Federalnej. Amerykanie, Anglicy i Francuzi utrzymują ze swej strony przedstawicielstwa na terytorium okupacji sowieckiej w Poczdamie. Cichaczem umówiono się, że posłowie reprezentujący Berlin zachodni w parlamencie bońskim i posłowie w pseudo-parlamentarnej Izbie Ludowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, wybrani we wschodnim Berlinie, będą mieli tylko funkcje doradcze. Jeśli chodzi o rzeczywiste funkcjonowanie czteromocarstwowych instytucji w podzielonym Berlinie, to z takich istnieją obecnie tylko dwie, mianowicie tzw. Centrala Bezpieczeństwa dla przelotów lotniczych z i do Berlina oraz więzienie dla odsiadujących jeszcze karę głównych zbrodniarzy wojennych z procesu norymberskiego. Z instytucji niemieckich — uniwersalny charakter zachowały tylko obydwa kościoły, czyli ewangelicki i katolicki, niektóre linie tramwajowe, oraz kolejka elektryczna i metro. Wszystko inne, począwszy od magistratu, policji i waluty, a kończąc na telefonach i zakładzi[e] czyszczenia miasta jest rozdarte. Aby zatelefonować z Kur-fuerstendamm na Unter den Linden trzeba zamówić rozmow[ę] przez... Frankfurt nad Menem.

Ekonomicznie obydwa Berliny należą do dwóch systemó[w] gospodarczych i partycypują od lat : wschodni w ogólnych pla-nach bloku komunistycznego, a zachodni w koniunkturze świat[a] kapitalistycznego. Wynikiem tego jest wciąż jeszcze rażąc[y] kontrast w odbudowie obydwu części miasta, w stopie życiowe-jego mieszkańców, w zaopatrzeniu sklepów, w życiu kulturalnym. Różnicę tę najlepiej ilustrują dwa fakty. Pierwszy to relac[ja] między marką wschodnioniemiecką i jej siostrzycą w Berlin[ie] zachodnim, która przez wiele lat kształtowała się na poziom[ie] 4 marki wschodnie za jedną zachodnią, a ostatnio oscyluje mi[ę]-dzy 3,5 : 1 a 3:1. Fakt drugi to nielegalny, i przez władz[e] wschodnio-niemieckie srogo karany na podstawie specjaln[ej] drakońskiej ustawy, ruch migracyjny, którego bilans od czas[u] powstania dwu państw niemieckich wygląda tak, że z Niemi[ec] wschodnich uciekło na Zachód 3 miliony ludzi a w przeciwny[m] kierunku wywędrowało niecałych 30 tysięcy Niemców, w ty[m] sporo komunistów po rozwiązaniu ich partii w Republice Fed[e]-ralnej. Nie ma niestety dokładnych danych jeśli chodzi o fluktu[a]-cję ludności pomiędzy obydwiema częściami Berlina, ale możn[a] przypuszczać, że wśród uchodźców wschodni Berlińczycy stan[o]-wią wcale pokaźną liczbę.

Mimo to Rosjanie tolerowali względnie długo dotyc[h]-czasowy stan rzeczy i nie zdradzali najmniejszych zamiaró[w] zerwania co prawda czysto formalnej, ale tym niemniej nadzw[y]-czaj ważnej klamry czteromocarstwowej. Bo fakt, że w zacho[d]-nim Berlinie stacjonują wojska alianckie i codziennie nad T[u]-ryngią i Saksonią warczą motory samolotów amerykańsk[ich] stanowił granicę wpływów, pewnego rodzaju *limes*, które[go] przesunięcie grozi podobnymi następstwami, jak wszelka pró[ba]

złamania status quo na Formozie, w Korei czy Indochinach. Dopiero Chruszczow, w pamiętnym przemówieniu w moskiewskim Pałacu Sportowym 10 listopada 1958 r. rzucił wyzwanie mocarstwom zachodnim.

Według Nikity Chruszczowa zachodni Berlin stał się złośliwym rakiem, który wymaga radykalnego zabiegu chirurgicznego. W pojęciu generałów i polityków amerykańskich zachodni Berlin — to bastion nie w militarnym ale politycznym, moralnym i psychologicznym znaczeniu tego słowa, w walce dwóch światów, który musi być utrzymany. Nawet za cenę pożaru nowej wojny. Chruszczow twierdzi, że wszystkie układy dotyczące wspólnej okupacji dawnej stolicy Niemiec, do których w późniejszym czasie doszlusowała Francja, są dziś jakimś dziwacznym, a w każdym razie wymagającym istotnych zmian, anachronizmem. Zgodnie z opinią i wolą nowego władcy Rosji decyzje, powzięte w maju 1949 roku, wspólnie z rządami mocarstw zachodnich, o nieskrępowanym dostępie do miasta, straciły również swoją moc prawną.

Metoda, którą obrał Chruszczow, przypomina do złudzenia kryzys czechosłowacki przed dwudziestu laty. Hitler w pochodzie przeciwko Europie likwidował pozostałości Traktatu Wersalskiego. Chruszczow likwiduje pozostałości drugiej wojny światowej. Ówczesną rolę sudeckiego Henleina wykonuje dziś wschodnioniemiecki Ulbricht. A postacią kreowaną na współczesnego Benesza jest Konrad Adenauer. W niego to walą ze wszystkich dział propagandyści Moskwy, wytykając mu nieustępliwość, brak realizmu i instynktu politycznego, antypokojowość, wciąż pod jednym i tym samym kątem widzenia, że znajdą się nowi monachijczycy, którzy zmęczeni nerwowo, wyczerpani psychicznie i przyparci do muru przez własne społeczeństwa, pragnące kresu zimnej wojny i początku nawet złudnego ale mimo to spokoju i pokoju, podpiszą akt kapitulacji. Stąd też nadzieje pokładane w Macmillanie, że właśnie on, premier Wielkiej Brytanii, pod naciskiem opinii publicznej, pójdzie śladami tak bardzo w swoim czasie przezeń zwalczanego głównego zachodniego aktora Monachium, Neville Chamberlaina.

O genezie i kulisach sprawy berlińskiej wypisano już oceany atramentu i farby drukarskiej, sporządzono moc jawnych i tajnych memoriałów. A jednak trudno znaleźć człowieka, który by mógł krótko i węzłowato, a przede wszystkim wiarygodnie, naświetlić takie zagadnienia jak motywy akcji Chruszczowa, czas powstania decyzji, powiązania z ogólną linią polityki zagranicznej Kremla. Nic dziwnego, że właśnie w Berlinie krążą rozmaite wersje na temat ofensywy Chruszczowa. Nie będę wyliczał wszystkich po kolei, ale podam dwie, najbardziej przeciwstawne.

Pierwsza — nazwijmy ją teorią ,,zachodnią'' — wygląda mniej więcej następująco: Nikita Chruszczow powziął decyzję w sprawie Berlina pod wpływem dwóch różnorakich czynników. W pierwszym rzędzie uległ on inspiracjom przywódcy komunis-

tycznej partii wschodnich Niemiec, SED, Waltera Ulbrichta, który motywował konieczność podjęcia takiej akcji od dłuższego czasu. Rozmowy między Chruszczowem a Ulbrichtem na ten temat miały wejść w definitywne stadium podczas ,,urlopu'' szefa komunistów niemieckich, latem ub.r., kiedy to Ulbricht faktycznie przebywał razem z dyktatorem sowieckim na Krymie. Ulbricht miał rzekomo oświadczyć, że bez energicznego kroku Moskwy w celu zlikwidowania zachodniego Berlina, Niemiecka Republika Demokratyczna po prostu nie będzie w stanie wykonać niezwykle wygórowanych i ambitnych planów gospodarczych. Dalej miał podobno Ulbricht zwrócić uwagę Chruszczowa na trudności, z którymi Niemcy Wschodnie muszą się borykać wskutek masowej ucieczki fachowców z rozmaitych gałęzi przemysłu kluczowego. W związku z tym trzeba wiedzieć, że Niemiecka Republika Demokratyczna ma szczególne zadania w dziedzinie rozwoju przemysłu chemicznego, a zwłaszcza sztucznych tworzyw i to zarówno z punktu widzenia potrzeb wewnętrznej konsumpcji, jak też w obrębie całego systemu gospodarczego wschodniego bloku. Poważną rolę miały oprócz tego odegrać skargi Ulbrichta na temat istotnej i rzekomej akcji dywersyjno-psychologicznej, prowadzonej z zachodniego Berlina i wymierzonej przeciwko konsolidacji reżymu komunistycznego w Niemczech wschodnich.

Po udzieleniu Ulbrichtowi zapewnienia, że rząd sowiecki podejmie w niedługim czasie odpowiednie kroki, zmierzające do wyrugowania mocarstw zachodnich z Berlina, Chruszczow miał przystąpić do przygotowywania całej akcji pod kątem widzenia aktualnej sytuacji w przeciwnym obozie politycznym. Świadectwo, jakie rzekomo wystawili mu dyplomaci sowieccy i komunistyczni przywódcy w krajach Europy zachodniej i w Ameryce, wyglądało tak tragicznie dla wspólnoty interesów mocarstw zachodnich, że dyktator sowiecki ocenił sytuację jako nader korzystną. Wedle wciąż tej samej wersji, dyplomacja sowiecka przeceniła znaczenie takich elementów jak porażka republikanów w zeszłorocznych wyborach do amerykańskiego Kongresu, konflikt między krajami Europy zachodniej, należącymi do systemu tzw. Wolnego Rynku, a Wielką Brytanią, jako rzecznikiem tzw. strefy wolnocłowej, i wreszcie odśrodkowe idee przypisywane generałowi de Gaulle w odniesieniu do paktu NATO.

Jako pochodne ofensywy przeciwko Berlinowi, obiecywano sobie rzekomo w Moskwie nowy poważny szok w krajach Europy Wschodniej, szczególnie w Polsce i na Węgrzech, gdzie w partiach komunistycznych nie przełamano dotychczasowymi środkami powszechnego marazmu a w społeczeństwach biernego oporu przeciwko nałożeniu żelaznego gorsetu dyktatury. Zwycięstwo Chruszczowa nad Szprewą było zatem obliczone na oczekiwane reakcje nad Wisłą i nad Dunajem.

Druga, równie często spotykana, teoria genezy ofensywy Chruszczowa — określmy ją teorią ,,wschodnią'', bo stamtąd najczęściej dochodzą jej echa — wychodzi z założenia, że tzw.

kryzys berliński to nic innego jak zręczny dyplomatyczny manewr Moskwy dla zapoczątkowania przewlekłego, ale w końcu dla Sowietów niewątpliwie korzystnego, przetargu politycznego. Jeśli wierzyć tym wersjom, to sowiecki dyktator postanowił użyć sprawy Berlina do wywarcia nacisku na mocarstwa zachodnie, aby te po pierwsze : zaniechały obstrukcji w przedmiocie nowej konferencji na ,,szczycie'', po drugie : zwolniły tempo uzbrajania Niemiec zachodnich z dalszą perspektywą wykluczenia niemieckiego potencjału militarnego i ludzkiego z planów NATO. Po trzecie : Chruszczow pragnie poprzez kryzys berliński wymanewrować Niemiecką Republikę Federalną z wielkiej polityki światowej i podnieść jednocześnie autorytet Niemiec wschodnich, tak ażeby po kilku latach nastąpił pewnego rodzaju parytet pomiędzy obydwoma państwami niemieckimi. I wreszcie Chruszczow celuje rzekomo w Berlin ale w istocie dąży do paktu o nieagresji z blokiem NATO, którego głównym celem byłoby uzyskanie od Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sprzymierzeńców uroczystej gwarancji obecnego status quo na Łabie. Innymi słowami z kryzysu berlińskiego miałaby się wyłonić koncepcja jakiejś nowej super-Jałty, która dałaby rosyjskiemu władcy absolutną pewność, że Zachód nie będzie w żaden sposób jątrzył w państwach satelickich, popierał stare czy nowe ruchy odśrodkowe, stawiał na opozycjonistów takiej czy innej maści i ,,podbechtywał'' rewizjonistów. Dopóki Chruszczow nie ,,ubije'' takiego *big bisness* z Zachodem, będzie musiał się dalej zbroić, a tym samym nie będzie mógł zrealizować upragnionego celu : proklamowania po upływie następnych piętnastu lat zwycięstwa komunizmu w ZSSR.



Gdzieś w połowie marca dyskutowaliśmy na tzw. *Stammtisch*'u w winiarni Neumanna na Schillerstrasse, w takim sobie nieoficjalnym klubie dziennikarzy niemieckich i ,,zagraniczników'', który pamięta jeszcze Jerzego Prądzyńskiego, wówczas berlińskiego korespondenta ,,Kultury''. Jeden z kolegów zrobił błyskawiczny wywiad przy szklance wina. Pytanie było jedno : dlaczego Chruszczow wystartował z ofensywą przeciwko Berlinowi. Oto telegraficzny skrót odpowiedzi. Pierwsza : aby zlikwidować wreszcie problem uchodźców z Niemiec wschodnich; druga : ponieważ pragnie utrwalić podział Niemiec; trzecia : bo chce uznania NRD przez mocarstwa zachodnie, czwarta : podwójny cel, mianowicie trudności z opozycją w ZSSR i uzyskanie widocznego sukcesu w dziedzinie polityki zagranicznej; piąta odpowiedź : bo chce wywołać falę defetyzmu na Zachodzie; szósta : Berlin jest sondażem Moskwy na ile Zachód jest zdatny do stawienia oporu Związkowi Sowieckiemu; siódma : chodzi o przeszkodzenie ostatecznemu scaleniu się Europy Zachodniej, o wywołanie konfliktów między sojusznikami i późniejsze zdobycie kontroli nad Europą; ósma : ofensywa ma na

celu w dalszej przyszłości wyrzucenie Amerykanów za ocean i poszerzenie wpływów komunistycznych na Europę zachodnią; dziewiąta: przerzucenie konfliktu z Formozy na teren Europy oraz zadokumentowanie siły dla pokrzepienia komunistów francuskich przeciwko de Gaulle'owi; dziesiąta: ofensywa jest tylko funkcją wewnętrznych procesów w związku z opozycją grupy antypartyjnej i jej zwolenników. Chodzi o sztuczne zadokumentowanie tezy o „kapitalistycznym okrążeniu", z tym, że kryzys berliński będzie długotrwały, aby móc regulować rozmaite procesy wewnątrz Związku Sowieckiego.

Kto miał rację i czy w ogóle ktoś miał rację — nie będziemy dociekali. Ankieta „na chybcika" wykazała jednak jak szeroka jest skala opinii o motywach Chruszczowa nawet wśród dziesięciu dziennikarzy z rozmaitych krajów. Nadmieniam, że niestety tego wieczoru nie było na spotkaniu żadnego kolegi z „tamtej strony", wobec czego oświetlenie wypadło jednostronnie.



Poniżej coś w rodzaju przekroju najrozmaitszych zdań, myśli, opinii i sugestii zasłyszanych od bardzo różnorodnych rozmówców, biorących chcąc nie chcąc udział w widowisku berlińskim:

Starszy pan, Niemiec, lekarz: „Panie strachy na Lachy, trzeba mieć silne nerwy, przecież to tylko bluff Chruszczowa".

Przygodny taksówkarz: „Na ultimatum trzeba odpowiedzieć innym ultimatum. Wynoście się z Berlina, Polski i Węgier, bo inaczej ogłosimy powszechny bojkot Rosji. Trzeba zmobilizować lotnictwo strategiczne i zagrozić rozróbką Moskwy jedną wodorówką".

Kobiecina z Berlina wschodniego: „No cóż przykro, że nasi bracia w zachodnim Berlinie będą musieli niedługo zakosztować takiego samego szczęśliwego życia, jakie my już od dawna znamy. Ale dlaczego my tylko mamy cierpieć, a czy zachodni berlińczycy to coś lepszego. Niech będzie równość, szlag by ich trafił".

Ekspedientka w pewnej firmie: „Hitler miał jednak rację, że chciał zniszczyć Rosję. Wszystkiemu winni Amerykanie, zamiast nam pomóc przeciwko Azjatom rosyjskim, oni nam miasta rozbili bombami. Niech sobie teraz sami radzą z Rosją".

Znowu starszy pan, urzędnik, liberał: „Panie Rosja to siła, totalitaryzm, fanatyzm a Chruszczow to twarda chłopska wola. On wie czego chce i dopnie swojego. A my? lodówki, przesilenia gabinetowe, Taneryfy i Florydy, guma do żucia, jazz i Soraya. Krzepy nie ma, *fin de siècle*. Wezmą Ruski Berlin i to gołymi rękami, wspomni Pan moje słowa".

Żołnierz amerykański: „Niech tylko mister Chruszczow nas tknie, spierzemy go tak, że z całego komunizmu śladu nie zostanie. Nasi generałowie to cwaniacy, tylko polityków nie

mamy. Jakby Truman siedział w Białym Domu, to Chruszczow, w ogóle nie odważyłby się robić takie hocki-klocki''.

Robotnik-murarz: ,,Rozejdzie się wszystko po kościach. Panie, przecież żadna strona nie pójdzie na wojnę, bo wie co ją czeka. Trzeba tylko mądrze z Chruszczowem gadać''.

Barówka w lokalu nocnym: ,,Byle tylko wojny nie było. Lepiej pluton Rosjan na brzuch, niż atomówkę na głowę''.

Dziennikarz sowiecki: ,,Koniec z tą zabawą w zachodni Berlin. Sytuacja musi się radykalnie zmienić. Panie, przecież to miasto-dziwoląg. Zresztą my mamy kardynalne zobowiązania w stosunku do naszego wschodnioniemieckiego sojusznika''.

Aparatczyk partii komunistycznej ze wschodniego Berlina: ,,Nasza partia może się zafajdać, nasi dziennikarze i propagandyści palce sobie spiszą do kikutów, ale dopóki ,,Herr Schulze und Frau Mueller'' będą mogli za dwadzieścia fenigów pojechać do zachodniego Berlina na Kurfuerstendamm i skonfrontować propagandę o kapitalizmie z rzeczywistością, całe nasze państwo będzie fikcją''.

Inżynier-konstruktor z wielkiego wschodnioniemieckiego koncernu: ,,Likwidacja zachodniego Berlina byłaby dla nas straszna. Przecież to jedyny nasz argument, którym szantażujemy Rosjan i wyciskamy od nich dodatkowe kredyty i surowce, motywując to wyścigiem z ,,berlińskim kapitalistycznym oknem wystawowym''. Jak padnie Berlin, to z naszych argumentów będą nici''.

Jednym słowem i tu co człowiek to inny pogląd, inna myśl o sprawie berlińskiej. Z każdej odpowiedzi wynurza się skomplikowany kształt tego zagadnienia, jego niesłychana wielowarstwowość, różnorakość. A tymczasem jest koniec kwietnia. Na skwerach i w parkach kwitną forzycje i magnolie. W kabarecie ,,Stachelschweine'' dorodna Berolina śpiewa co wieczór ,,Berlin bleibt Berlin''. Ministrowie przygotowują zawiłe plany na konferencję w Genewie. Generałowie sprawdzają ,,na wszelki wypadek'' stan swoich wojsk. Publicyści snują domysły i przypuszczenia. Leciwe Amerykanki fotografują z zachwytem szkaradne sowieckie mauzoleum Zwycięstwa w Berlin-Treptow. A dwa i pół miliona ludzi po zachodniej i prawie dwa miliony po wschodniej stronie Bramy Brandenburskiej mogą ze sobą rozmawiać telefonicznie, ale przez... Frankfurt nad Menem. A jednak wciąż jeszcze ludzie z wyczerpanymi twarzami, z wystraszonymi dziećmi i z ubogimi tłumokami pod pachą wsiadają na lotnisku Tempelhof do samolotów i lecą na Zachód, ponad krajem, w którym zostawili dom, pracę, dobytek... i ,,socjalistyczne zdobycze''. A na dworcu Zoo przybysze w wymiętych długą podróżą ubraniach, rozglądając się trwożnie czy przypadkiem ktoś nieproszony nie podsłuchuje rozmowy, przyciszonym głosem pytają: ,,Wo kann man in Westberlin ,,Doktor Schiwago'' von Boris Pasternak bekommen?''.

BERLIŃCZYK

Kronika angielska

O MAKSYMALISTACH — POZYTYWNIE

Na łamach „Kultury" polemizowaliśmy wielokrotnie z wypowiedziami maksymalistów. Oceniając jednak działalność emigracji w szerszej perspektywie trzeba powiedzieć, że i maksymaliści są potrzebni. Są potrzebni pod warunkiem, że nie będą jedynym odłamem opinii.

Pragnąc młodym dać przykład publicystycznej bezstronności i szacunku dla zasady „balanced view" — postanowiłem o maksymalistach napisać pozytywnie.

Studiując prasę światową dochodzimy do wniosku, że o ile zainteresowanie Węgrami wygasło — o tyle Polska ciągle stanowi „news". Ludzie na Zachodzie uważają, że eksperyment węgierski zbankrutował i stanowi rozdział zamknięty. Nikt również nie interesuje się tym co dzieje się w Rumunii, bo tam w ogóle nigdy żadnego eksperymentu nie podejmowano. Mimo, że Październik w 70% przygasł — to jednak polski eksperyment trwa. Wystarczy wymienić rolnictwo.

Na marginesie niech mi wolno będzie przytoczyć charakterystyczny epizod, o którym mam dokładną relację z Kraju. Po Zjeździe Literatów odbyła się w Warszawie stosunkowo niedawno intymna konferencja, w której wzięło udział kilku pisarzy i Władysław Gomułka. Może przezorniej będzie nazwisk tych pisarzy na łamach „Kultury" nie wymieniać. Gomułka zaproszonym asom polskiego piśmiennictwa powiedział m.in. co następuje: „Nie pozwolę by literaci swoją działalnością zagrażali suwerennej pozycji polskiego rolnictwa".

Czytelnikowi na emigracji trzeba wyjaśnić co znaczą te zagadkowe słowa: Gomułka chciał podkreślić, że polski model może się różnić od modelu sowieckiego tylko ściśle ograniczną ilością szczegółów. W myśl tej taktycznej teorii nie możemy różnić się od sowieckiego klasycyzmu literaturą, ustrojem rolnym, malarstwem, systemem szkolnym, adwokaturą, koegzystencją z kościołem itd. Pewnym pozycjom należy przyznać pierwszeństwo.

Dzięki uczciwym, ale niezbyt dyplomatycznym wystąpieniom Xawerego Dunikowskiego w Moskwie, malarstwo polskie — jak wiadomo bardzo „nie w linii" — znalazło się pod generalnym obstrzałem prasy sowieckiej. Taka ofensywa nigdy nic dobrego nie wróży. Zaczyna się bowiem od malarstwa ale nie wiadomo nigdy na czym się skończy. Po malarstwie może przyjść kolej na literaturę, a później na szkolnictwo i wszystkie inne „suwerenne" specjalności polskiego modelu.

Ale wróćmy do maksymalistów. Ci panowie — jak wiadomo — odrzucają wszelkie kompromisy i domagają się pełnego wyzwolenia. Podtrzymywanie na arenie międzynarodowej haseł polityki „liberation" przez organi-

zacje dysponujące dość znacznym aparatem propagandowym jak ACEN — utrwala w opinii Zachodu poczucie prowizorium na odcinku wschodniej Europy. Chruszczow pragnie być notariuszem i historycznym legalizatorem wojennych zdobyczy Stalina. Cała jego polityka zmierza do uzyskania ostatecznego międzynarodowego uznania granic imperium sowieckiego, które, spod Stołpców przesunęły się pod berlińską bramę brandenburską.

Polski model jest fenomenem prowizorium. Gdyby Chruszczow zdobył ostateczne zalegalizowanie obecnego stanu rzeczy — Gomułka przestałby być potrzebny. Musiałby albo doszlusować, albo zastąpiłby go taki czy inny Kadar a Polska upodobniłaby się całkowicie do Węgier i Rumunii. Innymi słowy podtrzymywanie tezy, że wszystko w Europie wschodniej jest prowizorium — leży w bezpośrednim interesie Gomułki i asekuruje odrębności polskiego modelu. Polska tak długo korzystać będzie z pewnych swobód i przywilejów w obozie państw komunistycznych, dopóki problem Europy wschodniej będzie kwestią otwartą. Jeżeli Europa wschodnia kiedyś przestałaby być w ogóle kwestią i stała się wyłącznie zagadnieniem imperialno-sowieckim — wówczas Gomułka, Październik i „suwerenne" polskie rolnictwo zniknęliby ze sceny.

KOŚCIÓŁ A POLITYKA

Znana powszechnie rezolucja św. Officium dotycząca udziału katolików w wyborach jest zdumiewającym dokumentem. Zarządzenie władz watykańskich zabrania katolikom głosować w czasie wyborów „na partie lub na kandydatów, którzy, choć nie wyznają zasad sprzecznych z doktryną katolicką i określają siebie jako chrześcijańskie, łączą się faktycznie z komunistami i wspomagają ich swoją akcją".

Jeżeli tak brzmi tekst dekretu rzymskiej Kongregacji św. Officium z dnia 4 kwietnia br., to posłowie katoliccy klubu „Znak" winni złożyć swe mandaty a poseł Zawieyski powinien jeszcze dodatkowo zrezygnować ze stanowiska członka Rady Państwa. Nie ulega bowiem wątpliwości, że ci panowie „łączą się faktycznie z komunistami i wspomagają ich swoją akcją".

Ale czy taki krok ze strony polskich posłów katolickich miałby sens i przyniósłby jakąś korzyść Kościołowi? Obawiam się, że jedyną konsekwencją takiej demonstracji byłoby katastrofalne pogorszenie sytuacji Kościoła. Gdyby katolicy w Polsce zastosowali się z całym rygorem do postanowień cytowanego dekretu, oznaczałoby to w praktyce zejście Kościoła w podziemie. W czyim to leży interesie? Na pewno nie w interesie katolików.

Nie jesteśmy entuzjastami grupy „Znak" — ale niemniej stwierdzić należy, że dopóki działacze ci nie są paxowcami sytuacja ich jest i będzie niezmiernie trudna. Jak długo nie są paxowcami zasługują na pełne poparcie.

Dekret św. Officium w ramach państwa komunistycznego jest niewykonalny. Byłby wykonalny tylko za cenę zejścia w katakumby. Polityka Watykanu winna zmierzać do maksymalnego wzmocnienia pozycji hierarchii w Polsce. Krokiem po tej linii byłaby nominacja drugiego kardynała i ostateczne uporządkowanie administracji kościelnej na Ziemiach Odzyska-

nych. Stosunek kościoła do państwa i władz komunistycznych winien być pozostawiony dyskrecji i odpowiedzialności Kardynała Prymasa. On już był w katakumbach i żaden polityk Watykanu nie dysponuje w tych sprawach jego doświadczeniem.

„CENZOREK"

Powszechnie stosowana metoda polega na niedostrzeganiu takiego pana. P. Kowalewski znęca się w swych artykułach nad Camusem, którego zupełnie nie rozumie. Niszczy Tadeusza Nowakowskiego, któremu nie dorasta do pięt. Pisarze wzruszają ramionami i milczą, uważają bowiem, że z takim panem nie ma co dyskutować. Jest oczywiste, że z p. Kowalewskim nie może być dyskusji na temat Camusa, bo przed tą dyskusją musiałby solidnie postudiować z cztery lata na jednym z uniwersytetów. Piętnując jego absurdalne wypowiedzi ryzykuje się kubeł pomyj na głowę. Podejmuję to ryzyko „zawodowe", ponieważ wydaje mi się, że jest moim obowiązkiem dziennikarskim odnotować to zjawisko.

P. Kowalewski reprezentuje typową w pewnym sensie formację psychiczną. Z niesłychaną pewnością siebie i tupetem zabiera głos w sprawach, które przerastają zarówno zakres jego inteligencji jak i wykształcenia. Można by zadać pytanie po co to robi? Dlaczego zabiera się do Camusa, który jest autorem bardzo niełatwym. Przecież można żyć nie pisując o Camusie.

P. Kowalewski jest fanatycznym komunistą *à rebours*. To nie jest krytyk czy publicysta tylko cenzor. Wszystko i wszystkich — od Camusa po Hłaskę, od Miłosza po Tadeusza Nowakowskiego — rozpatruje tylko pod jednym kątem widzenia tj. czystości linii partyjnej. W tym drugim wcieleniu p. Kowalewskiego — partią jest nie komunizm, lecz antykomunizm. Ale poza tym nic się nie zmieniło.

Andrzej Werblan również feruje wyroki na Kafkę, Prousta, Manna — i nic dla niego nie jest zbyt, trudne, czy zbyt skomplikowane. Uzbrojony w „naukę" marksizmu-leninizmu i świadom aktualnej linii partyjnej — p. Werblan gotów jest wypowiadać autorytatywne sądy o Einsteinie, Huxley'u czy Juliuszu Cezarze. Bo — jak powiedział kiedyś tow. Bierut — w porównaniu z dialektyką wszystko jest łatwizną.

Zupełnie analogicznie p. Kowalewski. Uzbrojony w „naukę" antykomunizmu i świadom „partyjnej linii" — uważa, że ma dostateczne podstawy do wyrokowania o ludziach, którzy przerastają go o dziesięć pięter. Ze swej przeszłości wyniósł przekonanie, że żarliwa wierność dla „generalnej linii" zastąpić może wykształcenie, oczytanie, inteligencję — wszystko. Po tamtej stronie barykady „nie matura lecz chęć szczera" robi, a właściwie robiła z człowieka oficera. Ale w naszym świecie chęć szczera nie wystarcza by zostać krytykiem literackim.

Z antykomunizmu nie można robić komunizmu z odmiennym znakiem. Taki antykomunizm jest równie obcy i odpychający dla człowieka zachodniej kultury jak komunizm. Jeżeli tę całą gigantyczną walkę mielibyśmy prowadzić tylko po to, by Werblanów zastąpić Kowalewskimi — to ten cały „business" w ogóle by się nie opłacał. Lepiej poddać się bez wy-

trzału, tym bardziej, że Werblan jest niepomiernie bardziej oczytany i wykształcony niż Kowalewski.

Może nie byłoby warto poświęcać tyle miejsca p. Kowalewskiemu gdyby nie fakt, że na łamach prasy emigracyjnej reprezentuje on całkowicie obcy system krytyki literackiej. Istnieje dla niego tylko jedno kryterium politycznej użyteczności. Instytucje propagandowe, są w pełni uprawnione oceniać dany utwór, czy książkę, pod kątem widzenia walorów propagandowych. Ale one nie są akademią literatury, a tylko pełnią pewne funkcje określone statutem. Jest jednak rzeczą całkowicie niedopuszczalną i obcą zachodniej kulturze opierać krytykę literacką na kryteriach polityczno-propagandowych.

W „Ostatnich Wiadomościach" (Nr 15/531) p. Kowalewski zamieścił dłuższe „studium" o twórczości literackiej Tadeusza Nowakowskiego. Można rozmaicie oceniać poszczególne utwory tego pisarza ale nie ulega wątpliwości, że jest to pisarz całą gębą i talent przez wielkie „T". Wydaje mi się, że jedną z jego najlepszych rzeczy jest „Piknik Wolności". P. Kowalewski w swojej „krytyce" nie umie nawet wymienić tytułu tej noweli — wie tylko, że chodziło o jakieś baloniki. Niemniej „Piknik Wolności", „Obóz Wszystkich Świętych", „Syna Zadżumionych" — wszystko detalicznie i hurtownie potępia. Dlaczego? Bo sądzi, że jest to literatura zbyt mało antykomunistyczna i nie „w linii". Zwłaszcza „Piknik Wolności" jest skandaliczny, bo był zwrócony „przeciw idei przebijania żelaznej kurtyny od naszej strony".

I jeszcze klasyczna insynuacyjka. P. Kowalewski pisze dosłownie: „Mamy tutaj przykład wyraźny, niemal kliniczny, kompleksu, który rozwija się na podłożu konfliktu: serce i kieszeń". Innymi słowy p. Kowalewski stara się subtelnie zasugerować czytelnikowi, że Tadeusz Nowakowski pracuje w F.E. dla pieniędzy ale sercem jest gdzie indziej. Oto wyżyny emigracyjnej krytyki literackiej!

P. Kowalewski nie szczędził politycznych pouczeń zarówno mnie osobiście jak i „Kulturze". Miał również „za złe" Gombrowiczowi.

Gdybym dziś wsiadł w pociąg, wrócił do Warszawy i wstąpiwszy do partii starym komunistom zaczął prawić polityczne kazania — byłoby to niewątpliwie widowisko dość zabawne, podobnie humorystyczna jest sytuacja p. Kowalewskiego, który z ferworem poucza o antykomunizmie ludzi, którzy z komunizmem walczą od lat trzydziestu.

Antykomunizm jest czymś znacznie więcej niż negatywnym stosunkiem do komunizmu. P. Kowalewski nie może do dziś pojąć, że antykomunizm to jest przede wszystkim odpór wolnego, tolerancyjnego człowieka i obrona swobody przekonań przed zamachami politruków i cenzorów bez względu na ich polityczną maść i pochodzenie. Trzeba być najpierw w pełni człowiekiem zachodniej, demokratycznej kultury a dopiero później antykomunistą. Bo naszej kulturze nic z obrońców, którzy jej nie rozumieją i elementarnie przeciwko niej grzeszą.

ANTY-HEROICA

Jeden z krytyków literackich w Kraju zwrócił słusznie uwagę, że współczesna emigracja, w porównaniu ze swą poprzedniczką Wielką Emigracją, — jest anty-heroiczna.

Coś w tym jest. Mój dziad, Józef Mieroszewski, podobnie jak ja, emigrant polityczny — wysmażył w Paryżu „Poema" w dwunastu pieśniach które zadedykował Księciu Adamowi. Sama dedykacja obejmująca dwa arkusze — to była afera heroiczna nie mówiąc o reszcie. Owe „Poema" opracował i wydał przed wojną w Krakowie Dr Świetlik.

A nas prześladuje mit śmieszności. Weźmy Pietrkiewicza „Przyszłość do wynajęcia", która ukazuje się teraz w polskim przekładzie. Albo „Wyprawę Wiedeńską" Tadeusza Nowakowskiego. A to morze nowel i artykułów ośmieszających emigrację, nie wyłączając pół setki notatek Londyńczyka. Skąd się w nas to bierze? Asekurujemy się przed cudzym śmiechem. Wolimy sami z siebie pokpiwać niż żeby ktoś inny kpił z nas.

Nie oznacza to jednak, że w naszej historii brak scen heroicznych. Przywaliliśmy je jednak wstydliwie kupami śmiecia. Odgrzebią je kiedyś z emigracyjnego rumowiska pisarze, którzy dziś w dalekiej Polsce stawiają mozolnie w zeszytach pierwsze koślawe litery.

W poprzednim numerze „Kultury" Aleksander Grobicki zamieścił fragment swoich wspomnień monte-cassińskich. Jest tam opis fantastycznej sceny: ...„Bocheński nagle poderwał się z zadumy i z całej siły wyrżnął w klawisze pianina. Poprzez gruzy, pośród świętych bez głów i trupy w skrzyniach schowane, wśród ksiąg zwalonych na kupę, poprzez ornaty, kielichy i pierze popłynął Polonez. Żołnierze przystanęli. Ten i ów spuścił głowę...".

Żeby pojąć walor tej sceny, trzeba wiedzieć kim był Bocheński. Ale Adolf siedzący na stosie ksiąg i grający Poloneza w ruinach zdobytego monte-cassińskiego klasztoru — to jest polskość w syntezie, jakby polskość w kostce bulionu. W porównaniu z tym epizodem awantury Krzysztofa Cedry w zdobytej Saragossie — to jest sztampa i wata.

W pamiętnikach i wspomnieniach monte-cassińskich kryją się perły najprawdziwsze. Ale choć działo się to zaledwie wczoraj, owe perły wydają się emigracyjnym pisarzom żenującą biżuterią z feudalnej epoki. Kiedyś nadejdzie monte-cassiński renesans. Tylko już nie za nas. My do końca będziemy drwili i pokpiwali — mszcząc się na heroicznym micie, który nas zawiódł do nikąd.

LONDYŃCZYK

Najnowsza emigracja w Australii

TŁO, SPOSTRZEŻENIA I REFLEKSJE

Tradycyjny podział na emigrację *starą* i *nową* uległ tu ostatnio pewnej zmianie. W ciągu ubiegłych dwóch lat (po Październiku i po Olimpiadzie) wyrosła w polskiej Australii emigracja *najnowsza*. Są to przybyli z Polski przeważnie w ramach akcji tzw. jednoczenia rodzin, cyfra ich wynosi ponad 2.500 osób. Chociaż w stosunku do liczby ogólnej Polaków (1), liczba 3 tysiące nie jest duża, to jednak niektóre specyficzne warunki sprawiły, że obecność nowej grupy stała się widoczna i przyniosła pewne problemy, nieraz piekące i przykre, czasem dziwaczne lub osobliwe, wszystkie jednak ważne i godne zanotowania dla socjologów i przyszłych badaczy emigracji.

Wypada po krótce przypomnieć skład i specyfikę poprzednich emigracji (2). Starą emigrację oprócz rzadkich rodzynków, wyłapywanych przez niestrudzonego badacza i odkrywcę poloniców na tym kontynencie, Lecha Paszkowskiego (od Strzeleckiego, przez Korzelińskiego, Kabata, Jezuitów i poznaniaków z Seven Hills, do śpiewaczki Halinki de Tarczyńskiej) stanowiły oderwane jednostki lub rodziny polskie, albo Żydów polskich, przybyłe tu na grubo przed pierwszą wojną światową, grupa Polaków z Chin (po rewolucji rosyjskiej), spora ilość przybyłych

---

(1) Podaje się cyfrę 75.000. Lecz chodzi tu o obywateli Polski przedwojennej, a więc i Żydów, Ukraińców, Białorusinów oraz Litwinów. W organizacjach polskich jest około 9.000 członków. Nakłady dwóch tygodników wynoszą razem około 8.000. Firmy polskie posiadają razem około 40.000 adresów; adresów tych zazdrośnie strzegą, są bowiem podstawą ich działalności.

(2) Pomimo, że istnieją terminy jak uchodźstwo, wychodźstwo, emigracja i imigracja, w potocznym języku używa się tylko jednego: emigracja. Rozróżnienia wynikać będą z kontekstu.

w latach kryzysu (1928-30) oraz resztki służby konsularno-urzędniczej z tej połaci świata w latach czterdziestych.

Nowa emigracja, tzw. powojenna, składa się z Karpatczyków tj. „Szczurów Tobruku", żołnierzy i marynarzy z Anglii, a następnie gros to dipisi i b. jeńcy z Niemiec, a także uchodźcy z Indyj, Ugandy, Francji, Włoch, Czechosłowacji, Chin itd. Główne nasilenie tej emigracji przypada na lata 1947-51 (3); cechą charakterystyczną jest olbrzymia przewaga samotnych mężczyzn młodych i w sile wieku. Brak kobiet musiał prędzej czy później jakoś o sobie zasygnalizować.

Różnic pomiędzy słabą liczebnie starą emigracją a nową nie było, jak we Francji, Stanach, Kanadzie czy w krajach Ameryki Południ. Procent inteligencji w pierwszej grupie był spory, w drugiej — składającej się z masy dipisowsko-żołnierskiej — był niski. Podobno co lepszy element wybrał się (lub wybrano go) do Ameryki Północnej. Obie emigracje współżyją zgodnie, zawiązało się dość bujne życie społeczno-organizacyjne, coś się robi. Sporadyczne wyjazdy do Australii przed obiema wojnami podejmowały jednostki rzutkie, w pewnym sensie pionierskie. Masa dipisowsko-żołnierska, stanowiąca trzon drugiej i najobfitszej fali emigracyjnej, była raczej bierna, musiała *dokądś* wyjechać, skoro do Polski bała się, czy nie mogła wracać. Ale grupa ta była przyzwyczajona do zagranicy, poniewierki i ciężkich warunków; zdawała sobie sprawę, że nie jedzie ani na gotowe, ani na wczasy. Pęd do dorabiania się sprawił, że o różnych sporach politycznych w mig zapomniano. Londyn i leśne dziadki byli daleko, bliskie były sprawy tego kontynentu, sprawy codzienne, a nie mityczne (z tej odległości) jak to, kto wchodzi do jakiegoś zjednoczenia, egzekutywy, czy stronnictwa. Z tej ogromnej odległości nie tylko polskie ośrodki emigracyjne, ale i cała trochę rozhisteryzowana Europa wyglądały inaczej. Pracując w trudnych warunkach razem z Niemcem, Łotyszem, czy Ukraińcem, będąc narażonym na wspólną niechęć gospodarzy, dochodziło się do wniosku, że jednak sprawy szowinizmów, granic i wypominań co kto komu kiedy zrobił i kto zaczął — nie miały sensu. Wszyscy jakoś wyczuwali ponadnarodową wspólnotę tego, że jest się Europejczykiem. Oddalenie, zaabsorbowanie sprawami szybkiego dorobku, mieszane małżeństwa i wspólne emigranckie stękanie na Australię oraz dziwaczny (w naszych oczach) styl życia tubylców — dopełniły reszty. Każdy z tych narodów jakoś brał w skórę, każdy miał ciężkie przejścia: czy warto więc kontynuować dawne zatargi z innych proporc[illegible] i czasów w nowym kraju osiedlenia? Ano, wszyscy nauczyliśmy się trochę tolerancji. Gdyby jakiś cud sprawił, że zamorscy emigranci przejęliby jutro władzę w swych krajach, to oduczyliby swych rodaków szowinizmu, pępkizmu narodowego; federacja byłaby możliwa prawie z dnia na dzień.

(3) Bal z okazji dziesięciolecia Związku Polaków w Melbourne zgromadził niedawno 1.000 osób, głównie inteligencji.

Lecz wróćmy do tematu: co sprawiło, że przyjazd niezbyt wielkiej grupy najnowszej emigracji z Polski stał się w naszych warunkach widoczny i przyniósł dość wyraźnie zarysowane problemy?

Najnowsza emigracja z Polski to w przeważającym stopniu inteligencja, nie tyle w pojęciu klasy, zawodu, czy z wykształcenia (4), ile ze stylu życia, nawyków i korzystania z cywilizacji. To ludzie z miast. Przy całych brakach w odzieży, nierzadko w jedzeniu, przy życiu z dnia na dzień, ludzie ci korzystali więcej z życia niż emigrant, żyli inaczej, intensywniej po inteligencku. Ściągnęli tu teraz przede wszystkim do dwóch głównych ośrodków polskich: Sydney i Melbourne (5). Miano tu rodziny, znajomych; życie w małych dziurach i w buszu przerażało. Emigracja powojenna też grawitowała ku tym ośrodkom, ale jest rozrzucona i po innych stanach i okolicach. Ludzie przyjeżdżający przed laty na kontrakt i odrobiwszy go w ciągu 2 lat w jakimś Wooloomooloo, Mooroopna, czy Yallourn, najczęściej tam osiadali.

Najnowsza emigracja „wybuchła" po Październiku i po Olimpiadzie. Polonia z Melbourne postawiła się jak tylko mogła, aby olimpijczyków przyjąć, tym bardziej, że ekipa zjeżdżała tu podczas rewolucji na Węgrzech i wrzenia w Polsce: więc biało-czerwone serca paliły się wysoko-oktanową polskością i gościnnością. Podział na to co tylko „reżymowe", a co „polskie" nigdy nie był łatwy do przeprowadzenia i zarówno propaganda krajowa, jak i emigracyjna, nadużywały tej tonacji jak mogły. Ludzie byli zmęczeni tym rozgraniczaniem, niektórych tęsknota paliła jak nadkwasota, następowało normalne oswojenie się ze stanem faktycznym (*il n'y a que le provisoire qui dure!*), niektórzy byli zaciekawieni ekipą i możnością bezpośredniego kontaktu, lecz bali się prowokacji i zakazów (bo w imię demokracji na emigracji też było kilka niemiłych nadużyć tejże demokracji) — jednym słowem masa emigrancka była w miarę osowiała i zmęczona, w miarę zaciekawiona, aż tu nagle zaistniał Październik i nieurzeczywistnione później nadzieje. Pito na zdrowie Gomułki, oczekiwano pierwszych relacji, serca i umysły płonęły. Przyjazd ekipy i sama olimpiada były dla nas wszystkich jakimś festiwalem polskości wyzwolonej z nakazów własnych i cudzych; Melbourne, a z nim cała polska Australia wrzały. Mędrcy narodowo-społeczni, ojce emigracji pod Krzyżem Południa (konstelacja ta nota bene pięknie się nazywa, ale jest nieco przereklamowana) radzili, nie wiedzieli, próbowali wypośrodkować, aby

(4) Obniżenie poziomu nauk humanistycznych wśród przybyłych byłoby zabawne, gdyby nie fakt, że stanowi poważne znamię dzisiejszych czasów.

(5) „Wiadomości Polskie" w Sydney zaczęły (artykuły B. Korpowskiego) lansowanie używania zwrotów „w Melbournie", „w Kwinslandii" (Queensland). Pomimo wypowiedzi różnych językoznawców na ten błahy temat, terminy te nie przyjmują się. Dopiero życie może nadać temu dziwolągowi normy zwyczajowe, a więc obowiązujące. Polacy w Szkocji mówią: w Glasgowie, do Glasgowa.

później nie narazić się na zarzut macherów z Londynu i Warszawy, że wypadli z linii politycznej lub narodowej. A tu tymczasem Węgry krwawią, Gomułka, przyjazd pierwszych organizatorów przelotu ekipy (czytaj: politruków) wystraszonych bo sami nie wiedzieli wówczas jak sytuacja się rozwinie, skąd po powrocie może zlecieć cegła na głowę. Ale trącał pies ubowców, próbujących tu nawiązać kontakty (a kontakt z każdą Polonią najlepiej nawiązać w niedzielę przed kościołem po mszy i przy wódce) bo oto przyjeżdżają Chromik, Sidło, Krzesińska, mądry i miły Reczek wódz od sportu, kupa zawodników i dziennikarzy. (Ci ostatni to się Polsce ludowej nie udali: co jeden to większy bęcwał i zarozumialec!) Więc witano, a jakże, były nieodzowne stroje krakowskie na lotnisku, podniosłe kazania z ambon, przyjęcia, nawet kabaret literacko-satyryczny „Wesoła Kookaburra" (dziś się biedactwu zmarło na plotki!) zaprosił kierownictwo ekipy na swój program pt. „Pysk olimpijski" (witać czy nie witać, oto jest pytanie). Przyjęcie szło po przyjęciu, chłopców i dziewczęta rozrywano, prezenty ino zwożono do wioski olimpijskiej. Kto tego nie przeżył sam, nie wie jakie to było wzruszające, w mocnym sosie histerii narodowo-patriotyczno-latarnikowo — do kraju tego gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez wyrachowanie. Pojawiły się listy i artykuły w obu miejscowych tygodnikach polskich, jakiś facet prosił w nich odjeżdżających rodaków, aby wróciwszy do Polski i padłszy na granicy krzyżem, całowali od nas ziemię ojczystą i wsłuchiwali się i szeptali, bo to wierzba płacząca, bo trawa, bo skiba polskiej ziemi i inne cacy-cacy. A redakcja toto drukowała, nawet w przypisku nie podała, że padanie krzyżem na ziemię i trawkę to dobre w grudniu tutaj, nie w Polsce, bo tam wtedy zima, tu lato.

Olimpijczycy wrócili zachwyceni i objuczeni podarkami i paczkami, byli zasię tacy co zamawiali sobie wszystko z nylonu, nawet pieluszki dla mającego się urodzić dziecka, a tłumaczenie, że nylonowa pieluszka odparzy pupcię, puszczali mimo uszu. Australia pokazała się wtedy z najlepszej strony. Przed olimpiadą zapanował *boom,* roboty było wyżej uszu, bezrobocie spadło poniżej zera. Australia, ten olbrzymi kraik, miała taką imprezę po raz pierwszy w swych rękach, wszyscy byli podnieceni, Polacy gościnni i wzruszali się do łez, gdy taki wioślarzyna kiwał głową z niedowierzaniem: „To wy Neskę (Nescafé) pijecie naprawdę co dzień? A po co tu tyle samochodów? (6)".

(6) Australia ma 244 samochodów na 1.000 mieszkańców, nie licząc w tym motocykli, skuterów i ciągników. Przed olimpiadą rząd apelował, aby kto nie musi, nie używał auta ze względu na wzmożony ruch. Korespondent „Prawdy" (przyjechał na „Gruzji", naszym, dawnym „Sobieskim") napisał wszakże, że Menzies kazał do Melbourne ściągnąć wszystkie auta z Australii aby zaimponować przyjezdnym. To samo było z towarami w sklepach. Po olimpiadzie — ówże korespondent podał — zniknęły one i zapanowała kapitalistyczna bryndza. „Każdy sądzi według siebie".

Dziennikarze — a palma należy się tu Ochockiemu, Tomaszewskiemu i Grudzie — pisali z entuzjazmem, chwalili, obserwowali i komentowali zjawiska, których nie rozumieli; przykładali marksistowskie okulary do spraw i problemów najmniej do tego się nadających, bzdurzyli z przejęciem — i tak w Polsce wyrosła opinia o Australii mlekiem i piwem płynącej, o Polakach-rodakach o złotym sercu, którzy tylko leżą do góry brzuchem i grają sobie przedwojenne tanga Kataszka i Karasińskiego, o pieniądzach walących się na ulicy. Tylko się po nie schylić, choć przy tej parszywej wilgoci niejeden łapie staropolskiego heksenszusa w plecy. Potem wrócili zawodnicy, opowiadali cuda, bo każdy z nas lubi bujać, bo każdy z nich brał gościnność ponad stan za normalny tok życia. I tak oto Australia jako taka, i w ogóle polska, stała się polaryzatorem marzeń o poprawie losu dla tysięcy w Polsce.

Z takich to informacyj wywodzi się najnowsza emigracja do Australii. Tu leży również przyczyna późniejszych niezadowoleń i dąsów, czasem tragicznych rozczarowań.

Lecz zanim jeszcze przyjechali pierwsi emigranci popaździernikowi (w okresie olimpiady zezwolono w Polsce na wyjazd kilkudziesięciu osobom do Australii w celu odwiedzenia rodzin — część została) zaczęły się sypać listy. Listy z prośbą o pomoc. Na pewno wśród nadawców było wielu ludzi w potrzebie, organizacje polonijne i jednostki zajęły się sporą ilością ludzi w miarę swych możliwości, lecz gdy listy szły w tysiące (7) sytuacja stała się przykra i żenująca. Napraszanie się o pomoc to niestety cecha nagminna wśród wielu mieszkańców P.R.L. Z jednej strony mit o szalonym dobrobycie emigracji, z drugiej nędza i powojenne cwaniactwo (śmierć frajerom!) — w sumie było to naprawdę przykre.

Nikogo w Polsce nie obchodzi, że tu pracujemy ciężko przeważnie w najbardziej nieoczekiwanych zawodach. Pewien olimpijczyk posądzał swego kuzyna, pracującego przy myciu trupów w szpitalu, o sobkostwo, bo mu nie kupuje tego owego. Tamten odparł:

— Feluś, teraz naprawdę mi ciężko, spłacam dom, dzieci mi chorowały, a tu lato idzie. Żebyś tak przyjechał na wiosnę lub pod jesień to wtedy zarabiam więcej, trzaskam *owertajmy*, bo kangury kitują we wzmożonym tempie na grypę, ale teraz nie mogę...

Znamienny wypadek: pani kapitanowa wzięła tu dodatkowo wieczorami pracę sprzątaczki, aby pomóc paczkami siostrze w Polsce. Ta za uzyskane z pomocy pieniądze wzięła sobie pomocnicę domową. Nikt nie chce zrozumieć, że gdy ubierze się kuzyna (brata, szwagra itp.) od stóp do głów, ten po powrocie znowu opowiada cuda o swym bracie, szwagrze, kuzynie itp.

(7) W Polsce — jak mi opowiadali wiarygodni świadkowie — istniał wówczas czarny rynek na adresy Polaków w Australii, tak, *sprzedawano adresy!*

(*reflected glory*), a ówże w Australii, Anglii i gdzie indziej najczęściej spłaca zaciągnięte zobowiązania na raty przez 2 lata.

Przytoczę tu dla ilustracji tekst jednego z 63 listów, jakie otrzymałem w owym okresie. Ten o którym mówię przyszedł na taki adres: Andrzej Chciuk, Polonia Polska. Melbourne. Tytan dziennikarstwa polskiego Kałuszyner-Ochocki w jakimś reportażu pochwalił się, że w kabarecie polskim występuje kucharz, Andrzej Chciuk. Odezwało się, też na niekompletne adresy, kilku kolegów. Ci cieszyli się z odnalezienia mnie, zaproponowali książki, niektórzy od razu je wysłali. Reszta to były listy od osób nieznanych. Ale oto tekst wspomnianego listu.

Szanowny i drogi Panie Chciuk!
Mówią ludzie, że wy tam tęsknicie, więc ślę pozdrowienia z dalekiej ojczyzny, co o was pamięta. Ale też mówią ci co przyjechali, że jesteś pan wielkim Polakiem o szczerym sercu, o wielkich cnotach charakteru i nikomu pan nie odmówisz gdy z serca poprosi. Otóż z całego serca gorąco pana proszę o... (tu wyliczono: amerykański kombinezon skórzany do jazdy na motocyklu, buty, szalik, ubranie wizytowe, kupon wełnianego materiału kostium dla żony, letnią sukienkę, trzy komplety bielizny, włoskie buty „trumniaki", trzy kilo włóczki, ubranka i buciki dla dwojga dzieci — wszystko z numerami, wymiarami i kolorami do twarzy), oraz kakao i sok ananasowy. „Bo Ochocki pisał, że u was ananasy tańsze od kartofli".

Z dalszej lektury listu wynikało, że rodak zwracający si[ę] o pomoc został „zdjęty" z lepszego stanowiska, a teraz m[a] pracę objazdową i „musi często w deszcz i pluchę jeździć p[o] zapadłych dziurach". Dlatego jeszcze na zakończenie pozdro[...] wień z Polski prosił o płaszcz nieprzemakalny. Zaintrygowan[y] tym „objeżdżaniem" wsi w deszcz i pluchę zwróciłem się d[o] kolegi, aby przeprowadził małe rozpoznanie o kogo chodzi. P[o] miesiącu dowiedziałem się, że chodzi o jakiegoś instruktor[a] spółdzielni produkcyjnych w pewnym powiecie w województwi[e] rzeszowskim. Komu jak komu, ale jemu to — jak mówili w[e] Lwowie — „zalc-zajeru", lub proszku fiakierskiego!

No, ale wróćmy do najnowszej emigracji. Natężenie przy[...] jazdów obecnie zmalało, bo „remanent w U.B. się skończył" i przestraszone praworządnością kacyki tej instytucji podnosz[ą] po staremu głowę. Lecz ciągle notuje się nowe przyjazdy. Był[y] i są wypadki powrotu do Polski rozczarowanych, lub dalsz[e] wyjazdy do Nowej Zelandii oraz Izraela (Żydzi i małżeństw[a] mieszane). Niezadowolonych wśród najnowszych emigrantów jes[t] bardzo dużo, zadowolonych można policzyć na palcach. Proce[s] aklimatyzacji w sensie klimatu, warunków i typu życia or[az] nauczenia się obcowania z emigracją postępuje bardzo woln[o] naprzód. Najtrudniej jest z przestawieniem przyzwyczajeń, [z] konfliktem mentalności, z włączeniem się do nowej rzeczyw[i]stości, mimo że nowoprzybyli mogą i powinni korzystać z n[a]szych doświadczeń, pomocy i ułatwień. Nam nikt niczego n[ie] ułatwiał, nie tłumaczył, nie wprowadzał nas. Nawet wiedz[y] o zwyczajach, mentalności, organizacji Australijczyków trzeb[a] było uczyć się na własnej skórze!

Leży pomiędzy nami dwadzieścia (czasem mniej, lub więcej) lat i to *jakich* lat! Przez dwadzieścia lat inaczej rośliśmy, czy starzeliśmy się, wyszliśmy z innych kręgów doświadczeń, trosk i problemów; nawet drobiazgi naszych egzystencji były inne. Jesteśmy pod wieloma względami naprawdę inni, trochę obcy, inaczej formowani, mieliśmy inne hierarchie problemów i inne mole nas gryzły. Obie strony przeżyły ten okres pod ciśnieniem *różnych* rzeczywistości, dwóch naprawdę innych światów. Dalej jesteśmy oczywiście braćmi, lecz trochę inaczej podchodzimy do tego co łączy i co różni w miłości, by użyć pięknej Norwidowej przenośni.

Najbardziej uwypukliło się to w połączonych rodzinach. Po okresie nerwowego czekania i formalności następował wreszcie przyjazd! Euforia, łzy, szczęście, opowiadanie sobie całymi nocami. I drobne refleksje i spostrzeżenia, które kłuły naprzód nieoczekiwanie i figlarnie jak pchełka, potem z pchełek rosły tęgie pchły, kłuły zdrowo, zbierało się ich wiele: różnice w reakcjach, różnice w ocenie, a dla nich przeskok do niesamowicie innej egzystencji, która nam już wydaje się normalna. Wzajemnych relacji słuchamy z niedowierzaniem jak relacji popularnego tu rodaka z Ameryki George Adamskiego, specjalisty od latających spodków. Przenośnia nie jest ani zła, ani zbyt sztuczna: i tu i tam mamy do czynienia ze zbiorową psychoza, i tu i tam ludzie wierzą w to w co chcą wierzyć. Do tego wszystkiego doszła ich najświeższa tęsknota, emigranckie chandry z pierwszego okresu wysadzenia z siodła, tutejszy inny styl życia (,,nudy na pudy'').

— Co? W niedzielę nie ma tu kin ani teatrów? Nie ma tu kawiarń, gdzie, jak wszyscy wiedzą, o tej a o tej porze można spotkać tego, czy innego? Jak wy tak możecie żyć?

Rzeczywiście, jak możemy? Możemy, bo musieliśmy. Oni nigdy nie zrozumieją, że kiedy przyjechaliśmy do Australii to był tu tylko jeden rodzaj białego chleba jak z waty, jeden rodzaj sera Krafta i ani jednej kontynentalnej wędliny. A teraz wszystko jest; emigranci nie tylko pchnęli wprzód gospodarczo Australię, ale nauczyli ją jeść i żyć inaczej. O ile nie nauczyliśmy wszystkich inaczej żyć, to przynajmniej sporą część. O ile nie nauczyliśmy ich żyć po naszemu, to mamy już warunki życia na obraz i podobieństwo Pikutkowa i Paryża, tak jak kto chce i umie. Czy dziesięć lat temu była tu choć jedna przyzwoita kontynentalna knajpa? A espresso? Czy można było zamówić inne ciastka niż okropnie słodkie i robione na łoju? A dziś? He, he... — mruczymy, niebo i ziemia.

95% z nas przyjechało do baraku i do łopaty, do kilofa, czy miotły na ulicy. Nie znaliśmy tu nikogo, nie mieliśmy oparcia. 100% nowoprzybyłych znajduje tu już takie czy inne oparcie. Do baraków (hosteli i obozów emigranckich) zajechali tylko samotni, nie wiem czy 5% z ogólnej cyfry. Większość miała przyszykowane mieszkania, albo ułatwiono im ich wynajem. Do łopaty i kilofa, poza naprawdę nielicznymi wyjątkami nie stanął

nikt, pomimo dość sporego bezrobocia. Przygniatająca większość wylądowała w sklepach, biurach i placówkach zorganizowanych przez starą emigrację (8), a wszyscy skorzystali z takiej czy innej pomocy, czy choćby już wyrobionej „marki" lub „chodów". Szkopuł tylko w tym, że tej pomocy oczekiwano dużo większej. Nikt z przybyłych nie umiał mi odpowiedzieć, *na podstawie czego* tej dużo większej pomocy oczekiwano, faktem jest, iż nierzadko oczekiwano tej pomocy jako czegoś co się należy.

Tu dotykamy ważnego problemu, aż dziw, że nie poruszanego przez socjologów i psychologów: *Polakom zawsze się coś należy*. Należał się podziw świata (sumienie świata), należały się paczki Unrry; dopiero przetransplantowanie w inną planetę jaką jest Australia osłabiło, lub wytępiło tę plagę. Emigrant ma dwie ręce i nic mu się więcej nie należy. Własną pracą dochodzi do czegoś, albo sam sobie swe życie zaniedojdzi i sam musi pracować nad zawiązaniem i utrzymaniem organizacji społecznych, oraz musi im coś naprzód dać, zanim będzie mógł czegoś od nich oczekiwać (9). Jednak wśród przybyszów z Polski Ludowej ta choroba należysiemizmu ciągle czyni spustoszenia. Buzię wprawdzie trzeba było trzymać, wiele braków ścierpieć, ale wczasy się należały, szkoły się należały, kasa chorych też. A tu wszystko inaczej.

Każda emigracja pociąga za sobą nieuchronnie deklasację. Deklasacja jest problemem ogólnym i indywidualnym. Ogólnym, bo dotyczy wszystkich inteligentów, którzy nie mogą (są obostrzenia, czasem nonsensowne) tu nostryfikować swych prawdziwych, a co gorzej urojonych dyplomów, bo dotyczy wszystkich, którzy muszą pracować w innych zawodach niż te, do których się przygotowali, lub już je wykonywali. Indywidualnym, gdyż bez naszej wewnętrznej zgody nigdy się właściwie nie zdeklasujemy. Kapitalnym przykładem jest pewien b. senator i b. dyrektor jednego z największych koncernów tekstylnych w Polsce przedwojennej. Człowiek ongiś niezwykle majętny. Stracił wszystko. Tu od lat pracuje jako stróż-zamiatacz w fabryce włókienniczej, pomimo swego podeszłego wieku. Pomimo, że oboje z żoną pracują fizycznie i jest im raczej ciężko, są zadowoleni, tryb i styl życia (co jest chyba ważniejsze!) prowadzą kulturalny, promieniuje z nich godność i klasa. Uczcie się młodzi, uczcie się od nich dorobkiewicze i półinteligenci nie posiadający nigdy ani części ich bagażu intelektualnego, a zapłakujący się nad sobą, co to też niby mieli przed wojną i co stracili.

---

(8) Były — i częste — wypadki, że starzy emigranci wyzyskiwali nowoprzybyłych, zaangażowanych do swych placówek. Nowi nie znali stawek, praw i swych przywilejów.

(9) Ważnym problemem Polonii Australijskiej będą wkrótce starcy i domy dla nich. Przyjechali tu ludzie młodzi, lecz lata lecą. Na każdego funta zebranego na taki cel przez społeczność emigracyjną, rząd dodaje dwa.

Im kto jest bardziej półinteligentem tym bardziej boleje nad swą rzekomą deklasacją. Pamiętamy z pism krajowych, jaki rwetes i ból zapanował wśród tych tysięcy urzędników i urzędniczek partyjnych i państwowych w Polsce, gdy Gomułka redukował przerosty aparatu administracyjnego, gdy mówiło się o pracy ekspedientów dla tych zredukowanych. I to w państwie socjalistycznym, zacierającym rzekomo różnice klasowe. Tu nikt nad taką sytuacją nie boleje. Większość z nas pracuje jako robotnicy, ale nie żyjemy jak miejscowi robotnicy Stwarza to na pewno różne problemy, utrudniające asymilację, ale faktem jest, że nikomu korona z tego powodu z głowy nie spadła. A tymczasem nowoprzybyli, po wieloletnim stage'u socjalistycznym i bajcu o równości płaczą, że się deklasują (10). Straszne.

Żadne uwagi obiektywne nie są przyjemne, więc może i te nie pójdą w nos nowoprzybyłym. Nie tylko, że nie odczuwamy do nich niechęci, ale przezwyciężamy psychozę przedziału kolejowego ,,kto dłużej z nami ten lepszy''. Przeciwnie, chcemy im pomóc. Ale też czegoś od nich oczekujemy. Tego ostatniego przeważnie nie rozumieją. Pomóc nam, a nie im.

Większość inteligentów krajowych przyjechała do nas jak kiedyś Anglicy do kolonii. Z wyższością (11). Krytykują wszystko, pokutuje w nich leitmotiv propagandy komunistycznej, że co emigracyjne to mniejsze i trochę śmieszne. Nasze instytucje i organizacje na pewno są dalekie od idealnych, ale powstawały w ciężkich warunkach bez subsydiów partyjnych, czy państwowych. To, jakie są, jest wynikiem i wypadkową konkretnych, specyficznych trudności, z których nie wszystkie można było pokonać. O tych warunkach przybyli nie wiedzą nic, ich znajomość emigracji jest równa zeru, co jest tym dziwniejsze, że przecież wybierali się na emigrację nie z dnia na dzień. Nie wiedząc nic wymądrzają się, niestety. Prawie, że paradoks : stara i nowa emigracja w Australii zlały się w jedno : nie było konfliktów, czy stronienia od siebie, jak na innych terenach polskiej diaspory. Ale czy tak samo będzie z

---

(10) ,,Wiadomości Polskie'' z Sydney zamieściły sporo listów tych ,,rozgoryczonych''. W nrze z 19 kwietnia rb. p. K.O. z Queensland pisze z rozpaczą o nieszczęsnej doli nowoprzybyłych Polek. Przyjechała do ojca, pracuje na jego kurzej farmie i wylewa łzy nad swym losem, bo musi wstawać rano aby podsypać kurom ziarna. Wszystko wokół jest obce, pustka — nie o takiej przyszłości marzyła uczenica liceum w Polsce. I znowu deklasacja. Zapomina, biedactwo, że pracuje dla zabezpieczenia własnej zasobnej przyszłości i że jakaś pomoc i wdzięczność należy się ojcu, który przez 10 lat przysyłał jej paczki.

(11) Pewien niedawno przybyły dziennikarz nazwał Australię ,,trupiarnią'' używając zresztą i innych małoeleganckich a niesłusznych epitetów. Swoje żale i krytyki tłumaczył ,,wolnością słowa'' — że tu jest demokracja i że mu wolno. Rozumiem, że chciał sobie ulżyć, ale prócz wolności słowa jest jeszcze coś, co nazywamy delikatnością. Gdybym, korzystając z jego koncepcji, napisał co o nim myślę, mógłby — i słusznie — podać mnie do sądu, choć — klnę się na mój brzuch — powiedziałbym o nim prawdę w mniejszym stopniu subiektywną niż to co on wypisuje.

najnowszą? Różne organizacje, jednostki, a także sydneyskie „Wiadomości Polskie”, zaczęły akcje poznawania wzajemnego, ale na miłość boską i sami nowoprzybyli muszą coś w tej materii zrobić. Niech się nie wymądrzają, niech nie krytykują wszystkiego u nas i u Australijczyków; a często słyszane prześmiewania, że łazienki w domach są tu kolorowe, nie mają — gdyby się zastanowić — sensu. Nie można dać mądrzejszej rady jak to: trochę dyskrecji, skromności, delikatności, zrozumienia. Trudno, trzeba przynajmniej udawać, że się kracze jak i wrony. I gospodarze i wieloletni emigranci są z natury rzeczy przewrażliwieni, trzeba z nimi grzecznie. Zresztą wypada stwierdzić, że najbardziej narzekają ci, co przybyli najpóźniej. Każdy miesiąc pobytu i każdy tygodniowy zarobek — wciągają bardziej i przyzwyczajają do otoczenia.

A tu taki bubek przyjeżdża, zobaczył dwa czy trzy zjawiska i już lu! ma sąd na ten temat. Sąd ex cathedra, bo przyjechał do polskiej kolonii. Jasne jest, że aby o czymś pisać reportaż, trzeba tam być krócej niż sześć dni (świeżość obserwacji i wyłapywania kontrastów, do których tubylcy się przyzwyczaili i ich nie dostrzegają) albo dłużej niż sześć lat (znajomość rzeczy, stylu życia i podszewki faktów). Ferowanie sądów przy tupecie, a nieznajomości faktów i zależności pomiędzy nimi, przy braniu zaobserwowanych zjawisk za typowe i rozciągające się na całość zagadnienia, przypomina owego dziennikarza amerykańskiego, który przyjechał do Paryża, a pierwsi trzej fryzjerzy, którzy go golili, byli akurat rudzi. Machnął więc reportaż że sam widział, iż wszyscy fryzjerzy w Paryżu są rudzi.

O emigracji można mówić i pisać wiele. Każda emigracja jest trochę chorobą psychiczną i życiem w innym czasie i proporcjach. Wszystko też w niej jest jakieś niekompletne, bo nigdy nie zapomni się przeszłości ze swego kraju i nigdy zupełnie nie włączy się w teraźniejszość kraju osiedlenia. Co nie przeszkadza, że są dziedziny, w których może być zdrowsza i realniejsza niż macierzysty kraj, czy kraj osiedlenia. Tak było zawsze z emigracjami. Wszelkie generalizowanie jest niebezpieczne, a co dopiero gdy chodzi o emigrację, problem tak złożony, nieraz bolesny, a w każdym razie umykający sztancom jak żaden inny. Emigracja jest również postawą, przynajmniej my to tak rozumiemy.

Problemem społecznym są tzw. małżeństwa przez „proxy”, przez prokurację, małżeństwa z ogłoszeń matrymonialnych, w ogóle małżeństwa mieszane: krajowo-emigracyjne i emigracyjno-cudzoziemskie.

W Polsce w grupie wieku 25-45 panuje duża nadwyżka kobiet, wywołana stratami wojennymi wśród mężczyzn i ich ubytkiem na rzecz emigracji. Na emigracji posucha na kobiety jest ogromna, szczególnie w Australii, dokąd ściągnęła znaczna ilość samotnych i młodych mężczyzn, a gdzie mieszane małżeństwa z Australijkami były z jakichś powodów wśród Polaków bardzo rzadkie. (Teraz — jak twierdzą statystyki

— tylko co trzeci Polak zawiera związek małżeński z Polką (12). Stąd opinia, że każda potwora znajdzie tu swego amatora. Utarło się, że w Australii kobiet w ogóle jest mało. Opinia fałszywa: tak samo tu wygląda ta sprawa jak wszędzie. W Darwinie każda samotna kobieta, jak wykazują statystyki, wychodzi za mąż w ciągu najpóźniej 5 miesięcy od przyjazdu do tego gorącego północnego miasteczka. W ,,country'' na zapadłej prowincji (13) procent kobiet jest niski. Ciągną bowiem do miasta: na prowincji najczęściej życie dla nich jest trudne, ze względu na klimat, prymityw i brak biur i fabryk, które skoncentrowane są głównie w dużych ośrodkach, w stolicach stanowych. Zresztą dwie stolice stanowe Sydney i Melbourne grupują niemal połowę mieszkańców całej 10 milionowej obecnie Australii o obszarze 7 i pół Francji. W Melbourne, kobiet jest o 110.000 więcej niż mężczyzn. Brak równowagi pomiędzy płciami jest w grupie polskiej największy, choć jest bolączką każdej grupy emigranckiej. Stąd walka o kobietę, rozwody, uprzywilejowanie kobiet, datujące się tu jeszcze z czasów gdy Australia była kolonią karną.

Dlatego, gdy olimpijczycy jęli opowiadać cuda o Polakach w Australii, znalazło się w Polsce dużo chętnych panien, wdów i rozwódek, które chciały tu wyjść za mąż. Ilość powstałych w Polsce i Australii agencyj matrymonialnych jest najlepszym dowodem ,,handlu'' jaki zaczął odchodzić. Początek tej serii małżeństw dała oszczepniczka Anna Wojtaszek, która tu poznała inżyniera Pazerę i została, by wyjść zań za mąż. (Ekipa olimpijska pożegnała ją bez kwasów, prezentami. Dziś Anna Pazera jako reprezentantka Australii zdobyła złoty medal na Empire Games, ostatnio poprawiła rekord Australii o 2 metry). Wkrótce się rozeszli: konflikt mentalności. Małżeństw mieszanych krajowo emigracyjnych było sporo, niestety procent szczęśliwych małżeństw (lub jeszcze trwających) jest nikły. Małżeństwo w ogóle jest loterią, co dopiero na niewidzianego, lub w pośpiechu, często na fotografię robioną ileś lat temu, gdy różnica w mentalnościach, aspiracjach i przyzwyczajeniach jest tak duża. O swoistym ,,handlu'', jaki w związku z tym się rozwinął, wolę nie pisać. Może to być znak czasu, ale niemiły.

Notatki te z natury rzeczy są chaotyczne, gdyż poruszają zbyt wiele spraw, wymagających każda szerszego opracowania. Podam teraz kilkanaście migawek i obserwacji, zahaczą

---

(12) Niedawno czytałem w miejscowej gazecie polskiej ogłoszenie prywatnej inicjatywy o zbiorowej wycieczce do Polski. Reklama wspomina, że celem wycieczki oprócz zobaczenia się z rodzinami jest danie możności poznania Polek i wybrania sobie żony.

(13) Zresztą osiedla australijskie są różne od miasteczek i wsi europejskich, wynikło to nota bene z konkretnych warunków i znowu wydziwianie na ten temat nie ma sensu. Pierwsze miasto stanu Victoria (Melbourne) ma 1.800.000 mieszkańców. Drugie z kolei (Geelong) liczy tylko 60.000. Miasto pięciotysięczne uważane jest za duże.

one i naświetlą krótko niektóre problemy, lepiej niż publicystyczne analizy i wymądrzania:

Obrazek pierwszy: Ojciec, były urzędnik, pracujący tu jako *foreman* murarzy przy budowie tamy, ściągnął do Australii córkę, studentkę medycyny. Wychowywały ją ciotki, ojciec pomagał b. dużo paczkami, spełniał niemal każdą zachciankę: posłał jej nawet scooter. Na koszta przelotu córki pożyczył ojcu pieniędzy jego kolega, trochę młodszy, licząc że się z dziewczyną ożeni. Kolega ojca, starszy od niej o 25 lat, nie podobał się dziewczynie; kiedy się dowiedziała o układzie pomiędzy ojcem a jego kolegą — uciekła. Pracuje obecnie jako służąca, składa na powrót.

Obrazek drugi: Syn, mający wówczas pięć lat, gdy matkę wywieziono do Niemiec, a wychowany przez babkę, przyjechał do matki, która tu wyszła ponownie za mąż za młodszego od siebie przyzwoitego człowieka. Oboje pracują, spłacają dom. Syn jest miły, spokojny, wychowany po katolicku, pracował jako kreślarz. Nic mu tu się nie podoba, wszystko krytykuje. Nie chce niczego jeść, bo nic mu nie smakuje. „Może" jeść tylko szynkę i ananasy. Pracy w swym zawodzie nie może znaleźć, gdyż nie zna języka, ani systemu miar. Kreślarze australijscy są bardziej samodzielni, dostają projekty do rozpracowania; on tego nie umie.

Obrazek trzeci. Swego czasu poprzez redakcję „W.P." w Sydney otrzymałem list, pisała go była baletnica z dużego miasta w Polsce, przyjechała tu do rodziny. Słyszała o naszym kabarecie, myślała, że się u nas zaczepi. (Nie wiedziała, że emigracyjny kabaret gra tu co 2-3 miesiące, gdyż nie ma tu publiczności na tego rodzaju imprezy. Kabaret traktowaliśmy jako zabawę i uboczne źródło zarobków, często problematycznych). Przysłała odpisy świadectw, fotografie, recenzje. Pisała, że chcą ją tu (rodzina) wydać za mąż za starszego pana. Gdyby tylko była jakaś możliwość pracy artystycznej, ucieknie. Ale termin ślubu był wyznaczony, prosiła o szybką odpowiedź. Kiedy ją otrzymała, trochę zimnego tuszu i rzeczowych szczerych wyjaśnień (pomimo, że obiecaliśmy jej pomoc w zaaranżowaniu prób do Tivoli i Telewizji) — wyszła za mąż. Źle się czuje, nerwowo Australia ją wykańcza.

Obrazek czwarty: Brat, Żyd, ściągnął dużo młodszą siostrę nie widzianą od 14 lat. Dorobił się, ma fabrykę swetrów. Ona skończyła studia, była architektem. Wyszła za mąż za Polaka. Mają dziecko. Aby zaoszczędzić dziecku docinków („Mama Żydówka!") wybrali się tu, skorzystali z pierwszej okazji, ażeby uciec ze znienawidzonego ustroju. Dziś żałują, twierdzą, że tam mogli żyć. Brat krzyczy do niej: ty już jesteś Polka! Ona się dziwi: co się z tobą stało? Jechałam do brata, znalazłam starego Żyda! Przecież ty nigdy nie byłeś praktykującym Żydem, jak ty mówisz po polsku?

— Tak, Polaków nienawidzę! Gorsi od Niemców!

— Co ty wygadujesz, Józek! A nas kto uratował? A ciebie?

— Ty już jesteś Polką! — załamał ręce brat.

Obrazek piąty: Matka przyjechała do dwóch synów. Obaj ożenieni z cudzoziemkami. Nie chciała być na ich utrzymaniu, poszła do pracy jako służąca, pomimo podeszłego wieku, choć jest z hrabiowskiej rodziny. Skrytykowała sposób odnoszenia się jednego z synów do żony, że ją krzywdzi. Syn się obraził, odżyły w nim dawno uleżałe pretensje, że matka podobno

faworyzowała młodszego. Matce tęskno za Polską, pracuje ciężko, nie żałi się. Myśli jednak o powrocie. Nagle takie sprawy jak śnieg, wierzby, bazie wielkanocne, borówki, poziomki, kaszanka — stały się symbolami, są potrzebne jak powietrze. Na dnie serca nadzieja, że może mąż — zaginiony w Rosji — kiedyś się odnajdzie i będzie jej potrzebował.

Obrazek szósty: Do restauratora, byłego policjanta, przyjechała matka. Nie musi pracować, synowi powodzi się świetnie. Nie może się jednak przyzwyczaić, żałuje, że przyjechała. ,,Bida była z nędzą, proszę pana, człek żył z paczków, ale na zimę zawsze 10 litrów spirytusu na nalewkę się wykombinowało, a jakże. I trochę grzybów. Żyliśwa w kupie, pomiędzy swymi, zima była w zimie, a lato w lecie. A tu wszystko na odwrót. Żebym własnych wnuków nie rozumiała? A pfuj!"

Obrazek siódmy: Dziennikarz, członek partii, powodziło się mu tam b. dobrze. Ściągnęła go z żoną matka i ciotki. Dały pomoc, mieszkanie, pieniądze, przez znajomych wystarały się o dobrą pracę. Nie narzeka, jest zadowolony, bał się antysemityzmu. O niczym innym nie mówi, tylko o swym dziennikarstwie, o kawiarniach, wódzie, kolegach, artystach. Przeczytał sporo książek emigracyjnych, z uśmiechem politowania. Ciągle piją, żona mu pomaga, stale opowiadają, kto ich zaprosił i jakiego mają ,,katza".

Obrazek ósmy: Inny dziennikarz. Machnął tu serię artykułów, wszystko rozsądził, ma pretensje do wszystkich, udzielał emigrantom rad na lewo i prawo. Zaczął działać nad zbliżeniem starych i najnowszych, ale w powodzi dobrych myśli i obserwacyj oraz beznadziejnych pretensji, ma takie wyskoki: ,,położenie Włochów i Niemców jest lepsze od naszego, bo oni mają własne osoby dyplomatyczne". Radził również gromko: ,,przygotujmy się moralnie na przyjazd Fogga!" W ciągu czterech pierwszych tygodni pobytu wygłosił 8 odczytów i pogadanek, przygotował rewię, napisał 10 reportaży. Mówił na każdy temat. Ostatnio zgorzkniał, uspokoił się. Dziennikarzem nigdy nie był, sprzedawał płyty. Ogłosił dwa apele do prasy wolnego świata, gdzie było ,,pomieszanie z poplątaniem" (jak mówił Bronisław Kamiński, czyli awangardowy poeta francuski Bruno Durocher!)

Obrazek dziewiąty: Były dyrektor Kasy Chorych, pracuje tu jako magazynier u kuzyna w fabryce. Wyjechał z żoną i córką, bo są Żydami i córeczce chcą zapewnić przyszłość bez nienawiści i pogromów. Spytał mnie w ubiegłym tygodniu: Czy wolno nawet dla przyszłości dziecka własne życie zafajdać? A dziecko? Czym będzie? Antysemityzm tu też jest. Gdzie go nie ma?"

Obrazek dziesiąty: Wrócił do Polski, sprzedał co przywiózł. Wrócił z jedną walizeczką. Klął olimpijczyków na czym świat stoi.

Obrazek jedenasty: Jest w sanatorium, ma gruźlicę. Pomimo uprzednich licznych badań lekarskich jakoś mu jej nie odkryto. Gruźlików tu pakują do sanatoriów na koszt państwa, płacą im *basic wages*. O przyszłość się nie martwi. Jeszcze nigdy mu tak dobrze nie było.

Obrazek dwunasty: Panna przyjechała do narzeczonego z ,,ogłoszenia". Ale tu się okazało, że posyłających jej paczki narzeczonych było trzech. Wynikła sprawa sądowa.

Obrazek trzynasty: Ku zdziwieniu rodziny i znajomych jest zadowolony. Uczy się języka i kraju, zwyczajów. Pracuje przy ładowaniu wagonów towarowych. Uważa, że życie bez strachu i U.B. więcej jest warte niż wszystko inne. Miał b. wysokie stanowisko. Na pewno wkrótce zmieni pracę na lepszą. Śmieje się, że gdy go w nocy budzi raban na schodach, to spokojnie obraca się na drugi bok i zasypia.

Obrazek czternasty: Dziennikarz i pisarz z prawdziwego zdarzenia, z dobrego pisma, przyjechał ostatnio do Sydney. Naprzód obserwował życie Polonii, potem w nie się wciągnął, dał wieczór autorski i wartościowy odczyt. W dyskusjach spokojnie prostuje opinie bez pokrycia w zatęchłą atmosferę, w bezmyślność i operowanie frazesami wnosi coś nowego, porusza tę zastałą wode, jaką zawsze musi z natury rzeczy być emigracja. O ile jest mu ciężko, nie mówi o tym. Podjął krok, którego nie wszystkie następstwa i implikacje oceniał, ale znosi je konsekwentnie.

Obrazek piętnasty: Był leśniczym, pojechał na rok do Północnego Terytorium, polował na krokodyle. Przez rok tyle zarobił, że teraz kupił milk-bar.

Obrazek szesnasty: Kompozytor, przeżył rozczarowanie za rozczarowaniem, stroi fortepiany. Jest obecnie zadowolony. Dorabia sobie muzycznymi „arrangements". Komponuje do szuflady. Twierdzi, że by zrozumieć ducha i sens folkloru trzeba się zeń wyrwać. Otoczony najwyższą obcością, w sobie przechowuje to, co uważa za warte przechowania ; z obcości się wyłącza. Dopiero teraz ten pół-Żyd poczuł do jakiego stopnia jest Polakiem.

Obrazek siedemnasty: Syn, przyjechał do ojca. Ojciec, b. kapitan, pracuje tu jako cieśla, żył oszczędnie, wszystko przeznaczał na paczki. Syn był studentem, tu musiał stanąć do pracy w fabryce. Czuje się zdeklasowany, nabrany przez wszystkich.

Migawki — takie czy inne — można by ukazywać w nieskończoność. Za każdą stoi jakieś ludzkie rozczarowanie, jakiś miąższ życia, jakiś konflikt zrozumiały tylko we właściwych proporcjach, które nawet trudno uchwycić patrząc na to z boku. Najtrudniej zresztą o właściwe proporcje.

Źródłem wielu rozczarowań jest po prostu przesada : oni przesadzali z nędzą, aby więcej paczek dostać; my chwaliliśmy się dobrobytem, aby im zaimponować, że dobrobyt zrównoważył deklasację. Czasem — powiedzmy brutalnie — byłoby lepiej, gdyby niektórzy zostali w Polsce, za pieniądze przeznaczone na ich przyjazd można było zapewnić im parę lat dobrych paczek. Wtedy też nie zaistniałyby te dąsy, moglibyśmy dalej siebie idealizować i kochać na odległość, bez konfrontacji przykrej dla obu stron.

◆

Definiowanie w naszych polskich warunkach co to jest emigracja polityczna, a co zarobkowa, jest trudne i nie ma już dziś większego znaczenia. Każda emigracja polityczna, nawet najwyraźniej określona z biegiem czasu musi również

stać się i zarobkową, bo żyć z czegoś trzeba i nie można, pokonując pewne problemy, nie brać w nich udziału, czy nie przyjmować ich oddziaływania. Niemal każda polska fala emigracyjna była czymś pośrednim pomiędzy polityczną i zarobkową. Po chleb do obu Ameryk jechali ci, co go na własnej ziemi, ale pod zaborcą, nie mogli znaleźć. Nikt zaborcy nie lubił, uciekano też przed służbą wojskową, nawet chłopi galicyjscy, czy między wojnami z Małopolski, niechętnie patrzyli na pewne poczynania władz austriackich czy sanacyjnych — czyli zawsze był jakiś moment polityczny w decyzji. Nawet exodus z Poznańskiego do Westfalii miał aspekt polityczny: W Poznańskim presja, w Westfalii mniejszy ucisk. To samo odnosi się do napływu Westfalaków do Francji po pierwszej wojnie: lepszy zarobek, inny styl życia, ale i więcej swobody. Agenci emigracyjni zresztą zawsze umieli łudzić, nawet ci co nam zachwalali Australię. Analogie, że w każdej polskiej fali emigracyjnej grały zawsze równocześnie oba momenty: polityczny i ekonomiczny — można by snuć w nieskończoność. Nic również nie pozwala nam przypuszczać, że i Wielka Emigracja (wydawałoby się: polityczna par excellence) z biegiem czasu nie musiała się stać zarobkową, tym bardziej, że amnestie i liczne powroty w czasach dużo mniej drańskich od naszych — odebrały jej masie sporo cech politycznej. W pozostaniu na Zachodzie zagrały — dziś to dobrze znamy — oprócz patriotyzmu, nienawiści do Rosjan i przyzwyczajenie i upór i lęk i wygoda i interesy ekonomiczno-prestiżowe przywódców; nigdy nie ma tylko jednego powodu decyzji. Życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby zawsze był tylko jeden argument i jeden kontrargument.

Ważniejsza od określenia *charakteru* emigracji wydaje mi się jej *przyczyna:* wojna czy kataklizm gospodarczy zmuszają do szukania osiedlenia zagranicą. Człowiek *zmuszony* do tej decyzji jest psychicznie przygotowany do znoszenia trudności i przeciwieństw. Wynosi też jakąś określoną zadrę psychiczną, czy uraz. Spod tych norm wymyka się najnowsza fala emigracji z Polski do Australii. Decyzja wyjazdu była, ogólnie biorąc, jak najbardziej dobrowolna, stąd moment nieprzygotowania psychicznego na trudności. Cokolwiek by się mówiło o terrorze w Polsce Ludowej, w takim czy innym okresie mniej lub więcej stalinowskim, wszyscy przyjezdni twierdzą zgodnie, że można tam było żyć, że się przyzwyczaili, znali warunki. W parę lat po Powstaniu Listopadowym Polacy z Królestwa Kongresowego też wyjeżdżali do Francji na wycieczki i też przyzwyczaili się do życia pod Rosjanami, w Kraju, już po kilku latach nie rozumiejąc uporu emigrantów-postańców. Czy dziś powodem do wyjazdu była możliwość skorzystania z pierwszej okazji, chęć połączenia się z rodzinami, czy liczenie na złote góry — nie ma większego znaczenia przy analizie. Im obecna rzeczywistość jest znana, przyzwyczaili się do niej nawet opuszczając ją nie czują, że z nią zrywają. Ci ludzie

mogli zostać, *nie musieli* wyjeżdżać, nie decydował za nich los czy warunki zewnętrzne w taki patetyczny sposób, jak z nami Wrzesień lub koniec wojny.

Nigdy nie było u nas takiej typowej emigracji zarobkowej jak włoska do Australii. Przyjeżdżają tu, mają swą opiekę konsularną, na wakacje jadą do przeludnionychWłoch i bawią się w *dollar-daddy*. Jest u nich zdrowa ludzka tęsknota do miejsc rodzinnych i chęć do dorobienia się, nie ma u nich żadnych urazów, nikt nie uważa emigrantów ani za zdrajców, ani za gorszych Włochów (jak to u nas przed wojną w odniesieniu do emigracji np. we Francji, gdzie albo patrzono z góry na emigranta, albo go zmuszano w taki czy inny sposób do jakiejś pracy społeczno-politycznej). Rząd włoski wśród tutejszych Włochów nie ma niechętnych, nie zmusza ich do tworzenia związków jakiegoś Garibaldiego, Strzelca czy innych ZPOK; w konsulacie włoskim w Melbourne powiedziano mi, że emigrant to klient, z którego się żyje i który zarabia dewizy dla biednych Włoch. Nikt wśród nich nie propaguje nakazu życia nad Padem, czy na Sycylii. Przez to, że ich włoskość nie wypływa ani z nakazów, ani z zakazów, że mogą każdej chwili wrócić, są psychicznie najzdrowszą grupą społeczną, najoporniej też się wynaradawiają.

Przyczyna zjawiska fali emigracyjnej określa zresztą w dużym stopniu i charakter tej emigracji. Zagadnienie najnowszej emigracji dla przyszłych socjologów i historyków będzie bardzo interesujące. Ci ludzie nie zostali *zmuszeni* przez siłę wyższą do wyjazdu — jak my np. przez wojnę — więc, już widać, że stopień zaburzeń psychicznych jest minimalny. Przestępczości jak dotychczas nie zanotowano żadnej, pomimo, że owa emigracja przyszła z warunków, gdzie indeferentyzm etyczny i zatarcie granicy pomiędzy własnością indywidualną, a wspólną uległy znacznemu wzrostowi (osławione kradzieże, malwersacje i kombinacje mieszkańców P.R.L.), chociaż przez pierwsze dwa lata emigracji dipisowsko-żołnierskiej szpitale dla umysłowo chorych i kronika policyjna zanotowały niejedno nazwisko polskie. Mogło to oczywiście być wtedy późniejszym owocem lat wojennych, przeskoku w inne warunki, do czego *zmusiła* sytuacja.

Natomiast jak będzie z asymilacją i wynarodowieniem nowej grupy? Asymilacja nastąpi zapewne później i trudniej. Narzekają na tutejszą telewizję, na styl życia i brak rozrywek kulturalnych, czują się wyżsi wobec gospodarzy i starszych braci emigrantów. W warunkach nowoczesnej cywilizacji dla tej grupy przeważnie inteligenckiej ani telewizja, ani auto, czy lodówka nie będą w takim stopniu nowością teraz, jak były przed laty dla dipisów z Polesia, Łemkowszczyzny czy skądinąd, bo teraz te rzeczy widzi się i w Polsce. W takich warunkach trudniej znaleźć swe własne miejsce w obcej masie. Gdy gospodarzy uważa się za niższych od siebie pod każdym względem — współżycie nie może się ułożyć.

A jak będzie z zachowaniem polskości? Oni są Polakami w sposób naturalny, bo żyli w Polsce, bo każde zdarzenie z życia codziennego, nawet płacenie podatków mówiło o tym i uczyło tej codziennej normalnej polskości niezauważonej. Nasza polskość przez motywy naszej emigracji jest polskością patetyczną, bolesną, z wyznaczeniem obowiązku. Oni są Polakami bo nimi po prostu są, my jesteśmy Polakami bo to nasz obowiązek i symbol, upór i poświęcenie. Dlatego zaryzykuję twierdzenie, że najnowsza emigracja szybciej się wynarodowi, tym bardziej, że składa się przeważnie z niecierpliwej i zawiedzionej inteligencji. Najsłabszy związek z tradycją ma zawsze u nas inteligencja. Uparte chłopstwo polskie dostarczyło niejednej takiej mamy Król, która przepchała wszystkie dziewięcioro dzieci przez studia i utrzymała w nich polskość, a przynajmniej dumę narodową (14). Inteligencja na ogół nie dostarcza takich mam Król. Dalej, z naszym poczuciem polskości wiąże się wiara, że kiedyś wrócimy do lepszej Polski. Polacy w Kraju już nie wierzą w żadną walkę, nie chcą ,,podskakiwać'', bo są przekonani, że nasze losy będą wypadkową sił obcych i większych. Nowoprzybyli, o ile są niezadowoleni, to wracają do Polski, byle tylko mieli pieniądze. Nie mają żadnych oporów wewnętrznych, jak my. (Dziwią się nawet, że my nie utrzymujemy kontaktu z konsulatem!). Nie wrośli też tak głęboko w inną rzeczywistość jak my. Niemniej to wszystko świadczy, że ich decyzja udania się na emigrację nie wypływała z *musu*. Mus najczęściej przekreśla możliwość powrotu.

Zachwycają nas dzieci nowoprzybyłych, że tak pięknie mówią po polsku. Kontakt z nimi przypomniał problem naszych dzieci i naszego języka polskiego. W rozmowach z nimi dopiero przekonaliśmy się na własne uszy, że nasza potoczna polszczyzna, choć nie jest zaśmiecona rusycyzmami i żargonem partyjno-publicystycznym, jest jednak zachwaszczona emigranckim slangiem, który najdosłowniej, a przez to dziwacznie, spolszcza słowa, pojęcia i idiomy obce, a nawet je przyjmuje. W przywróceniu polszczyzny do naszego języka potocznego i literackiego najnowsza emigracja ma duże pole i zadanie do spełnienia.

Stanisław Westfal w swym interesującym szkicu o zmianach w polszczyźnie krajowej oparł się głównie na prasie i ,,Złym'' Tyrmanda. Wydawało się, że język bohaterów ,,Złego'' to literacki chwyt dla odmalowania środowiska. Przeciętna polszczyzna dnia codziennego ma może mniej kolorytu ,,Złego'', za to jest więcej zaśmiecona Wiechem, rusycyzmami i żargonem partyjno-publicystycznym, oraz skrótami, czy nowotworami, przy powstawaniu których nas w Polsce nie było.

Oczywiście o języku decyduje życie i masa narodu, czy to nam, emigrantom, się podoba, czy nie, czy widzimy tam złe wpływy, przerosty, a nawet — według nas — nonsensy, lub odstąpienie od reguł, które nam wydawały się niewzruszalne. Po-

(14) Reader's Digest z marca 1959, edycja australijska.

wiedzmy więc sobie brutalnie : jeśli nie przyswoimy sobie dzisiejszego języka kraju, wyrosłego z innych doświadczeń, to stracimy albo utrudnimy sobie kontakt, a pisarze nasi, publicyści, a nawet ogół stracą rezonans.

Trudno, bracia i siostry w Emigracji : czy to się nam podoba czy nie, uczmy się języka dzisiejszej Polski. Bez tego będzie trudniej utrzymać polskość nieanachroniczną. Można uronić łezkę (i trzeba !) nad wiechowością tego języka, która zalała całą Polskę, ale przecież i w powojennych utworach Dąbrowskiej, Iwaszkiewicza i Rudnickiego spotykamy nowe i zmienione znaczenia, czy słowa. Nasza polszczyzna przedwojenna jest m.in. językiem sprzed okresu rozwoju techniki, nauki i przemian, jakie teraz nastąpiły w każdej niemal dziedzinie. Nie wszyscy, na szczęście, używają w Polsce języka bohaterów Wiecha, Hłaski czy Tyrmanda.

Jakie dają się zaobserwować różnice w zespole cech i mentalności wśród Polaków dzisiejszych ? Różnice jakie zaszły w nas i w nich przez ostatnie 20 lat najczęściej były dotychczas obserwowane przez jednostki (emigranci, lub dziennikarze cudzoziemscy wyjeżdżający na urlop do Polski) lub na jednostkach (goście z Kraju widziani naszymi oczyma). Opinie o aurze krajowej były głównie oparte na spostrzeżeniach indywidualnych, były zróżnicowane zależnie od stopnia inteligencji, wiedzy, zmysłu obserwacji i dostrzegalności zjawisk danej jednostki : obserwatora czy obserwowanego. Audycje radiowe, prasa, a nawet literatura ostatnich lat były zafałszowane. Te indywidualne próbki obserwacji i wniosków często ograniczone do pojedyńczych osób i zjawisk, nie dawały pełnego pojęcia o zmianach, jakie musiały zajść i tam i wśród nas. Teraz — o ile się nie mylę, po raz pierwszy na tę skalę — zetknęły się dwie grupy, już nie jednostki i miały większe możliwości poznania się i wyciągnięcia wniosków, na pewno prawdziwszych dla całości niż dotychczas.

Nie wątpię, że podobna analiza nas, emigrantów, przez kogoś z Kraju, kto przybył na stałe i poznał nas, przydałaby się nam wielce. Dotychczas pisali o nas różni Kisiele i przygodni dziennikarze, a ich niechęć do nas oraz beznadziejna, nagminna nieznajomość emigracji w Kraju — sprawiały, że nie można tego było brać poważnie. Taka bezstronna analiza pozwoliłaby nam może zrewidować wiele uprzedzeń i poddać zmianom niektóre dogmaty zakonu ojców emigrantów. Jesteśmy bardzo anglosascy w odruchach dnia codziennego i bardzo inni na co dzień niż Polacy w Kraju.



Jacy są dzisiejsi Polacy ? O pijaństwie, nędzy, kradzieżach, oporze przeciw komunizmowi oraz innych cechach pisało się już nieraz. Różne zresztą cechy ujemne na emigracji automatycznie wśród nowoprzybyłych zanikają, całkowicie lub czę-

ściowo, narastają inne. Nie pisano natomiast o okropnym obniżeniu dobrego wychowania, o wzmożonym antysemityzmie, o chorobie ,,chodów'' i indeferentyzmie etycznym i politycznym, szczególnie wśród inteligencji coraz bardziej półinteligenckiej. Omawianie tych wad nie dyskwalifikuje innych zalet, cierpkich owoców bolesnych doświadczeń. Polacy są na pewno mniej romantyczni i sentymentalni niż byli, bardziej kroczą po ziemi.

Podzwonne dla kindersztuby. W porównaniu standardu wychowania i ogłady towarzyskiej inteligencji ,,ludowej'' z przedwojenną — upadek dobrych manier jest przykry i rażący. A przecież ogłada i uprzejmość są podobno tak potrzebne dla każdego i na pewno uprzyjemniają i ułatwiają życie, o ile nie celebruje się tego z przesadą. Już lektura ,,Demokratycznego Savoir-vivre'u'' z Przekroju — kącika wynikającego widać z najgłębszych potrzeb szerokich rzesz czytelników — dawała sporo do myślenia. Mają tu swe ujemne wpływy i wojna, i okupacja, i czarny rynek, i strach, i nędza, i życie bez możności myślenia o przyszłości — doszło do tego obniżenie poziomu szkół średnich i wyższych, pchanie się szumowin do żłobu — jednak rezultat jest przykrzejszy od wszystkiego, co widzieliśmy w różnych krajach, przez które też przeszła wojna i niejedne trudności. Zanik obycia towarzyskiego, uprzejmości, umiejętności obchodzenia się z nożem i widelcem, słowności, a nawet delikatności nadrabia się dziś w Polsce hałaśliwą swobodą, czyli nieumiejętnym udawaniem bohemy. Obserwacje nasze — gdyż przypominam, że szkic niniejszy piszę na podstawie opinii i spostrzeżeń kilkunastu osób — dotyczą głównie tej warstwy, która była uprzywilejowana, już to z racji swego stanowiska, czy też stanowiska drugiego z małżonków. Dochodzi do tego swoboda w opowiadaniu tłustych kawałów, swoboda, z którą tylko Francom Fiszerom było do twarzy. Dawniej trzeba się było dobrze znać, trzeba było czekać na którąś tam wódkę, panie wolały się produkować tylko w damskich towarzystwach, panowie w ściśle męskich — dziś wielu przyjeżdżających zaczyna niemal z reguły znajomość recytowaniem nieprzyzwoitych i niezgrabnie podanych kawałów.

,,Chody''. Polacy od kilku lat starają się zapatrzyć na Czechów. Jednak stają się ,,Czechami'' nie przez solidność, pracowitość i inwencję, a przez dorywcze ,,chody'' i ,,smykałki''. Przyznajmy, że solidność i rozwaga bardzo nam imponują, w sercu jednak gdzieś na dnie zachowaliśmy do tych przymiotów coś z uprzejmej pogardy.

W Polsce Ludowej trzeba mieć ,,chody''. Kupno lekarstw, ubrania, rąbanki, cielęciny, uzyskanie mieszkania, a nawet biletów — wymagają chodów. Instytucja ,,koników'' nigdzie nie rozwinęła się na skalę polską. Bilety na dobry koncert można było dostać przez znajomą sekretarkę jakiegoś bubka w związkach zawodowych, na kupno cielęciny trzeba było

mieć chody u kierownika sklepu odzieżowego. My nie znamy drugiej słynnej instytucji — ,,ciuchów'', mięso przyzwyczailiśmy się kupować u rzeźnika, a bilety teatralne w agencji, tyle że na dobry koncert należy je zamawiać wcześniej. Styl życia też jest tu inny : pralnie, chemiczne czyszczenie, prasowanie spodni i inne tego rodzaju usługi są na każdej ulicy i nikt o tym nie pisze, najwyżej reklamuje swą firmę. W Warszawie takich sklepów jest kilka i pisze się o nich w czerwoniakach, naprzód : jakie to będą nowoczesne cuda, a potem : dlaczego tam ciągle coś nawala. ,,Chody'' wiążą się również ze sprawą łapownictwa, biurokracji i indeferentyzmu etycznego i moralnego. Zabierając bez żenady ołówki z biura ma się tłumaczenie że nędza, że to państwowe. Własność społeczna nie istnieje, bo nie ma tam organizacji społecznych powstających zbiorowym wysiłkiem; są tylko organizacje pseudospołeczne utrzymywane przez państwo, lub partię, co na jedno wychodzi. Okradając państwo — twierdzą — nie okrada się nikogo. Zabierając ten sam ołówek, czy książkę z czytelni emigracyjnej okrada się tym razem nie państwo, nie partie, ale wspólny wysiłek zbiorowy emigrantów. Zachowanie tego rodzaju kompleksu, ,,chodów'', zatarcia granicy pomiędzy własnością indywidualną a społeczną, oraz zachowanie przyzwyczajeń i mentalności z tamtych warunków — grozi konfliktem z naszą rzeczywistością. Bo emigracja żyje naprawdę w innych warunkach, nasza rzeczywistość jest inna. Niewiedza o emigracji przewyższa monumentalnością Pałac Kultury. Czy normalne państwo trzydziestomilionowe mogłoby sobie pozwolić na luksus nie orientowania swego obywatela w sprawach dziewięciu milionów rodaków żyjących gdzie indziej? Czy bajer nieprzychylny (oficjalnie) a przesadzony (prywatnie) o emigracji musi trwać? Czy dla Polski Ludowej emigracja nie jest ważnym problemem socjologicznym? Naprzód o Niemcach pisało się w 1949 roku, że już nie ma żadnego Niemca na ziemi polskiej; dziś nagle się okazuje, że dziesiątki i setki tysięcy Niemców jeszcze wyjeżdżają z Polski. Emigrację szkalowano, przypinano jej łatkę faszystów i agentów obcych wywiadów, nagle zorganizowano osławione Towarzystwo Łączności z Wychodźstwem ,,Polonia'', zasypujące emigrację kosztownymi luksusowymi wydawnictwami (o których w Polsce się nie wie, bo się ich nie widzi, choć płaci za to podatnik), nagle Gomułka w każdą noc sylwestrową wygłasza przepiękne orędzie do emigracji (,,gdziekolwiek jesteście''). Cóż z tego, gdy rozbudowane audycje w 19 językach (nikt ich nie słucha !) trwają, gdy dalej macherzy obszczekujący po mitznerowsku emigrację teraz zarabiają na braniu jej po mitznerowsku pod pic, gdy wobec emigracji prowadzi się dalej i głupią i nawet niekonsekwentną politykę kurka na kościele. ,,Obejdziemy się bez was'', ,,pomóżcie nam'', ,,rozumiemy, że wrośliście w obcy teren, ale zostańcie Polakami, to najważniejsze'', ,,dogmat, że o sprawach polskich może mówić ten co żyje nad Wisłą'' — oto sprzeczne etapy tej polityki. Już przed wojną

pianista Łabuński atakował prof. Jachimeckiego, muzykologa, że pisze o muzyce, choć sam nie jest pianistą. Odpowiedział wówczas Jachimecki: czy kryminolog musi być kryminalistą? Czy dziś naprawdę trzeba mieszkać nad Wisłą, aby mieć obiektywny sąd o sprawach polskich i mieć prawo do zabierania głosu? Ślady tych wszystkich etapów i bezprogramowości wobec emigracji pozostały w mentalności Polaków, nawet tych, którzy wybrali się sami na emigrację, nawet oni nie wiedzą nic o emigracji, a jeśli wiedzą, to bzdury, lub fragmenty prawd podawane za całość. Ignorancja na temat emigracji jest widać komuś potrzebna.

Antysemityzm. Podczas trzytygodniowego pobytu w Polsce w r. 1947 byłem z wizytą u pewnego dobrego znajomego, który został ministrem. Po pogawędce i wódce wyjął on z szafy stare frankfurckie wydanie Marksa i z lubością, od razu, trafił na ustęp, który pokazał mi palcem.

— Widzisz, Marks choć Żyd, był antysemitą — uśmiechał się triumfująco. — Przyjdzie czas, że takie cytaty będą tak kiedyś znane jak dziś są przemilczane.

Później na przyjęciu sylwestrowym w Prezydium Rady Ministrów informował mnie po cichu:

— Ten to kłapciuch, ten wychrzta, ten się nazywał Lustig, itd.

Antysemityzm polski jest, jak każde trudne zagadnienie, problemem skomplikowanym. W narastaniu tego zjawiska nie zabrakło win i zadrażnień z obu stron, ,,pomocy'' zaborców i sąsiadów. Wiele pisano już o naszym antysemityzmie jako o hańbie naszych czasów, o czymś co nam szkodzi na terenie międzynarodowym. Piękne a nieliczne artykuły niewiele tu zrobią, jeśli nie będzie na tym odcinku pomocy duchowieństwa, szkoły i prasy, czyli właściwie na świętego Nigdy. Najważniejsza tu wydaje się pomoc duchowieństwa.

Antysemityzm przedwojenny był raczej typu uczuciowo-wybrykowego. Dziś — na inteligencji przybyłej z Kraju — widać, że i tu zaszły zmiany. Najprawdopodobniej formy dzisiejszego antysemityzmu mniej zawierają czynnika temperamentu i sztubackiego wyżywania się (15), więcej jest teraz upartej niechęci, głębokiej zoologicznej wrogości. Wszystko to siedzi teraz głębiej, choć przecież chodzi już o garstkę w porównaniu z przedwojennymi trzema milionami z górą. Na pewno kłania się tu nieboszczyk Hitler; na pewno fakt, że

(15) Sam pamiętam z akademickich czasów sprzedaż ryb w okresie świątecznym. ,,Kasia, Marysia i Weronika — kupują ryby u Akademika!'' Pchaliśmy gołe ręce z zawiniętymi rękawami w oblodzone kadzie z rybami, chwytaliśmy karpie, a panie z towarzystwa przynosiły nam herbatę i pączki, rozczulone patriotycznymi akademikami. Z daleka przypatrywali się nam nieufnie handlarze żydowscy, u nich zresztą Bratnia Pomoc kupiła była te ryby hurtem.

spora grupa Żydów była pierwszym kontygentem inteligencji, która poszła na współpracę z reżymem, partią i Rosją — nie pozostaje bez wpływu. Czy nienawiść do Bermanów, Minców, Rożańskich, Borejszów i innych na lepszych stanowiskach przeszła automatycznie i spontanicznie na wszystkich Żydów, czy też ktoś to *świadomie* rozbudował? — oto problem czekający na rozpracowanie. Myślę, że sąsiad ze wschodu zgrabnie, jak wiele innych koniunktur, wyzyskał i tę polską koniunkturę na antysemityzm i rozdmuchał ten nieźle tlący się ogienek. Znaleziono na nowo ciągle tego samego kozła ofiarnego dla odwrócenia uwagi od czego innego.

Zdziwiony byłem ślepą niemal nienawiścią do Żydów wśród większości trenerów i działaczy sportowych przybyłych tu z ekipą na Olimpiadę. Byli to przecież komuniści, uważający się za postępowców. Przy nich nasi emigracyjni endecy to ultrazachodnie wzory tolerancji. Jednak lata Zachodu nie pozostały wśród nas i bez wpływu dodatniego.

Wśród nowoprzybyłych Żydów nie ma niechętnych ani wobec Polaków, ani polskości, jak to się niestety zdarza często wśród dawniej tu osiadłych. Czy ich antygoizm i obojętność wobec poczynań kulturalnych emigracji polskiej jest lekarstwem na antysemityzm? Walka z antysemityzmem wśród Polaków wydaje mi się jednym z najważniejszych problemów naszej emigracji i naszych czasów. Ale trzeba tu i pomocy samych Żydów polskich. Trzeba również — i niech to będzie raz jeszcze powiedziane wyraźnie — pomocy duchowieństwa. Jeżeli zadrażnienia z innymi mniejszościami, a nawet byłymi wrogami, jakoś mogły na emigracji zelżeć, czemu ciągle jest źle na tym odcinku? W Polsce postępowej i socjalistycznej dalej jest modne ignorowanie i prześladowanie np. Ukraińców czy Białorusinów; ludziom, którzy sami trochę swobodniej wreszcie odetchnęli, wydaje się normalne szykanowanie innych. Dobry Polak to ten co z wyższością odnosi się do Rosjan, bo uznaje ich potęgę, i nasze nieszczęsne położenie geopolityczne, to ten co nienawidzi Żydów, to ten co nęka i szykanuje niedobitki krajowych Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, to ten co nie lubi Czechów, to ten co Szwaba na nowo chce wywąchać w każdym autochtonie. Jeszcze całe szczęście, że kochamy morze Bałtyckie. Te niechęci narodowe są tym ciekawsze dla obserwatora, że w dziedzinie polityki daje się zauważyć duże otępienie i zblazowanie: nie warto podskakiwać, bo i tak nic nie mamy do gadania, bo i tak o świecie (a więc i o nas) zadecyduje Ameryka i Rosja z Chinami; w nic nie warto wierzyć i o nic walczyć, bo i tak ochotnicy najbardziej biorą w czapę, planować nic nie warto, bo to i tak stracony czas. Tu leży źródło — oprócz samych przyczyn ekonomicznych — że naród polskich żyje dziś z dnia na dzień, ubytek romantyzmu i sentymentalizmu nadrabiając tym, co by można określić dojutrkowością i romantyzmem chuligana, bardziej licząc na „ciuchy”, „chody” i „kombinacje” przynoszące owoc dziś,

niż na jakąś wiarę w przyszłe sprawy i pokolenia, co najgładniej głosi komunizm i najistotniej sam zabija.

Andrzej CHCIUK

Migawki z Brazylii

Polonijna prasa w Brazylii jest — jeśli chodzi o liczbę wydawnictw — okropnie uboga. Jeden tygodnik i jeden miesięcznik. Tygodnik — ośmiostronicowy, format 48x32 cm — wychodzi w Kurytybie i nazywa się LUD. Te trzy czarne, tłuste, foremne choć zbyt duże litery skaczą do oczu w kilku kioskach Kurytyby, Sao Paulo i Porto Alegre, ale najwięcej egzemplarzy rozchodzi się po całej prawie Brazylii pocztą. Miesięcznik — prezentujący się bardzo sympatycznie — to ZIARNA I KŁOSY, będący biuletynem polskiego ośrodka duszpasterskiego w trzymilionowym mieście Sao Paulo.

Tylko tyle, bo podobno już przestał wychodzić mało poczytny SIEWCA, najpierw tygodnik, a ostatnio dwutygodnik wydawany przez ludzi zbliżonych do przedstawicielstw P.R.L. Tylko tyle ! Jak na Polonię liczącą podobno ponad 300 tysięcy Polaków i ,,Polono-Brazylian'' — mało. Sąsiednia Argentyna, licząca podobno o wiele mniej polskich emigrantów, ma dwa polskie tygodniki i jeden miesięcznik.

Zostawmy socjologom dociekanie, dlaczego jest tak a nie inaczej, czyli dlaczego nie jest lepiej. Można tylko zaryzykować twierdzenie, iż nie jest lepiej dlatego, że nie ma ludzi chętnych do wydawania polskich pism. Czytelnicy by się chyba znaleźli, pisarze i dziennikarze również — tylko że nikt nie chce ryzykować. Innymi słowy — brak tu ,,managerów polskiej kultury'' — o jakich ktoś nie dawno pisał w Londynie czy w Paryżu.

Niemcy mają tu nawet dziennik obok tygodnika. Tak samo Włosi.

•

Biblioteca Publica w Kurytybie to instytucja stosunkowo młoda, otwarta zaledwie 6 lat temu. Okazały, nowoczesny i pełny światła gmach nie jest jeszcze całkiem wypełniony książkami. Są w nim książki polskie. Jedne — pomieszane z innymi, w działach powieści lub prac naukowych — inne, ustawione na osobnej półce z napisem ,,Livros Poloneses''. Stoją tam, świeżo oprawione — tuż obok ukraińskich. Podobno w magazynie jest książek polskich jeszcze więcej, czekają na sztywne okładki.

Półka z ,,Livros Poloneses'' stoi dopiero od kilku miesięcy. Karteczki w ,,kieszonkach'' przyklejonych do okładki noszą już sporo nazwisk Polaków, którzy po te książki sięgają. Wszystko to godne podkreślenia i uznania. Tylko jeden mankamencik : książki polskie wydawane na emigracji są tu białymi krukami. Komitet, który te książki bibliotece ofiarował zdaje się

już rozwiązany. Obecnie zbiór polskich książek zasila przede wszystkim konsulat PRL. Wiele tych książek nosi napis: Dar Biblioteki w Rzeszowie. Są to przeważnie książki dobre, należące do „polskich klasyków". Jest Kochanowski i Tuwim, jest Żeromski i Sienkiewicz. Aż po rzeczy najnowsze.
Aż się prosi o uzupełnienie tego księgozbioru wydawnictwami z Londynu, Paryża i z Ameryki.



W ostatnich wyborach do Izby Deputowanych (Federalnej) w Rio de Janeiro nie wybrano ani jednego posła, pochodzenia polskiego.
W poprzedniej kadencji miała Polonia jednego przedstawiciela w osobie adwokata Dr Bronisława Leszka Ostoja-Roguskiego. Zasiadał tam przez 8 lat. Tym razem przegrał wybory, nie uzyskując ani trzeciej części tych głosów, jakie zdobył w poprzednich wyborach.
Trudno powiedzieć, dlaczego się tak stało. Bo to nie takie proste, jak się wydaje ludziom stawiającym to wszystko na platformie czysto polonijnej. Kandydaci nie byli stawiani przez Polonię — tylko przez poszczególne partie i nie tyle sama Polonia ile te partie wchodziły w grę. Partia Roguskiego (*Unia Democratica Nacional* — która pierwsza wysunęła kandydatury polskie) — szła w Paranie bardzo słabo, skoro jej nasilniejszy przedstawiciel zdobył zaledwie 6 tysięcy głosów! To nie tyle Roguski przegrał — ile jego partia, silna w innych stanach, ale b. słaba i wewnętrznie rozbita w Paranie. Wygrały partie silniejsze — rzucając na rynek wyborczy zarówno potężniejsze środki propagandowe jak i nazwiska tak pociągające jak np. Janio Quadros, najpoważniejszy obecnie kandydat nie tylko na posła, ale na prezydenta Brazylii — lub Ney Braga, któremu wróżą wybór na gubernatora Parany. Ci zebrali po 60 tys. głosów i więcej!
Przegrali polscy kandydaci również w wyborach do stanowych Izb Ustawodawczych w Paranie i w Santa Catarina. W Paranie — przeważnie niepolskimi głosami! — przyszedł tylko rzutki i energiczny dyrektor Departamentu Wodociągów i Kanalizacji Dr Władysław (Ladislau) Lachowski, syn znanego w Paranie kupca i fabrykanta a zarazem umiarkowanego społecznika.
Niewątpliwie emigranci polskiego pochodzenia mogliby przechylić szalę na rzecz polskich kandydatów. Ale widocznie wyborcom zależy teraz na czym innym niż na posiadaniu w parlamencie ludzi o polskich nazwiskach. I ktokolwiek będzie kandydował w przyszłości — musi o tym dobrze wiedzieć.



Zawiłe to są sprawy i trudne do pojęcia. Trzy lata temu w jednym z powiatów (*municipio*) wybierano „prefekta", czyli po naszemu starostę. Jednym kandydatem był obywatel polskiego pochodzenia — drugim Brazylijczyk czystej krwi. Pomimo, że wspomniany powiat jest zamieszkały przez większość ludzi o polskich nazwiskach — kandydat polski przepadł: głosowano masowo na Brazylijczyka, człowieka mniej znanego niż jego kontr-kandydat.
I taki prąd idzie przez wiele innych ośrodków. Wyborcom nic nie mówi nazwisko — a głosy swe oddają albo tym, którzy umieją do nich

jakoś sprytniej przemówić, albo tym, którzy mają wśród wyborców swoich oddanych agitatorów — albo tym, od których się spodziewają jakichś korzyści. I tu jest klucz: korzyści łatwiej można uzyskać od kandydata z partii pro-rządowej niż opozycyjnej! Może to jest „brzydki oportunizm" — trudno powiedzieć. Dość, że tak jest.

◆

W roku 1956 LUD przeprowadził wśród swych czytelników rodzaj ankiety. Pytania zadane czytelnikom były proste. Chodziło o to, jakie działy są najmilej widziane i najchętnie czytywane. LUD nie opublikował nigdy całkowitych wyników tej ankiety, ale z prywatnych wypowiedzi ludzi związanych z redakcją można się było dowiedzieć, iż większość czytelników odpowiedziała, że nie chce ani wiadomości z Polski ani o sprawach polskich w świecie. Chcą wiadomości z Brazylii i o Brazylii, o sprawach bliskich i życiowo ważnych. Świadczy to wyraźnie, że potomkowie pierwszych emigrantów polskich są już dzisiaj Brazylijczykami nawet wtedy, gdy jeszcze czytują gazetę, wydawaną w języku ich ojców i dziadów.

◆

Biblioteca Publica w Kurytybie wystawia w pięknych gablotkach przy głównym wejściu drobne cacka: książki, dzieła sztuki ludowej, wszystko co godne uwagi. W tym roku na okres wielkanocny wystawiono piękne pisanki. Polskie? Nie. Ukraińskie. Obok nich wystawiono książkę o ukraińskiej sztuce ludowej, z kolorową planszą ilustrującą te ukraińskie malowanki.

◆

Rok temu — w Sao Paulo. Trzeci Maj. W sali służącej za teatrzyk parafialny organizacja znana jako „NASZ CHÓR", a kierowana przez redaktora *Ziaren i Kłosów*, ks. Janusza Kasprzyka (Salezjanina) wystawiła wspaniałe „Wesele Ludowe". Opera — nie wesele. Bajeczne stroje i znakomita gra. „Wesele" to wystawiono po Trzecim Maju dwa razy — nie tylko dla Polaków. Zainteresowani? Miejscowe kolegia żeńskie, liczące do tysiąca studentek. Przyjęcie? Trudno o lepsze!

◆

Różnymi drogami chodzą po świecie myśli i pomysły. Na Uniwersytecie Parańskim w Kurytybie polskich studentów jest niezbyt wielu. Ale są. I oto co opowiada student prawa. Wywiązała się kiedyś dyskusja o Polsce. Wywlókł ktoś z dyskutantów sprawę „korytarza". Pokazało się, że zebrani studenci nie wiedzieli o niej albo nic — albo tylko tyle, ile się dowiedzieli z książek i pism pro-niemieckich. I oczywiście huzia na „polski imperializm!"

Kiedy indziej dostało się Polsce za Konstytucję z roku 1935. Bo to — nie wiadomo z racją czy bez racji — uważa się tu, że dyktatura Getulio

Vargasa wzięła sobie za wzór ustrój wyznaczony naszą konstytucją, a że teraz nastroje są zdecydowanie antydyktatorskie, więc się krytykuje ostro wszystko, co anty-demokratyczne. I znowu się nam dostaje.

A to wszystko wpływa ujemnie na ustosunkowanie się inteligencji miejscowej do nas i tak już biednych na tym odcinku. Nieliczna gromadka studentów polskiego pochodzenia jest na nieszczęście tak mało poinformowana o tych sprawach (jakże „dawnych !"), że nie wie, jak te problemy naświetlić i jak naszego stanowiska bronić. Wychodzi więc z nową porcją „kompleksu niższości", którego jej już i tak nie brak.

Bo jakże: gdy się tu obchodzi jakieś rocznice japońskie — to zjeżdża sam brat cesarza i jest witany z wszystkimi honorami ! Gdy się zjawi prezydent Italii — jakże go honorują i jaki wtedy „jubel" wśród Włochów ! Nawet zwykłego sobie posła z adenauerowskiego parlamentu obwożono tu i honorowano nadzwyczajnie, choć to ani prezydent ani ambasador. A my co ?

◆

Odległość od Europy do Brazylii mierzy się nie tylko kilometrami i milami morskimi. Mierzy się również — pieniądzem. A oto, jak się to przedstawia ! Prenumerata polskiego pisma wynosi — mówiąc przekładowo — 10 dolarów albo 5 funtów angielskich. Te dolary przeliczone na tutejsze „cruzeiros" dadzą ładną sumkę : 1400 i coś jeszcze. Prawie tyle samo za te pięć funtów. Ale, zważmy — że 10 dolarów i 5 funtów zarobi się w Ameryce i w Anglii raz dwa. Tutaj jest to trzecia część płacy *miesięcznej !* I prenumeruj tu, prosty robotniku z europejskim cenzusem... te kosztowności ! Nic więc dziwnego, że się tu praktykuje prenumeraty zbiorowe, spółkowe — albo „pożycz sąsiedzie !" Pisma chodzą od domu do domu, po drodze czasem giną. I przedłuża się ich droga z Londynu i z Paryża — o długie kilometry i o długie tygodnie.

Tym się tłumaczy i to, że w pismach londyńskich i paryskich tak rzadkie bywa echo z Brazylii. Jasne — im „dalej", tym echo słabsze.

◆

Była Gwiazdka — organizacje polskie urządzały „Opłatek". Przyszła Wielkanoc — urządziły „Święconkę". Nadchodzi Trzeci Maja — urządzą zapewne jakimś zbiorowym wysikiem „akademie". Czy zrobią coś więcej ? Nie na wiele się zanosi bo możliwości ograniczone. Są jakieś większe plany przynajmniej w Kurytybie, gdzie się połączył Związek Polski z Junakiem, ale o tym chyba kiedy indziej, gdy się plany-marzenia skrystalizują i skonkretyzują. O nadchodzącym „Tysiącleciu" zaczyna być głośno. Może ta sprawa pomoże do „przerwania milczenia", o którym marzy P. Wójcik.

◆

Ośrodki duszpasterskie ?

Nie znać tu sprzeciwu przeciw zaleceniom Konstytucji Apostolskiej *Exsul Familia*. Czynne są polskie ośrodki duszpasterskie w Rio de Janeiro

(przy kaplicy M.B. Częstochowskiej). W Sao Paulo (przy olbrzymiej bazylice M.B. Wspomożycielki — „Auxiliadora"), w Porto Alegre (przy kościółku M.B. Częstochowskiej). W Kurytybie jest pewne rozdwojenie, bo oprócz tradycyjnie „polskiego kościoła" św. Stanisława istnieje ośrodek duszpasterski przy misjonarskim kościele św. Wincentego à Paulo. Słowa rozdwojenie nie trzeba brać w ujemnym znaczeniu, bo nikt z nikim nie walczy ani specjalnie nie „współzawodniczy".

Zdaje się, że najwięcej życia przejawia silna, młodo-emigracyjna gromada katolicka w Sao Paulo, zgodna i skupiona przy swych salezjańskich duszpasterzach. Bardzo popularne są w Kurytybie niektóre nabożeństwa w odnowionym kościele św. Stanisława. Kościół ten liczy pół-wieku i ma już swoją tradycję.

Księży polskich jest w Brazylii chyba setka lub więcej. Jedni pochodzą z Kraju, inni urodzili się i odbyli studia w Brazylii. Większość ich pracuje po parafiach, które nie są ani polskie ani nie polskie. Są to parafie dla wszystkich i rzecz jasna — językiem używanym po takich ośrodkach może być tylko język krajowy, brazylijski. W każdym razie każdy Polak może się z takim księdzem porozumieć w swoim języku — a po brazylijsku (czyli portugalsku) umie już każdy i przemówienie zrozumie bez trudności. Rzecz jasna — po takich mieszanych parafiach raz po raz pojawiają się odosobnione skargi. Rąz podniesie je Polak, gdy jego zdaniem polszczyzny w kościele za mało — drugi raz Brazylijczyk, któremu się nudzi na polskim kazaniu. A zdarzy się nawet (żeby wspomnieć świeży fakt) że gdzieś jakiś parafianin o czysto polskim nazwisku zaprotestuje przeciw starszym kobietom, chcącym w kościele śpiewać kolędy lub „Gorzkie Żale". Zwykła rzecz — gdy towarzystwo „mieszane".

Kilkanaście parafii, zarządzanych przez polskich księży, buduje teraz nowe, obszerne kościoły. Zastąpią one skromne kościółki budowane rękami cieśli przybyłych z polskich ziem przed 70 i 50 laty.



Czy kto jest katolikiem czy nie, czy praktykuje, czy tylko tkwi w Kościele — wszyscy zaczynają oceniać wartość jednego zjawiska: zanik antyklerykalizmu. Zatruwał on przez długie lata życie brazylijskiej Polonii a był czasem tak zaślepiony i radykalny, że dzisiaj aż budzi obrzydzenie. Wystarczy przejrzeć polskie gazety sprzed 40-50 lat! Pod iluż zjadliwymi artykuliskami, protestami, „wyrazami oburzenia" znajdzie się nazwisko człowieka, który dzisiaj już przestał uważać księdza, zwłaszcza księdza na emigracji, za przeciwnika postępu, nauki, demokracji! Warto ten fakt w migawkach zanotować i utrwalić. Organizacje dawniej absolutnie antyklerykalne — proszą dziś księdza na Opłatek i Święconkę.

Warto też wspomnieć, że rozrzucone po olbrzymich przestrzeniach gromadki Polaków i Polono-Brazylian chciałyby albo mieć wśród siebie na stale albo przynajmniej widywać od czasu do czasu polskiego duszpasterza. A tymczasem są jeszcze nawet w Paranie miejscowości z przewagą ludności polskiego pochodzenia, gdzie albo wcale nie ma księdza albo jest nim Włoch czy Niemiec. Temu nie zdoła jednak zaradzić ani Rektor Polskiej Misji w Brazylii ani biskupi.

A. S.

O paszkwilu

Książka Merry i Serge Bromberger pt. ,,Trzynaście spisków 13-go maja'' była szóstą książką o maju algierskim 1958 roku, choć rok jeszcze nie minął od tych chwil kiedy w Paryżu oczekiwano z godziny na godzinę nalotu spadochroniarzy, którzy mieli utopić w Sekwanie ,,les bradeurs d'Algerie'', ,,zdrajców'' Mendès-France'a, Pflimlina, dobrą setkę innych i zrobić porządek. Poza tymi sześciu książkami ukazało się jeszcze, pięć ściśle związanych z problemem ,,majowym'' i napisanych przez pisarzy tej miary, jak Raymond Aron, Fabre-Luce, lub takich świadków jak Jacques Chevalier (1).

Czytałem ,,Trzynaście spisków'' zaraz po książce Klimkowskiego: ,,Byłem adiutantem generała Andersa'', wydanej w kraju przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Historyk przyszłości będzie mógł przemyśleć algierski maj na podstawie iluż opracowań, ujętych przez ludzi o najbardziej sprzecznych orientacjach i poglądach. Cóż będzie wiedział taki historyk o naszych politycznych rozdarciach, goryczach, spiskach, czy półspiskach w latach 1941-1942 na Bliskim Wschodzie w armii Andersa.

Przestrzeń, nie tylko geograficzna, dzieliła ministrów polskich w Londynie od nas, klimat i ramy ich pracy a nastroje w wojsku na Wschodzie — nie były wcale bliższe od tych, które w maju 1958 rozdarły Francję i francuski Algier, grożąc krwawą wojną domową i powodując załamanie się Czwartej Republiki. Tylko, że tu była Francja wolna, wojsko walczące w Algierze, był de Gaulle; u nas był kraj pod okupacją, rząd na wygnaniu z Sikorskim, uzależniony od Anglików, a na Bliskim Wschodzie wojsko pod dowództwem Andersa, po dwóch latach, *jakich* latach, łagrów, wojsko, które dopiero sposobiło się do walki. To wojsko w przeważnej masie z kresów wschodnich Polski, powtarzając sobie proroctwo, że ,,Krzyż splugawiony

(1) Od chwili kiedy zacząłem pisać ten artykuł ukazał się szereg nowych książek na ten sam temat.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

razem z młotem padnie'', układało w szczerej pustyni klomby z kamieni z herbami Wilna i Lwowa i marzyło o wielkiej Polsce od Berlina do Witebska.

Z tego okresu polski historyk będzie miał jako źródło informacji... książkę Klimkowskiego, który przedzierał się w 1939 r. z okupowanego Lwowa przez Rumunię do Sikorskiego i Sosnkowskiego w Paryżu i z powrotem; który aresztowany we Lwowie siedział w Moskwie na Łubiance, gdzie według własnych wyznań napisał dwie ,,prace polityczne'', tzn. memoriały dla sowieckich sędziów śledczych; a później był adiutantem gen. Andersa, nawet oficerem do zleceń, który jeździł z Andersem do Moskwy i Londynu, biorąc udział prawie we wszystkich konferencjach. Churchill częstował go cygarem, a Stalin na uczcie polsko-sowieckiej w 1941 r. przepijał do niego, jako do przedstawiciela młodych oficerów (prawda, że wówczas przepijał Stalin po kolei do wszystkich obecnych Polaków). Dlaczegóżby przyszły historyk polski nie miał wierzyć takiemu świadkowi?

Z tworzącą się pod dowództwem gen. Andersa Armią Polską w ZSSR i na Bliskim Wschodzie byłem związany od samego początku. Już jako oficer Opieki w Tocku, potem kierownik Biura Poszukiwań zaginionych (uwięzionych i pomordowanych) miałem częsty kontakt ze Sztabem Armii, z Andersem, z jego najbliższym otoczeniem, jak również z amb. Kotem. W Turkiestanie i na Bliskim Wschodzie, jako Zastępca Szefa Propagandy, czy Szef Propagandy, więc komórki wojskowej, która między innymi prowadziła dział pism, wydawnictw i biuletynów i kierowała siecią oficerów oświatowych w oddziałach — całymi okresami widywałem gen. Andersa codziennie, a Klimkowskiego nieraz po parę razy dziennie, jeździłem do Kota, wówczas ministra na Bliskim Wschodzie, do Jerozolimy i stykając się nieustannie z całą masą oficerów i żołnierzy — byłem nie tylko świadkiem, ale i współautorem wielu spraw.

,,Na nieludzkiej ziemi'' to *moje* wspomnienia z etapu organizacji armii w ZSSR. Koledzy namawiali mnie, bym tę książkę prowadził dalej, przez Irak, Palestynę, Egipt, Włochy aż po Paryż, namawiał mnie do tego i Daniel Halévy, któremu w dużej mierze zawdzięczam wydanie mojej książki po francusku. Po wyjściu tłumaczenia angielskiego dostałem list od generała Beaumont-Nesbitta. On również nalegał, bym napisał tom drugi, obejmujący okres Bliskiego Wschodu. Powodem, że tego nie zrobiłem był przede wszystkim brak sił i czasu, ale także niechęć zanurzenia się z powrotem we wspomnienia politycznych zatargów, o których wiedziałem za dużo, by je przemilczeć, za mało by o nich pisać, a pominąć ich bym nie mógł. Dzisiaj, czytając paszkwil Klimkowskiego, żałuję, że tego nie zrobiłem. Wniósłbym przecież inne świadectwo tych czasów, na pewno nie w stylu błogich trzeciomajowych przemówień, ale na pewno też nie poniżone, zafałszowane, tak *świadomie* zafałszowane, jak ,,wspomnienia'' Klimkowskiego.

PRAWDA CZY PASZKWIL?

„Moim zamierzeniem było właśnie to, aby do czytelnika dotarła naga prawda, nieupiększona, dobra czy zła, prawda".

Tymi słowami kończy Klimkowski swoją książkę. Czytam i oczy przecieram. Nie wiele znam książek, które miałyby tak mało wspólnego z prawdą.

Rtm. Klimkowski, przed wojną oficer Brygady Kawalerii dowodzonej przez gen. Andersa, którego generał znał i któremu parokrotnie w karierze wojskowej dopomógł, był podczas kampanii wrześniowej w grupie operacyjnej tegoż generała, a już po katastrofie odwiedził go, ciężko rannego, w szpitalu lwowskim. Poznałem Klimkowskiego dopiero wtedy, gdy był adiutantem generała w 1941 r., w Buzułuku. Dla nas, podkomendnych, zdawał się być najbliższym przy Andersie człowiekiem, nieodstępnym towarzyszem, przyjacielem, który przy tym generałowi wszystko zawdzięczał. Otóż książka Klimkowskiego ma jeden cel, któremu wszystko inne jest podporządkowane: przedstawić Andersa jako tchórza, łamiącego rozkazy zdrajcę, obojętnego na sprawy polskie, złodzieja i próżniaka, a ostatecznie mordercę Naczelnego Wodza na spółkę z generałem Beaumont-Nesbittem (2), pułk. Hullsem i samym Churchillem; amb. Kota zaś, z którym Klimkowski spotykał się i rozmawiał niezliczone razy, tego najwierniejszego z wiernych przyjaciela Sikorskiego, Klimkowski odmalował w roli podnóżka Andersa, nieustannie razem z Andersem zdradzającego Premiera i Naczelnego Wodza.

Co się tyczy samego Klimkowskiego był on, jeżeli kto uwierzy tej książce, stale wiernym wyznawcą Związku Sowieckiego oraz nieustannym obrońcą Naczelnego Wodza i jego linii politycznej przed niecnymi intrygami Andersa i Kota.

Książka ta, jak stwierdza autor, skończona jakoby w Rzymie w 1947, a pisana od 1945 r. w Jerozolimie, cała jest podszyta cytatami z listów Amb. Kota do Sikorskiego, z którymi Klimkowski mógł się dopiero zaznajomić 10 lat później, bo po ukazaniu się książki Kota, w 1956 r.

Obalać wszystkie fałsze tej książki Klimkowskiego, chociażby te wstępne jak: insynuacje tyczące zachowania się Andersa podczas Kampanii Wrześniowej jako dowódcy Brygady Nowogródzkiej a potem grupy operacyjnej jego imienia, którą dowodził z mjrem Adamem Sołtanem, jako szefem sztabu? O Sołtanie nawet Klimkowski pisze z uznaniem. Otóż miałem przywilej spędzić właśnie z Sołtanem blisko rok, zaraz po Kampanii, w Starobielsku, z nim i z jednym z najbliższych oficerów Andersa, ze szlachetnym por. Kuczyńskim. Oni właśnie, świadkowie koronni, jakże często mówili mi o zaletach dowódcy, bojowości generała *do końca,* w tamtym właśnie miesiącu klęski. Obaj zamordowani przez NKWD dziś odpowiedzieć Klimkowskiemu

(2) Klimkowski uparcie nazywa go Bennet Nezbyttem; książka zresztą jeżeli chodzi o nazwiska, roi się od takich błędów.

nie mogą, ale po kampanii włoskiej zbyt dużo ludzi i w Polsce zna Andersa, jako dowódcę, aby te zarzuty mogły być przez kogokolwiek wzięte poważnie.

Może wystarczy opowiedzieć parę epizodów, których byłem świadkiem, by naświetlić jakość tych wspomnień. Nie trzeba zjeść całego sera, by stwierdzić, że jest robaczywy.

JUREK KLIMKOWSKI

Ale przedtem chciałbym sobie samemu postawić pytanie DLACZEGO tylu z nas miało z Jurkiem Klimkowskim stosunki stałe, nawet bliskie, dlaczego Anders miał do niego takie zaufanie, a Sikorski i Kot brali go widocznie na serio, dlaczego rozmawiał z nim po parę godzin, to się z nim gwałtownie ścierając, to przyznając mu wielkie zalety, człowiek o tak świetnej inteligencji i wyjątkowym poziomie moralnym jak Adolf Bocheński? A podchorążacy, młodzi oficerowie, naprawdę wspaniali żołnierze, składali na jego ręce tajne przysięgi i gotowi byli na jego rozkaz strzelać czy dać się zastrzelić?

Odpowiem za siebie. Klimkowski miał fenomenalną dynamikę. Umysłowo był to zupełny prymityw, brał nie myślami, których w ogóle nie posiadał, zapożyczał je od pierwszego z brzegu i gotów był w każdej chwili, i zawsze, nawet z dobrą wiarą zmieniać je o 180 stopni. Zdobywał sobie wyznawców, czy choćby nawet przyjaciół (muszę chyba i siebie do nich w pewnym okresie zaliczyć, choć zawsze musiałem przezwyciężać w sobie odruchy obcości i nawet niechęci) nie myślą, nie koncepcją ale właśnie tą dynamiką, temperaturą i tym co nazywamy zbyt łatwo — ideowością (słowo to jest mętne i nadużyte) — ściślej może będzie gdy powiem obsesją jednej *idée fixe*. Dla Klimkowskiego była to Wielka Polska, do której należało iść przebojem — ,,Salus Rei Publicae Suprema Lex''. Była ta idea u Klimkowskiego zrośnięta ze ślepą wiarą, że on tę Polskę stworzy z Andersem czy bez Andersa, z Sikorskim czy bez Sikorskiego, z Sowietami czy przeciw Sowietom, na czele wiernego mu zastępu MŁODYCH. Ta Wielka Polska była to lewicowa, socjalistyczna lub nawet federacyjna, to — o wiele częściej — endecka, onerowska, skrajnie nacjonalistyczna, zależnie od rozmówcy, którego chciał wciągnąć do takiej czy innej akcji. We wspomnianej książce braci Bromberger natrafiam na jakże podobnych ludzi i podobne sytuacje, tylko rozbudowane poważniej i szerzej. Tuziny Klimkowskich można by znaleźć na peryferiach tamtej akcji. Generał Salan w komitecie ,,Du Salut Public'' (,,Salus Rei Publicae?'') natrafia wśród ludzi, którzy mu swoją deklarują wierność na członków sprzysiężenia, którzy maczali palce w zamachu na niego, w zamachu za jego ,,zdradę i defetyzm''.

Wracając do Klimkowskiego zaznaczyć jednak muszę, że nie było chwili, dnia i nocy, żeby nie można było go wyciągnąć,

by coś załatwił, czemuś dzięki swemu stanowisku dopomógł. Stwierdzam, jeżeli chodzi o mój odcinek pracy, że wszystkie rozkazy które wyjednywałem od generała, tyczące rozbudowy pewnych komórek Propagandy, przeniesień do mojego wydziału potrzebnych mi ludzi, Klimkowski z uporem, z dobrym humorem i pasją dociskał niejednokrotnie, jako bezpośredni wysłannik samego generała. Te zarządzenia dowódcy armii spotykały się chronicznie w oddziałach z oporem niezliczonych kacyków, którzy mieli zawsze sto sposobów, by się od tych rozkazów wywinąć, działając na zwłokę, by podporządkowanych sobie ludzi zatrzymać. Jeszcze dziś, pisząc te słowa, mam dla Klimkowskiego uczucie wdzięczności za tylokrotnie okazaną mi pomoc w konkretnych sprawach.

Pomimo wszystko co teraz opowiem zachowałem przekonanie, że ani prowokatorem, ani agentem nie był, a cokolwiek planował, czy próbował realizować, robił z dobrą wiarą i całkowicie czystym sumieniem, gdyż ,,Salus Rei Publicae'' łączyło się u niego z pewnikiem, że to on jest i będzie zbawcą Rzeczypospolitej.

A teraz przejdźmy do paru tez Klimkowskiego i faktów przez niego opisanych.

ANDERS ODPOWIEDZIALNY ZA MARTYROLOGIĘ POLAKÓW

Taka jest teza Klimkowskiego: dokonane przez Andersa samowolne przerzucenie ludności cywilnej na południe, było powodem nowego rozdziału martyrologii polskiej, za którą dowódca ponosi odpowiedzialność. Wiedzą już dzisiaj wszyscy w jakich warunkach tworzyła się armia polska w Rosji, na stepach zawołżańskich. Kiedy w Tocku, na przykład, gdzie mrozy przekraczały 30 stopni, gdzie nie było zabudowań poza nielicznymi, letnimi, drewnianymi domkami i gdzie niektóre oddziały, musiały żyć do końca pod namiotami, idea Andersa przerzucenia wojska dalej na południe, przeprowadzona z uporem, zimną krwią i rzadką zręcznością, narzucała się sama przez się, i była pragnieniem, marzeniem każdego żołnierza. Wiemy wszyscy, że wieść o tworzeniu się Armii Polskiej rozeszła się błyskawicznie wśród wszystkich Polaków zesłanych i rozsypanych po tysiącznych obozach i miejscach przesiedlenia, że armia ta była magnesem o tak niebywałej sile, że ludzie uciekali narażając się na wszystko, aby się do niej zbliżyć, a gdy sami nie mogli się wyrwać, posyłali swoje dzieci z błagalnymi listami do dowództwa by się nimi zaopiekowało.

Jako oficer Opieki w Tocku, będącym letnim miejscem postoju kozaków, w szczerym stepie, byłem świadkiem pierwszej fali przybyszów. Jakże pamiętam ten drewniany barak, nieopalany, z wybitymi szybami, zapełniony starymi, chorymi, płaczą-

cymi z zimna ludźmi, zupełnie się do wojska nienadającymi, z nogami w szmatach, którzy tu spłynęli.

Już we wrześniu 1941 r., w Ambasadzie w Moskwie zapadła decyzja kierowania, o ile to tylko możliwe, polskiej cywilnej ludności do Turkiestanu. Właśnie dlatego, żeby ludność ratować przed nadchodzącą zimą. Sztab Armii w Buzułuku czynił równoległe z Ambasadą starania rozsiedlenia na południu tej masy ludzkiej, niezdatnej do wojska, która wówczas do nas dotarła. Któż, kto był w Rosji, może sobie przez chwilę wyobrazić, że tego rodzaju decyzje i akcja sztabu mogły zapaść nie tylko bez zgody, ale bez współudziału władz sowieckich? Opisałem w ,,Nieludzkiej ziemi'' jak władze sowieckie potraktowały starców i chorych, których sam wysłałem z Tocka do Taszkientu w pociągach otrzymanych od władz sowieckich przez Sztab Armii. Transport nie został nawet dopuszczony do Taszkientu; zatrzymano go na jakiejś stacyjce Turkiestanu. Wielu pasażerów umarło z głodu, część została ograbiona z reszty dobytku przez ludność okoliczną, paru udało się z powrotem wrócić do Tocka, resztę władze sowieckie rozesłały do głodnych, najgłodniejszych kołchozów, gdzie zdarzały się zabójstwa za ukradziony przez głodomora kawon.

Po dłuższym pobycie w Związku Sowieckim trzeba samemu ,,upaść na głowę'', by za takie i tysiące podobnych faktów czynić Andersa odpowiedzialnym. Ten dowódca, który według Klimkowskiego zajmował się jedynie bridge'm, orgiami i nawet wyścigami, walczył o każdy taki wypadek zasypując telegramami, żądaniami, reklamacjami władze miejscowe, przedstawicieli władz sowieckich przy naszym wojsku czy władze centralne. W przeciągu całej mojej pracy w Sowietach, jako oficer Opieki potem jako kierownik Biura Poszukiwań zaginionych oficerów i żołnierzy, a potem szef Propagandy, *nie pamiętam wypadku* by zwróciwszy się w takiej czy innej sprawie ratowania czy wyciągania Polaków Anders nie udzielił mi takiej pomocy, na jaką go było stać, zawsze kładąc na szalę *całą* wagę swego autorytetu, który dla władz sowieckich w tym pierwszym okresie był bardzo wielki. Klimkowski nie może o tym nie wiedzieć, bo był przy generale i w tej akcji sam z polecenia generała brał co raz to czynny udział.

TASZKIENT

To Klimkowski według swej książki wierzy, w przeciwieństwie do Andersa, w siłę oręża sowieckiego (3), to on broni

(3) Nie pamiętam, by się Anders w mojej obecności wypowiadał, ale pamiętam jak właśnie w Jangi-Julu, nad Kurkuldiukiem, gdzie kapaliśmy się latem Klimkowski a nie Anders proponował zakład pułk. Hullsowi o butelkę szampana, że w trzy tygodnie Niemcy, bijąc Sowiety, dotrą do Wołgi i Kaukazu. Widzę jeszcze wstrzemięźliwą i dyplomatyczną reakcję Hullsa na horoskopy zapalczywie przez Klimkowskiego uzasadniane.

tezy, że nasze miejsce to walczyć ramię przy ramieniu z wojskiem sowieckim i że opuszczenie Rosji jest gorzej niż błędem, jest zdradą. Chciałbym w związku z tym przypomnieć pewien epizod. Kiedy już w Turkiestanie, w końcu marca 1942 r., zostałem szefem Propagandy Armii, całymi okresami bywałem u Andersa codziennie, widując Klimkowskiego po parę razy na dzień. Mieszkał on jak zwykle, przy Andersie, w jego willi. Pokój Klimkowskiego był oddzielony nawet nie drzwiami, ale firanką od kuchni, w której urzędował kucharz generała. Jak nam wówczas opowiadano był on uprzednio kucharzem na służbie u Kuusinena komunistycznego ,,prezydenta'' przyszłej komunistycznej Finlandii, kreowanego przez Sowiety podczas wojny fińsko-sowieckiej. Przydzielony Andersowi kucharz mówił paru językami, i nikt z otoczenia Andersa nie wątpił, że rola jego nie ograniczała się do gotowania smacznych obiadów.

Pewnego wieczoru, zachodząc do willi, zastaję Klimkowskiego na łóżku, lekko zaziębionego. Nie bacząc na sąsiedztwo kuchni zaczyna mi z wielkim zapałem tłumaczyć ostatni genialny plan, który mu się w głowie urodził : Niemcy prą na Kaukaz i ku Wołdze, za parę tygodni Wołga będzie przecięta, wówczas dla dowozu kaukaskiej ropy naftowej do armii sowieckiej zostanie jedna tylko droga — linia kolejowa, prowadząca na wschód od morza Kaspijskiego przez Taszkient. Trzeba zdobyć Taszkient, przeciąć tę jedyną arterię kolejową i dostawy nafty. Taszkient jest prawie ogołocony z wojsk sowieckich i wystarczy do tego szwadron przyboczny, którym on, Klimkowski, dowodzi i baon specjalny Kiedacza, jego przyjaciela. Wtedy my, Polacy, będziemy panami sytuacji, dyktujemy warunki Sowietom, one się nam podporządkowują i my decydujemy prawie że o losach świata ! Na moją argumentację, że to może być tylko przyjęte jako akcja dywersyjna na korzyść Hitlera, Klimkowski nie zwraca uwagi, tłumacząc, że wszystko zależy od takiego czy innego rozegrania tej sprawy. Gdy staram mu się wytłumaczyć że nigdy Anders na tego rodzaju plan nie pójdzie, zgadza się ze mną i dlatego proponuje wykonanie planu przez zaskoczenie, bez porozumienia się z Andersem, do zmuszenia go post factum by wziął na siebie odpowiedzialność za tę akcję. Na moje rozpaczliwe gesty by ściszył głos ze względu na kuchnię, zaledwie zwraca uwagę. Zdaje się, że nie istniał w ogóle u Klimkowskiego ,,le tact de choses possibles''. Nie było dla niego granicy między pomysłem fantastycznym czy planem realnym — do końca nie wiedziałem, nie byłem pewny, czy plany jego, czy groźbę ewentualnej próby realizacji tych planów należy brać na serio, czy najprościej zbywać je dowcipem, wykorzystując jedynie jego energię do spraw względnie drobnych, ale konkretnych.

Plan Taszkiencki wydawał mi się jednak groźny. I jeżeli został w zarodku zlikwidowany, przypisuję to częściowo sobie.

Wkrótce potem zachorowałem na tyfus. Leżąc w szpitalu w Ak-Ałtynie nie wiedziałem nic co się dzieje w sztabie. Już potem w Teheranie, czy Bagdadzie, opowiadano mi, że przed

wyjazdem z Rosji Klimkowski nalegał na Andersa, by rzucił jedną dywizję na obronę Kaukazu, sam proponując siebie na dowódcę. A więc twórca pomysłu ,,uduszenia'' armii sowieckiej, przez zatrzymanie dostaw nafty, w parę tygodni później próbował planu, który mógłby uwiecznić go jako obrońcę tejże nafty sowieckiej. Jeszcze parę tygodni później znajduję w chaotycznych i wcale nie politycznych notatkach, pisanych dla siebie do poduszki, wzmiankę o tym, że Klimkowski mówi o błędzie wyjścia z Rosji, nawet o ,,hańbie''.

Ale cóż, kiedy już znowu zimą 1942 na 1943, Klimkowski występuje z propozycją, by mu dano ośmiu ludzi, dynamit, środki pieniężne — a on zobowiązuje się powysadzać tunele na jedynej linii kolejowej, po której alianci przewożą sprzęt bojowy dla Sowietów z Basry przez Persję. Alianci zwlekają z bronią dla nas, wówczas broń przeznaczona dla Sowietów trafi do nas i my będziemy górą!

Z SIKORSKIM CZY PRZECIW NIEMU?

Jeszcze jedna teza książki, która zupełnie przeczy moim wspomnieniom. Obcując z Klimkowskim tak wiele, zawsze uważałem go za zażartego przeciwnika Sikorskiego i jego polityki. Jeżeli czemu zawdzięczał, że miał posłuch i nawet popularność wśród właśnie najbardziej dynamicznych młodych oficerów na Bliskim Wschodzie (których niejedno łączyło psychicznie z spadochroniarzami Algieru z 1958 roku) to właśnie temu, że występując jako zupełnie oddany Andersowi podwładny, najzajadlej krytykował politykę Londynu i właśnie politykę Sikorskiego.

W książce swojej Klimkowski opisuje walkę o zakres władzy na Bliskim Wschodzie między Sikorskim a Andersem. Musiałby chyba zacząć pisać o *swojej* roli jak najbardziej aktywnej i dwulicowej w tej rozrgywce, która w pewnych okresach istniała rzeczywiście. Nie mam już dzisiaj wątpliwości, że Klimkowski grał na *obie* strony, podgrzewając każdy zatarg.

Pisze on kilkakrotnie z ironią i lekceważeniem o ludziach, którzy posądzali go o tworzenie spisku w Armii. Były to jakoby posądzenia niepoważne — i tu znów wiem, że było inaczej. Próby tworzenia jakiejś junty były, tajemne przysięgi były, Może sobie Klimkowski przypomni parogodzinną rozmowę w Bagdadzie, w której, w mojej obecności, przyznał się do tego Adolfowi Bocheńskiemu.

Zimą 1943 r. narastają tarcia między Londynem a Armią na Wschodzie. Klimkowski dwoi się i troi, rozjeżdżając nieustannie po oddziałach, alarmując i planując, zbierając młodych na tajne konferencje. Motto ,,Salus Rei Publicae'' coraz częściej pojawia się na łamach ,,Orła Białego'', do którego droga bliska od najbliższego oficera Andersa do redaktorów Racięskiego i Baua. Narastają żale i gorycze Armii przeciw Sikor-

skiemu i jego polityce. Najbardziej popularny, i ,,chwytający'' zarzut to zagrażająca przyszłości Kresów miękkość generała Sikorskiego wobec Sowietów. W masie żołnierskiej i oficerskiej która Rosję tylko co opuściła z nieustannym niepokojem, o tych którzy tam pozostali, namiętności antysowieckie są nagminne i ten zarzut gra zawsze. Zdaje mi się, że wszyscy mieliśmy wówczas złudzenia co do zakresu możliwości działania Sikorskiego i jego rządu, ale na pewno nie jedno posunięcie rządu na krytykę zasługiwało. Ta krytyka szeptana w wojsku nabierała form coraz brutalniej uproszczanych i naiwnych. W pustyni, dokąd sprzęt jeszcze nadchodził skąpo, gdzie armia tkwiła w półbezczynności, plotki i krytyki, słuszne czy niesłuszne, stwarzały ferment. Min. Kot wzywał mnie wówczas parokrotnie, zarzucając gorzko mnie i zespołowi Oddziału Propagandy niedostateczną obronę Londynu oraz otaczanie się ludźmi sanacji, niechętnymi Sikorskiemu, w których Kot jak zwykle widział wszelkie źródło zła. Tej zimy z 1942 na 1943 spotykam się z Kotem na Karmelu, potem parokrotnie w Jerozolimie.

Sam widzę wciąż narastającą gorączkę konwentyklów w Armii. Klimkowski te nastroje wykorzystuje, częściowo je stwarza i podsyca dla swych planów, które mają jeden punkt stały: grupowanie wokoło siebie młodych, tych młodych, którzy uważali go za leadera, jego jedynego, który miał wśród nich dostęp do informacji i w ogóle do ,,głównego ołtarza''.

Dla Kota sprawa przedstawiała się prosto: intryga sanacji przeciw Sikorskiemu i nieumiejętność czy zła wola ,,Propagandy''. Ja widziałem to wówczas w kolorach o wiele dramatyczniejszych. Czy miałem rację? Odkrywam w Bagdadzie książkę Dansette'a o generale Boulanger i czytam ją z bijącym sercem, bo zdaje mi się, że naokoło mnie zaczyna narastać podobna fala.

,,Całe życie nienawidziłem bulanżyzmu, o tym pamiętać'' — zapisuję w dzienniku — ,,czy na własnej skórze przeżywając historię dojdę do innych wniosków, czy najprościej przez odruchy oportunizmu będę zamieszany do takiego czy innego bulanżyzmu właśnie?''.

Natrafiam w notatniku na parę rozmów z Kotem spisanych w Jerozolimie w styczniu 1943 roku.

,,Trudno dać odczuć temperaturę w wojsku Kotowi, trudno przy nim samemu nie rozładować się, tak instynktownie, tak odruchowo rozładowuje swoim optymizmem, niewidzeniem, niewiarą w istnienie tragicznych konfliktów, których nie da się zasmarować, zamazać, zatargować. Naprawdę dwa światy między którymi przepaść nie koncepcji, a temperamentów w stosunku do życia''.

Czuję się całą tę zimę między młotem a kowadłem. Notuję jeszcze innego dnia:

,,Godzinna rozmowa z Kotem w małej, pustej kawiarni. Zmęczony, schudł, zaostrzyły mu się zmarszczki, wygląda niespokojny. ,,Orła'' odrzucił, jakby go parzył: ,,Nie chcę czy-

tać tego pisma...". Dawał mi argumentacje, na które trudno mi odpowiedzieć, że robota rządu z natury rzeczy musi być tajna, że Rosja, wściekła o pobyt Sikorskiego w Ameryce, przesłała notę, że *wszystkich* obywateli z Kresów uważa za swoich (i Polaków)".

Zawsze po takich rozmowach z Kotem wynoszę wrażenie prawdziwej, autentycznej troski jego o sprawy polskie i jego nieskończenie szerszej informacji o tym co się dzieje na świecie. To nieustanne uczucie narastającej przepaści między „Londynem" i Armią na Bliskim Wschodzie, związane z agitacją Klimkowskiego nie opuszcza mnie.

„Przygnębienie... to co mówił Romer (4): jeden zabity, drugi wyrzucony, trzeci musiał uciekać (o naszych prezydentach w związku z anarchizmem polskim). Sytuacja zagraniczna dzisiejsza, praca jawna i praca tajna. Czy mamy elementy sądu i osądu. Co w zarzutach słuszne, a co demagogiczne, gdzie lepsi i... za jaką cenę? Nie patrzyć na to z Pipidówka. Koszmar „Biesów", *je demande pardon à ma mère* (5).

Jeszcze tej zimy, 26.1.1943, odbywa się spotkanie Kota i Klimkowskiego, który w tym celu przyjeżdża wprost ze sztabu Armii. W „Listach z Rosji" Kota znajduję treść rozmowy, przy której byłem obecny, spisaną bardzo wiernie, w liście do Sikorskiego z 31-go. Kot myli się wyobrażając sobie, że rozmowa ta była pomyślana i inspirowana przez Andersa. Byłem sam stronnikiem tej konfrontacji, niezależnie od generała, który mi nigdy w tym kierunku żadnych instrukcji nie dawał, ale któremu ją, naturalnie, opowiedziałem. Znajduję u siebie w notatniku moje wrażenia z tej rozmowy, spisane w dniu kiedy się odbyła. Choć jest ona zanotowana telegraficznie, tylko od strony obserwacji psychologicznej, zdaje mi się że ma swoją cenę, bo oddaje *na gorąco* to co w pamięci już mi się częściowo zatarło, a co rzeczowe sprawozdanie Kota pomija.

„26.1. godzinna rozmowa J. (Jerzego Klimkowskiego) z Kotem w mojej obecności, przy moich rzadkich, korygujących czy wstępnych odezwaniach się. Gdybym był Tołstojem opisałbym tę scenę! Treści pisać nie chcę, ale warto zanotować tło, właśnie stronę materialną. Przestrzeń dzieląca tych ludzi. Ten gabinet typowy *d'un Palace-Hôtel,* więc „estetyczny": w najbardziej bezosobistym, jakimś na wesoło komfortowym pokoju, Kot w fotelu okrągły i przecież koci, choć z bardzo zmęczoną twarzą, i J. na krześle, nieoparty, „ustremlionnyj", po 24 godzinach nieprzerwanej jazdy, recytujący zarzuty za

(4) Spotkałem go parę razy wówczas na Bliskim Wschodzie. Był Ambasadorem w ZSSR, ministrem na Bliskim Wschodzie, a potem ministrem spraw zagranicznych. Wśród dygnitarzy, z którymi wtedy rozmawiałem, jeden on, obok gen. Kopańskiego, nie mieli *apetytu* władzy i może dlatego wspominam ich z takim wzruszeniem.

(5) Cytuję tu słowa dalekiego wuja, który jak głosiła wersja rodzinna zamieszany do spisku wolał sam się zabić. Zostawił po sobie tylko te słowa zapisane na kartce.

zarzutami, niektóre do niemożliwości naiwne (aż mnie skręcało), niektóre żywcem wzięte od innych i prawda jego serca, jego instynkt, że jest źle, jego gotowość ryzykowania wszystkim, i naprzeciw Kot słuchający jakże uważnie. Coraz sięgał do pudełeczka z czekoladkami w różnokolorowych, srebrzystych papierkach i pilnie, pilnie się przyglądając wybierał i kładł sobie do ust, częstując Jurka, który chwytał nawet nie wiedząc co połyka, jak wilk pigułkę: kontrast osobowości, cóż za przestrzeń dzieli tych ludzi. Uderzająca cierpliwość Kota, nigdy ani słowem nie zadrasnął Jurka, odwrotnie, zarzuty najbardziej naiwne przyjmował z całą powagą i zbijał z całym aparatem istotnych argumentów, faktów i wiadomości nieujawnionych: jego zatarg ze Stańczykiem, krytykę różnych resortów MSZ-etu i Propagandy i Ciechanowskiego i Sokolnickiego w Stambule. Kot jest wielki gracz. Mówił o ileż trafniej, mądrzej od J., a przecie nie K. a J. miał po jakiemuś rację, nie argumentów, a napięcia i młodości".

Tu, dziś, ja widzę moją słabość, odruch przyjęcia argumentów nie z powodu ich większej, obiektywnej słuszności, ale *ładunku,* który rozmówca w te argumenty wkłada. Dlatego słuszny był może zarzut Kota, który do mnie dotarł przez Sikorskiego, że ulegam młodym, po prostu ludziom o silniejszej pasji ,,je ne crois que les histoires dont le témoin se ferait égorger". Jakże często nie tylko ulegałem temu pascalowskiemu wartościowaniu (wcale dziś nie wydaje mi się słuszne, bo gotowość dać się zarżnąć nie świadczy jeszcze o uwadze i rzetelności myślowej świadka), ale je jeszcze rozszerzałem na koncepcje i decyzje tych, co dla tych koncepcji i decyzji ,,se feraient égorger".. A właśnie wówczas, w wojsku, co drugi, który przez Rosję przeszedł i był świadkiem tego co się tam dzieje, dałby się zarżnąć sto razy, żeby ,,krzyż splugawiony razem z młotem padł" i co drugi wierzył, że wystarczy odmłodzić rząd, by inaczej, energiczniej, śmielej szanse Polski rozegrać i uratować Kresy. Tego samego dnia notuję dalej:

,,Kolacja w wielkim zmęczeniu z J. i z Z. (Bernardem Zingerem, dawnym redaktorem ,,Naszego Przeglądu", który w otoczeniu Kota poza Ksawerym Pruszyńskim, był mi jedynym bliskim człowiekiem). Rozmowa się nie kleiła, Z. za intelektualista, wszystko co mówił, Biblia, uwagi, porównania, wszystko *terra incognita* dla J., zmęczenie tą głuchotą jego na wszystko co poza *action directe*. Mowa o wojsku w Rosji i wtedy J. zaczyna mówić namiętnie, trafnie, krytycznie, o braku decyzji rządu, woli rządu etc. Odprowadzam J. potem Zingera... rozmowa z nim smutna i mądra, w której ten mądry Żyd mówi z tą barwną, śmiałą przenikliwością o sytuacji, o tym że ta partia będzie rozegrana wąsko i na bardzo krótką metę. Że nie będzie załatwiona głęboko. Mój cel jeden jest wyraźny, nie dopuścić do krwi, która dałaby tylko katastrofę na zewnątrz i nawet w razie sukcesu dałaby zmianę, która nie byłaby ratunkiem, trzeba się jeszcze krystalizować i szukać nowych sił i nowych ludzi".

Podaję tutaj zapiski sam je odczytując po raz pierwszy po latach. Czas te wspomnienia spłycił i rzeczy zapisane na miejscu są nikłym, ale pewniejszym świadectwem tego, jak z *mojej* ówczesnej perspektywy sytuacja zdawała mi się groźna. Jeżeli już dziś trudno mi skleić bieg ówczesnych wydarzeń, nawet najbliżej o moją pracę zazębionych, jedno jest pewne „spisek Klimkowskiego" wcale nie był fikcją, i był skierowany przeciw Sikorskiemu. Ale *rozmiarów* jego nie znałem absolutnie, i właściwie nie znam dotychczas, podejrzewając zawsze Klimkowskiego o świadome uprawianie bluff'u. Kot pisze o czterystu wciągniętych do spisku oficerach, nie wiem skąd zdobył te cyfry.

Konfrontacja Kota i Klimkowskiego w mojej obecności mogła, zdawało mi się, wiele nieporozumień rozproszyć i spraw rozładować. Czy byłem rzeczywiście miękki jak mi to Kot zarzucał?

„Ludzie którzy by sobie ręki nie podawali przez ciebie z sobą się stykają i ze sobą mówią" — powiedział mi wówczas Bernard Zinger. To było może też coś warte.

Dla mnie przy tym było to jedynym sposobem o wielu rzeczach wiedzieć i, na ile było mnie stać, hamować i rozładowywać.

KONIEC KLIMKOWSKIEGO

Przyjazd generała Sikorskiego na Bliski Wschód w końcu maja 1943 r. to błyskawiczny koniec błyskawicznej kariery Klimkowskiego.

Ktoś wręczył Sikorskiemu przy wysiadaniu z samolotu w Kairze skierowaną przeciwko niemu ulotkę. Ulotka była drukowana w Teheranie przez wyznawców Klimkowskiego i przywieziona do wojska — jak głosiła plotka — pod spódnicą oficera PSK (6), wysokiej rangi. Każdy znał prawie chorobliwą drażliwość Sikorskiego na wszystko co o nim pisano (zresztą nie wielu znam dowódców, którzy by tej drażliwości nie mieli). Ulotka oburzyła Sikorskiego, który naturalnie w pierwszej chwili czyni Andersa odpowiedzialnym za ten — w jego oczach — afront i, szerzej, za dopuszczenie do rozpolitykowania armii. Anders jest wściekły na Klimkowskiego odpowiedzialnego za posunięcie, w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek generałowi nie na rękę. Zresztą już *przed* przybyciem Sikorskiego gen. Anders usuwa Klimkowskiego ze sztabu do 12 pułku ułanów. (Klimkowski wówczas awansował, gdyż z dowódcy przybocznego szwadronu został dowódcą pułku). Jest to już okres, kiedy, jak mi się wydaje, Anders stracił swoje dawne bezwzględne zaufanie do Klimkowskiego.

Przykre spięcie, wywołane ulotką teherańską, udaje się całkowicie załagodzić. Pogłoski kursujące w Londynie o przygotowanym w Armii zamachu na Naczelnego Wodza Anders

(6) Pomocnicza Służba Kobiet.

odrzuca całą wagą swego w armii autorytetu. W czasie tego pobytu Naczelnego Wodza stosunki między Sikorskim a Andersem przechodzą różne fazy. Projekt Sikorskiego podziału władzy Andersa między dowódcę Armii a dowódcę Korpusu, mającego wyruszyć do Włoch, projekt którym Sikorski zaskakuje Andersa na jednej z odpraw oficerskich, znów zaognia stosunki między nimi. Projekt ten w Bagdadzie zostaje przez Sikorskiego porzucony.

Parokrotnie spotykam wówczas Naczelnego Wodza. Nie tylko Kot ale również Sikorski krytykował nasz zespół Propagandy za to, że „Orzeł Biały" (tygodnik Armii) źle jakoby naświetlał sytuację polityczną, i że nie dosyć pisał o Wodzu Naczelnym.

„Jesteście nielojalni, ale was odwiedzę" mówił mi Sikorski 6 czerwca „pomijacie zupełnie w *Orle* Prezydenta i mnie" (był to zarzut zupełnie niesłuszny). Sikorski cytuje mi jakiś komunikat Goebbelsa o faszyzujących nastrojach w naszej armii, mówi mi: „trzech ministrów nalegało bym nie jechał, ponieważ mają mnie tu zabić". Tłumaczę mu, że to absurd, że pożywką tej niechętnej agitacji przeciw niemu są jego wypowiedzi o „genialności Stalina" i o tym, że jakoby wszyscy jeńcy zostali w Rosji wypuszczeni z obozów, co jest nieprawdą. Sikorski robi na mnie wrażenie jakieś odprężone, swobodne, zadowolone z serdecznego przyjęcia w Armii, może pierwszy raz sympatyczne. Sikorski przechodzi do sprawy Klimkowskiego. Zna go od Angers, jest informowany o jego burzliwej działalności w wojsku.

„...nie chcę go wykańczać. Gotów jestem wysłać go do Ameryki, ale, że mu się w głowie przewróciło, to go nie przyjmę" (7).

Dla Sikorskiego Klimkowski jest leaderem fermentującej młodzieży, którą chciałby zdobyć dla siebie i dla swej polityki.

Już w Jerozolimie była mowa z Kotem o odmłodzeniu nie tylko Armii, ale aparatu rządowego. Omawiana była możliwość przysłania do Londynu paru młodych ludzi z Armii do roboty politycznej. Nie umiem sobie przypomnieć, kto ten projekt pierwszy rzucił. Nie był to na pewno ani Anders, jak przypuszcza Kot w swojej książce, ani Kot, jak to znów przypuszcza Anders. Według mego przekonania autorem tego pomysłu był sam Klimkowski. O ile sobie przypominam, dopiero w czasie obecności Sikorskiego na Bliskim Wschodzie, powstaje pomysł Ameryki! Klimkowski pisząc o tym planie traktuje go najzupełniej poważnie. Klimkowski nie mówiący ani słowa po angielsku, robiący „wielką" politykę, w Waszyngtonie! Jestem przekonany, że głównym celem tego planu było „honorowe" usunięcie burzliwej i mętnej głowy z Blis-

(7) Według książki Klimkowskiego, Sikorski podczas swego pobytu spędza z nim długie godziny na rozmowach, Klimkowski nie podaje daty. Stwierdzam tylko, że słowa Sikorskiego, które tu pomieszczam, przepisuję dosłownie z mojego dziennika, gdzie je zanotowałem w dniu rozmowy.

kiego Wschodu, która tylko w takich specyficznych warunkach mogła stwarzać niebezpieczny ferment. (De Gaulle *toute proportion gardée* ,,rozpieprzył'' inspiratorów i autorów 13 maja w Algierze).

Co było prawdy w groźbach zamachu na Sikorskiego, w niebezpieczeństwach, które Naczelnemu Wodzowi w Armii groziły? Dziś przypominam sobie te ówczesne plotki i pogłoski. Powtarzano słowa Klimkowskiego o ,,zastraszeniu'' Sikorskiego, że gotów jest Sikorskiego przed wojskiem publicznie znieważyć (słowa były o wiele bardziej dosadne), bo on, Klimkowski, taki ma autorytet i władzę nad swoimi żołnierzami. Słowa te doszły do Adolfa Bocheńskiego, który przekazał Klimkowskiemu, że jeżeli włos z głowy spadnie Sikorskiemu, który reprezentuje ,,majestat Rzeczypospolitej'' to on sam, własnoręcznie zastrzeli Klimkowskiego. Bocheńskiego znaliśmy wszyscy jako konsekwentnego przeciwnika polityki Sikorskiego ale przede wszystkim jako człowieka o głębokim poczuciu państwowym i wyjątowej odwadze, nie tylko fizycznej, ale i moralnej. Nie wątpię, że wykonałby tę groźbę.

Nie umiem osądzić do jakiego stopnia groźby Klimkowskiego były groźne, co u niego było bluffem i najprościej nieodpowiedzialnym, polskim *gadaniem,* ale reakcja Bocheńskiego, reakcja człowieka tej uwagi i tej odwagi, świadczy, że dym nie był bez ognia.

Klimkowski, usunięty przez Andersa ze Sztabu traci wszelkie możliwości działania w znaczeniu politycznej agitacji i jednocześnie zdaje się tracić resztę zimnej krwi. Przecie przy zmienności jego poglądów nie było żadnej *doktryny* politycznej, którą można by było z jego akcją wiązać. Widząc jak Sikorski jest w Armii przyjęty, Klimkowski zmienia postawę, jak zwykle o 180 stopni, i proponuje zorganizowanie wielkiego przyjęcia dla Sikorskiego w swoim pułku, gwarantując, że on jeden potrafi to tak urządzić, że Naczelnego Wodza jego żołnierze na rękach wyniosą z auta. Propozycja nie zostaje przyjęta. Jakże to wszystko przypomina w klimacie zamachowców na gen. Salan, którzy stają się nagle jego obrońcami w ,,Comité du Salut Public''!

Stronice i stronice książki Klimkowskiego, przeróżnych afabulacji, opowiadań o intrygach, nadużyciach i przyjęciach, wszystko to przygotowanie tylko do bomby ostatniej.

A więc według tej książki Anglicy mordują Naczelnego Wodza i na to aby go zamordować dwadzieścia osiem osób ginie z nim razem, wśród nich córka generała, dwóch posłów do parlamentu angielskiego, szef II oddziału angielskiego na Bliski Wschód... W zamachu współdziała sam Churchill, wzywając Sikorskiego do Londynu przed czasem, na to by go szybciej zamordować (to wszystko żeby zamiast Sikorskiego przyszedł o wiele niewygodniejszy dla Anglików gen. Sosnkowski). Ale koroną tej bajki jest następująca wersja Klimkowskiego: Anglicy przez pułk. Hullsa (oficera łącznikowego przy Armii), później przez gen. Beaumont-Nesbitta (szefa oficerów łączni-

kowych na Bliskim Wschodzie) zawiadamiają o tym Andersa, który w tym zamachu sam palce macza. Parę dni przed wyjazdem Sikorskiego z Kairu do Gibraltaru Anders dostaje silnej gorączki (ostry atak malarii, tak częstej na Bliskim Wschodzie), ale Klimkowski pisze o tym znacząco: „faktycznie gdy po paru godzinach przyszedł lekarz, stwierdził że gen. Anders ma podniesioną temperaturę. Nie mógł jednak znaleźć przyczyny" i dalej „były chwile, że cały trząsł się jak w febrze, wezwany lekarz nie stwierdził jednak żadnej choroby". Aluzja, że Anders dostał gorączki z wyrzutów sumienia, czy może z radości, bo Anglicy zdecydowali się zamordować Naczelnego Wodza. Książka kończy się tym złym romansem kryminalnym, w który nie wiem czy jeden naiwny komunista, czy jedna niewinna kucharka w Polsce będą w stanie uwierzyć.

Po wyjeździe i po śmierci Sikorskiego Klimkowski próbuje jeszcze i jeszcze, choć już odsunięty od sztabu, agitować i politykować i zostaje aresztowany między innymi za przechowywanie dokumentów sztabowych.

Nie spotkałem się więcej z Klimkowskim. Raz, jadąc jeepem w Palestynie, mignęła mi jego sylwetka w kurtce od piżamy przy baraku więziennym i raz otrzymałem od niego gryps, też jeszcze w Palestynie, z którego pamiętam jedno zdanie: „Na rany Chrystusa nie byłem agentem".

Wojsko przez Palestynę, Egipt wyruszyło na front do Włoch. Jak szybko ferment irackiej pustyni zginął i przepadł! W akcji, o której wojsko marzyło, do której jak tylko sprzęt nadszedł gwałtownie się sposobiło, wykazało ono, od dowódcy do szeregowca, swe wielkie walory i swą wbrew wszystkim tarciom, istniejącym wszędzie i zawsze wśród ludzi, naprawdę wspaniałą jedność.

Do pierwszego okresu tej epopei wojska polskiego, od łagrów do Ancony, i Klimkowski także się przyczynił; spamiętał jednak i opisał, zafałszowując, tylko rozgrywki generałów. Siebie tylko i swoją własną przeszłość zabazgrał.

Józef CZAPSKI

Na posterunku we Francji

Na łamach krajowego tygodnika „Kierunki" z lutego i marca tego roku ukazał się cykl artykułów St. Zabiełły, pod ogólnym tytułem „Na posterunku we Francji".

St. Zabiełło, przed wojną urzędnik etatowy naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych (Wydział Wschodni), odegrał w okresie od końca września 1940 do 9 grudnia 1942 wybitną i pierwszoplanową rolę w pracach polskich na terenie Francji. Mimo zachowania się stosunkowo bogatych, choć niekompletnych materiałów archiwalnych z tego okresu w Londynie, relacja czołowego w ciągu dwóch lat aktora wydarzeń zainteresuje na pewno przyszłego historyka, uzupełniając niedostateczną wymowę dokumentów urzędowych. Jak każdy autor wspomnień osobistych, Zabiełło nadał swej relacji charakter subiektywny. Nie może ona pretendować do miana historii, ale posiada niewątpliwie wartość materiału historycznego i to pomimo wszystkich nieścisłości, a nawet błędów, jakie zawiera. Będzie zadaniem przyszłego historyka odcyfrować prawdziwy przebieg wydarzeń i odmierzyć rolę ich aktorów, poprzez konfrontację wspomnień Zabiełły z relacjami innych autorów, oraz z korespondencją i z dokumentami urzędowymi, ocalałymi z pożogi wojennej.

Propozycja red. Giedroycia omówienia artykułów Zabiełły wprowadziła mnie z początku w zakłopotanie, gdyż jestem w trakcie opracowywania własnych wspomnień z lat: 1939-45. Doświadczyłem naturalnego odruchu niechęci do wyzbywania się przedwcześnie tego, czy owego szczegółu, który w szerszym ujęciu i na właściwym mu tle mógłby wypaść inaczej, niż w omówieniu cudzego artykułu. Biorąc jednak pod uwagę, że historycy krajowi mogą poświęcić cały swój czas pracy naukowej, bijąc wskutek tego historyków emigracyjnych szybkością, i że praca Zabiełły może posłużyć do sformułowania sądów, które, oprócz doktrynalnego oświetlenia historiografii krajowej, mogą oprzeć się także na nieścisłościach faktycznych, zdecydowałem się dokonać tego omówienia bezzwłocznie i bez związku z moim własnym, szerszym opracowaniem.

St. Zabiełło objął swe funkcje nieoficjalnego przedstawiciela władz polskich we Francji z chwilą ustania, w dniu 20 września 1940 roku, działalności Ambasady R.P. w Vichy, kierowanej w tym czasie przez chargé d'affaire i min. pełn. Feliksa Frankowskiego, któremu towarzyszyłem w ostatniej rozmowie z sekretarzem gen. francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, p. Rochat, w dniu 16 września 1940. (Kopię sprawozdania z tej rozmowy posiadam w moich papierach).

Zabiełło nie był zawczasu przygotowany do roli, powierzonej mu w jednym z najdramatyczniejszych momentów historycznych, tuż po kapitulacji Francji, w warunkach rozprzężenia, panującego nie tylko w kraju naszego pobytu, ale i w społeczeństwie polskim, dla którego była to druga katastrofa, podobna do wrześniowej. We Francji przebywał od niedawna, szerszych stosunków nie posiadał, sytuację wewnętrzną znał raczej słabo, zasadniczy w tym czasie z polskiego punktu widzenia problem półmilionowej emigracji zarobkowej był mu prawie zupełnie obcy. Zdrowie mu nienajlepiej dopisywało, zmuszając go do oszczędzania czasu i sił. Pomimo to w w ciągu kilku

miesięcy potrafił stworzyć koło siebie ośrodek kierowniczy życia polskiego we Francji i wykonać zadania, które mu powierzono, lub które narzuciły się same. Osiągnął ten poważny wynik dzięki cennym zaletom osobistym, jak : intuicja i zdolność szybkiego dostosowywania się do sytuacji, brak doktrynerstwa w ustosunkowaniu się do spraw i ludzi, trafność w ocenie ludzi i ich uzdolnień, a co za tym idzie, umiejętne ich użycie. Dopomogła mu również atmosfera ówczesnych stosunków polskich we Francji, która sprawiała, że wszystkie czynniki kierownicze poszukiwały dobrowolnie współpracy z sobą i chciały się koordynować dla wspólnych zadań i celów i to pomimo skłonności Londynu do podzielenia nas na osobne folwarki, odpowiadające resortom rządowym, lub podziałom partyjnym.

W świetle swych wspomnień Zabiełło sprawia wrażenie człowieka, który sam o wszystkim decydował i wszystkim, co działo się w polskim życiu publicznym we Francji, kierował. Jest to ujęcie dopuszczalne tylko o tyle, o ile przedstawia równowartość ponoszonej odpowiedzialności formalnej i faktycznej, a ta, choć rozległa, była przecież ograniczona. W rzeczywistości, w okresie omawianym, Zabiełło nie ujawniał żadnych upodobań autorytatywnych, ani wobec swoich współpracowników, ani na zewnątrz. Do decyzji dochodziło w drodze wysiłku kolektywnego naszego zespołu kierowniczego, a w sprawach drobnych — w drodze rozmów z kierownikami poszczególnych działów. W jego wspomnieniach brakuje wyraźnie opisu podziału zadań pomiędzy członkami jego zespołu, zwanego oficjalnie generalną dyrekcją Biur Polskich. Składał się ten zespół z trzech osób, oprócz sekretarek, szofera i woźnego. Sekretariat, łączność z niektórymi urzędami francuskimi i kontakty kurierskie sprawował sumiennie Kazimierz Sośnicki, attaché ambasady. Wiesław Dąbrowski, II sekretarz ambasady, sprawował właściwe kierownictwo techniczne pracami Biur Polskich w ich charakterze nieoficjalnych urzędów konsularnych R.P. On również utrzymywał większość kontaktów z ministerstwami i urzędami francuskimi, zajmującymi się sprawami polskimi, oraz towarzyszył Zabielle w większości wizyt i spotkań służbowych. Dzięki wieloletniemu pobytowi we Francji i znakomitej znajomości stosunków i ludzi, potrafił on we właściwy sobie, insynuacyjny sposób zapewnić swój wpływ na francuskich dyrektorów Biur Polskich, z Paul Chastand'em i Abel Verdier na czele i wykorzystać ich dla polskich interesów. Gdy narastała presja niemiecka, a z nią — groźba likwidacji biur polskich, symbolizujących wobec ludności polskiej we Francji obecność i ciągłość państwa polskiego, Dąbrowski umiał zawsze opracować, podsunąć władzom francuskim i obronić nową koncepcję organizacyjną, która pozwalała nam wycofywać się z pozycji na pozycję, a na ostatniej z nich, na pozycji francuskich urzędów do spraw obywateli polskich, obsadzonych polskim personelem konsularnym, wytrwać aż do zniesienia okupacji niemieckiej i przygotować odbudowę polskiej sieci konsularnej. Polskie sprawy wewnętrzne pozostawił Zabiełło mnie, z tytułu

mojej przeszłości we Francji, jako konsula gen. w Lille, koordynatora naszych urzędów konsularnych w zakresie prac społeczno-kulturalnych, a w pierwszym roku wojny także kierownika mobilizacji do szeregów nowej armii polskiej. Do zadań moich należało odbudowanie naszej opieki i wpływu na przedwojenną emigrację zarobkową, kierownictwo akcją społeczną i oświatową, oraz stały kontakt w imieniu Zabiełły z Tow. Opieki nad Polakami we Francji (T.O.P.F.). Sprawą pierwszej pilności było odbudowanie i powiększenie sieci szkolnej w strefie nieokupowanej i obrona, w miarę możliwości, sieci szkolnej, pozostawionej w strefie okupowanej. Jedną z pierwszych naszych inicjatyw było stworzenie w Villard de Lans liceum polskiego, które, w oparciu o budżet TOPF-u i pod dyrekcją prof. Z. Zaleskiego, mogło już jesienią 1940 roku otworzyć swe podwoje sporej garści młodzieży polskiej obojga płci. Wkrótce, bo w początkach 1941 r. spadło na mnie zadanie samodzielne, w zakresie którego nie zależałem od Zabiełły. Polegało ono na zorganizowaniu polskiego ruchu podziemnego. Ale o tym później.

Wspomnienia Zabiełły wydają mi się na ogół ścisłe pod względem faktologicznym, gdy chodzi o całokształt prac opiekuńczych, ewakuację wojskowych i specjalistów, ratowanie Żydów obywateli polskich, rozciągnięcie zasięgu organizacji polskiej na Algier (Misja Emeryka Hutten-Czapskiego), Casablankę i Dakar, współpracę z wywiadem, organizację internowanych we Francji resztek wojska polskiego w kompaniach pracy. Nie wykluczam jednak, że osobistości kierownicze odcinków, tutaj wymienionych, miałyby niejedno do powiedzenia i uważam, że byłoby wskazane wywołać relacje co najmniej następujących osób: gen. J. Kleberg, pułk. dypl. J. Jaklicz, pp. Mieczysław Biesiekierski, Józef Jakubowski i Wiesław Dąbrowski. Czasu nie mamy zbyt wiele. Czego natomiast nie znalazłem w artykułach Zabiełły, to obrazu atmosfery, w jakiej żyliśmy i w jakiej odbywały się nasze prace. Czytając, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że chociaż wszystko na ogół się zgadza a przecież wszystko było nie tak. Nie wiem, czemu to przypisać. Możliwe, że przebywając w kraju, trudno jest pisać szczerze o nastrojach i klimacie uczuciowym, w którym się żyło podczas wojny w innych warunkach politycznych i moralnych. Tłumaczyłoby to milczenie wielu aktorów wydarzeń historycznych, którzy wrócili do kraju i nienaturalny chłód ze strony tych, którzy pisząc, nie chcą się wyrzec swej przeszłości. Możliwe jednak, że wierne oddanie atmosfery wydarzeń jest niedostępne dla tych, którzy sami w niej żyli.

Relacja Zabiełły oddala się najbardziej od rzeczywistego przebiegu wydarzeń, gdy chodzi o prowadzone we Francji polskie prace tajne. W niektórych wypadkach autora zawodzi pamięć, w innych popełnia on jaskrawy błąd metodologiczny, pisząc o sprawach, których nie przeżył osobiście, w zakresie których nie był aktorem wydarzeń, oraz, podając wersje cudze, przez siebie niesprawdzone.

Jak wspomniałem wyżej, nie podlegałem Zabielle w moim charakterze szefa głównego P.O.W.N. Jako urzędnik służby zagranicznej, stałem na stanowisku, obiektywnie chyba słusznym że rząd R.P. nie powinien był zlecać, ani prowadzić żadnych prac we Francji z pominięciem swego przedstawiciela, który powinien posiadać wpływ na całość zadań, skoro obarczony był odpowiedzialnością polityczną za powierzony sobie obszar działania. Tego poglądu nie podzielał jednak nasz rząd londyński i każdy niemal minister starał się mianować we Francji swego bezpośredniego przedstawiciela. Nie bardzo rozumiałem (jeszcze dziś nie jestem przekonany o słuszności tego rozwiązania), dlaczego londyńskie Biuro Akcji Kontynentalnej, od którego zależałem, jako szef główny P.O.W.N., podlegało ministrowi spraw wewnętrznych, zamiast, jakby logika i normalny porządek nakazywały, być emanacją resortów : spraw zagranicznych i obrony narodowej. Nie miałem jednak na to wpływu i z chwilą, gdy podjąłem się proponowanego mi zadania, obowiązywała mnie dyscyplina służbowa wobec moich nowych władz. Z uwagi jednak na moją jednoczesną przynależność do gen. dyrekcji biur polskich, z uwagi na panującą wśród nas atmosferę przyjaźni i zaufania, postanowiłem z własnej inicjatywy koordynować moją pracę tajną z działalnością Zabiełły i szukać razem z nim drogi wyjścia w wypadkach, w których nasze zadania, w wyniku rozbieżnych instrukcji Londynu, mogłyby znaleźć się w sprzeczności, lub wywoływać wzajemne trudności.

O propozycji stworzenia organizacji podziemnej, zrobionej mi przez szefa biura Akcji Kontynentalnej, Jana Libracha, zawiadomiłem istotnie Zabiełłę, ale motywy mojego odmownego z początku stanowiska były nieco odmienne od tych, które on podaje. W początkach 1941 francuski ruch oporu, poza organizacją wywiadu wojskowego, właściwie jeszcze nie istniał. Uważałem, że emigracja polska nie powinna zaczynać pierwsza, gdyż wykrycie naszego ruchu mogłoby spowodować masowe przesiedlenie górników polskich do Niemiec i uniemożliwić późniejsze wykorzystanie ludności polskiej we Francji dla celów polskiej polityki wojennej. Znałem dokładnie, z mojej przedwojennej służby konsularnej, francuski system rejestracji cudzoziemców i wiedziałem, że Niemcy, gdyby zechcieli, nie mieliby żadnej trudności z wyłowieniem Polaków. Ale miałem jeszcze dodatkowy powód do odmowy. Librach zwrócił się do mnie w imieniu prof. St. Kota, ówczesnego ministra spraw wewnętrznych w rządzie gen. Sikorskiego. Oblicze polityczne i wielka agresywność prof. Kota były powszechnie znane, a mnie wcale nie zależało na tym, aby się znaleźć w sytuacji dwuznacznej. Zdecydowałem się przyjąć proponowane mi zadanie dopiero po drugim liście Libracha, napisanym również z polecenia prof. Kota, o treści mniej więcej następującej (streszczenie z pamięci) : ,,Zadania które Ci proponujemy, wynikają z konieczności polskiej polityki wojennej i będą wykonane, bez względu na to, czy ich się podejmiesz, czy nie. Jeżeli Ty odmówisz, zostaną powierzone komu

innemu, ale w razie niepowodzenia odpowiedzialność moralna spadnie na Ciebie, gdyż zostałeś do tej roli wyznaczony po starannym rozważaniu przez rząd wszystkich innych możliwości. Minister Kot polecił mi oświadczyć Ci, że zadanie Twoje nie będzie miało żadnego związku z polityką wewnętrzną i że odwołuje się do Ciebie, jako do urzędnika państwowego na służbie w czasie wojny''. Pochodziłem ze szkoły ideowej, która dawała możność tylko jednej odpowiedzi na takie wezwanie.

Zabiełło pisze, w związku z powstanie P.O.W.N., że ,,Londynowi chodziło przede wszystkim o przygotowanie akcji, która by ułatwiła desant aliantów na północnych wybrzeżach Francji''. Oczywiście, w początkach 1941 roku nie mogło jeszcze być mowy o tego rodzaju zadaniach, zaczęły one zarysowywać się dopiero na wiosnę 1942. Pierwsze instrukcje, jakie otrzymałem, nakreślały cele raczej skromne : akcja wywiadu wojskowego, gospodarczego i politycznego, propaganda antyniemiecka, drobne sabotaże, zapewnienie udziału Polaków w strajkach przemysłowych. Na stworzenie organizacji masowej, po obu stronach linii demarkacyjnej, zdecydowałem się samodzielnie, dlatego, że w instrukcjach londyńskich dostrzegłem świetną okazję i podstawę do zorganizowania w sposób tajny półmilionowej ludności polskiej we Francji, a później także w Belgii i w Holandii, dla dostarczenia rządowi polskiemu dodatkowego narzędzia w walce o polskie cele wojenne. W moim rozumieniu P.O.W.N. powinna była zapewnić : 1) Zdobycie poparcia politycznego przyszłej, wolnej Francji dzięki kontynuacji sojuszu polsko-francuskiego w walce podziemnej. 2) Przygotowanie widocznego udziału Polaków w ewentualnej akcji powstańczej Francuzów, ale nie wcześniej, aż dopiero gdy taka akcja nastąpi. 3) Zapewnienie dyspozycyjności politycznej ludności polskiej we Francji, Belgii i Holandii wobec prawowitego rządu R.P. w Londynie. 4) Przygotowanie ponownej mobilizacji Polaków po uwolnieniu Francji. Pomimo rzadkich kontaktów radiowych i listownych, rozumieliśmy się świetnie z Librachem i dzięki tej naszej współpracy zaczęła się wytwarzać z czasem wspólna doktryna pomiędzy nami i Londynem. Gdy w grudniu 1942 wysłałem do Londynu Cz. Bitnera, szefa kwatery głównej P.O.W.N., m. in. z propozycją oficjalnego uznania naszych zadań, takich, jak je sobie nakreśliliśmy, niebardzo byłem pewien powodzenia. Przywiózł on mi jednak w lecie 1943 instrukcją ramową, ostatnią o zasadniczym znaczeniu politycznym, jaką otrzymałem, podpisaną przez gen. Sikorskiego na krótko przed jego śmiercią i całkowicie odpowiadającą naszym postulatom. Zadania, związane z desantem sojuszników, tzw. ,,Operacja Bardsea'', polegająca na dokonaniu serii sabotaży na tyłach frontu niemieckiego w Północnej Francji, została nam zlecona, w zarysie, dopiero w 1942 r. i była koncesją ze strony polskiej wobec wymagań sztabu angielskiego, a od połowy 1943 r. na rzecz sztabu sojuszniczego gen. Eisenhowera.

Z uśmiechem czytałem w relacji Zabiełły o tym, jak mu

,,meldowałem'' o próbie nawiązania ze mną kontaktu przez por. (nie zaś pułkownika) Wolffa w imieniu komunistów polskich, w jesieni 1942 roku i jak on mi ,,polecił'' ,,nie stronić od możliwej współpracy'', a także gdy pisze, że : ,,O ile się orientuję, po moim aresztowaniu kontakt nie został utrzymany'', z czego można byłoby wnioskować, że przecież był nawiązany.

W rzeczywistości ograniczyłem się jedynie do poinformowania Zabiełły o rozmowie, w której Czesław Bobrowski, bardzo blisko wówczas współpracujący ze mną, wspominał mi, jakby mimochodem, bez nalegania, że poznał por. Wolffa, działającego w szeregach komunistycznej organizacji polskiej O.P.O. (Organizacja Pomocy Ojczyźnie) i że może byłoby wskazane, abym się z nim spotkał. Sugestii tej nie podjąłem, gdyż, pomijając moją osobistą postawę polityczną, nie miałem prawa jej przyjąć. P.O.W.N. nie była moim prywatnym folwarkiem, lecz jednym z narzędzi polskiej polityki wojennej. Instrukcje, jakie otrzymywałem, przedtem i potem, z Londynu, bezpośrednio od St. Mikołajczyka, który po prof. Kocie objął min. spraw wewnętrznych, a po śmierci gen. Sikorskiego — premierostwo, zobowiązywały mnie do zapewnienia dyspozycyjności emigracji polskiej we Francji wobec legalnego rządu R.P., oraz do strzeżenia bezpieczeństwa i całości organizacji aż do chwili jej masowego wystąpienia. Z uwagi na bezpieczeństwo, utrzymywaliśmy w tym czasie zaledwie sporadyczne kontakty z francuskim ruchem oporu. Cóż dopiero mówić o O.P.O., która nas zacięcie zwalczała, m.in. kolportując ulotkę, przestrzegającą robotników polskich przed wstępowaniem do ,,faszystowskiej organizacji P.O.W.N., na czele której stoi znany sanacyjny konsul przedwojenny'', co było równoznaczne z dekonspiracją mego nazwiska wobec Gestapo. Muszę zresztą obiektywnie stwierdzić, że ze strony komunistów nie było nigdy próby nawiązania z nami kontaktu organizacyjnego, podobnie zresztą, jak z naszej. Miałem wrażenie, że komuniści polscy dążyli do opanowania naszej organizacji od dołu, przez infiltrację, zresztą bezskutecznie.

Nieściśle przedstawia Zabiełło doniosłą zresztą konferencję, która odbyła się u niego, w Chatel Guyon, w dniu 7 listopada 1942 z udziałem gen. Kleberga, pułk. dypl. Jaklicza i moim. Doszło wówczas do rozgraniczenia zadań pomiędzy podległymi gen. Klebergowi jednostkami wojskowymi, zgrupowanymi w kompaniach pracy i w schroniskach oficerskich i podoficerskich, a P.O.W.N., jako organizacją terenową walki czynnej z okupantem. Nie było mowy o podporządkowaniu się P.O.W.N. gen. Klebergowi ,,w dziedzinie przygotowań do zadań i akcji powstańczych'', choćby z tego powodu, że działalność generała była zlokalizowana w południowo-wschodniej części Francji, gdy sieć placówek P.O.W.N. pokrywała w tym czasie już całą Francję, a główny ciężar naszych zadań przesuwał się do departamentów północnych. O dowodzeniu metodami taktycznymi na obszarze od Pirenejów do Ardenów nie mogło być mowy, nikt

z nas, ani gen. Kleberg, ani ja, nie posiadał ani odpowiedniego aparatu dowodzenia, ani środków przewozowych i transmisyjnych. Ustaliliśmy, że każda organizacja w okresie wyzwolenia działać będzie do pewnego czasu samodzielnie: kompanie pracy przekształcą się w regularne oddziały wojskowe, placówki P.O.W.N. włączą się w wystąpienia powstańcze francuskiego ruchu oporu na swoich obszarach działania. Dopiero po uwolnieniu Francji miało nastąpić przejście zmobilizowanych sił P.O.W.N. pod dowództwo wojskowe. Gdy gen. Kleberg opuścił Francję, kontynuowałem moją współpracę z pułk. dypl. Jakliczem, który po nim objął dowództwo wojskowe we Francji. Niestety, nieszczęśliwy i jeszcze dziś dla mnie niezrozumiały rozkaz, odwołujący pułk. Jaklicza wiosną 1944 roku do Londynu, pozbawił nas w decydującej chwili współpracy tego wybitnego oficera. Jego następca, pułk. inż. K. Gaberle, podporządkował się mnie, jako szefowi głównemu P.O.W.N. i już w tym czasie delegatowi rządu.

Nie rozumiem, jakie spotkania pomieszał Zabiełło, pisząc jednym tchem o przeprowadzonej przez niego w dn. 10 listopada 1942 r., w Lyonie, rzekomej „odprawie" kierownictwa POWN, Związku Polaków, miejscowego Biura Polskiego i lokalnej delegatury TOPF-u. Odprawa taka nie mogła się odbyć choćby dlatego, że P.O.W.N. była organizacją tajną, która, jako taka, nie mogłaby uczestniczyć w zebraniu organizacji jawnych i legalnych, z udziałem urzędu, jakim było biuro polskie. Nie przypominam sobie, abym w podobnej „odprawie" brał udział. Sądzę, że w zawodnej pamięci autora szereg indywidualnych spotkań skojarzył się w jedną całość, ozdobioną wojskowym określeniem „odprawy".

Bodaj, że wyczerpałem listę nieścisłości, popełnionych przez Zabiełłę wobec P.O.W.N. z powodu braków pamięciowych. Przechodzę z kolei do błędów, których autorowi o jego ciężarze gatunkowym nie wolno było popełnić, gdyż polegają one na powtórzeniu wersji niesprawdzonych, częściowo dotyczących wydarzeń, które zaszły po jego aresztowaniu i których nie powinien był relacjonować, nie będąc ani ich aktorem, ani bezpośrednim obserwatorem.

Pisze Zabiełło, że w przewidywaniu swego nieutrzymania się w terenie po zajęciu przez Niemców południowej strefy Francji w listopadzie 1942 r. wybrał na swego następcę min. pełn. Tytusa Komarnickiego, m. in. dlatego, że „będzie dostatecznym autorytetem dla mych współpracowników, odznaczających się dużym poczuciem klanowości".

Brakuje wyjaśnienia, o jaką klanowość chodzi. Chłopską, urzędniczą, jockey-klubową? Bo gdyby chodziło o klanowość emeszecką, zakładając, że w tych ciężkich czasach nie mieliśmy poważniejszych kłopotów, to Komarnicki miałby o wiele więcej danych od swego poprzednika, aby być uznanym przez najbardziej rasowych klanistów resortowych, choćby dlatego, że przewyższał nas wszystkich wiekiem, rangą i starszeństwem w służ-

bie zagranicznej, a poczucie porządku i dyscypliny było jeszcze wówczas silnie zakorzenione w naszych umysłach.

Pisze dalej Zabiełło, że się pomylił w swoich przewidywaniach, gdyż ,,wybór ten wywołał poważne niezadowolenie mych współpracowników, kierujących P.O.W.N., którzy liczyli, że im przypadnie sukcesja po mnie, a już wtedy, w depeszach, wysyłanych we własnym zakresie do rządu w Londynie, sugerowali dość przejrzyście, że wobec niechybnego mego nieutrzymania się we Francji, to wśród nich Londyn powinien dokonać wyboru mego następcy. Chwilowo przyjęli bez protestu moje wyznaczenie, ale po mym aresztowaniu wręcz sabotowali pracę Komarnickiego i zmusili go wreszcie do rezygnacji i wyjazdu do Anglii''.

Aby przeanalizować małostkowość przytoczonego ustępu, muszę zacząć od stwierdzenia zawartej w nim sprzeczności. Po 11 listopada 1942 roku kontakty pomiędzy Grenoblą, Lyonem (gdzie w tym czasie mieszkałem) i Chatel Guyon zostały ograniczone do niezbędnego minimum ze względów bezpieczeństwa. Miałem z Zabiełłą przed jego aresztowaniem tylko jedno spotkanie, podczas którego starałem się nakłonić go, jako najbardziej spośród nas będącego na widoku, do ukrycia się i kontynuowania swych prac w sposób tajny. Powiedział mi, że przygotowuje się do opuszczenia Chatel Guyon i że przeniesie się prawdopodobnie w okolice Nicei. Częściej spotykał go Wiesław Dąbrowski, przebywający wówczas jeszcze prawie stale w Vichy. Ani mnie, ani jemu Zabiełło nigdy nie wspomniał o swoim zamiarze zapronowania Londynowi wyznaczenia na jego miejsce Tytusa Komarnickiego. Dopiero po jego aresztowaniu przybył do Grenoble Kazimierz Sośnicki i zawiadomił mnie i Dąbrowskiego o decyzji Zabiełły. Jakże więc kierownicy P.O.W.N. mogli w depeszach, wysyłanych do Londynu zwalczać kandydaturą Komarnickiego, skoro o niej nie wiedzieli? I skoro byli przekonani, że Zabiełło przejdzie do podziemia dostatecznie wcześnie, aby się uchronić przed aresztowaniem? Konia z rządem, Panie Stanisławie, jeżeli znajdzie Pan, lub wyznaczona przez Pana osoba chociaż jedną depeszę o treści, którą Pan przypisuje kierownikom P.O.W.N., w archiwach Akcji Kontynentalnej, przechowywanych w Londynie, lub gdzie indziej.

Z Tytusem Komarnickim spotykałem się tajnie w okresie: luty-maj 1943 w mieszkaniu naszego kolegi, konsula Wł. Mierzyńskiego w La Tronche, jednym z przedmieść Grenoble. Raziła go, oczywiście, moja podwójna zależność służbowa, ale zdawał sobie sprawę z tego, że wynikała ona nie z mojej chęci, lecz z woli rządu, wobec którego byliśmy obaj odpowiedzialni. Nie przypominam sobie żadnego nieporozumienia, ani nawet poważniejszej różnicy zdań. Sprawa straciła zresztą na znaczeniu (o ile je kiedykolwiek miała), gdyż na skutek próby aresztowania mnie w dniu 23 grudnia 1942 r. musiałem się ukrywać i nie mogłem już pełnić moich funkcji jawnych przy delegacie rządu. W maju 1943 roku przeniosłem moją kwaterę główną do Paryża i w pracach ośrodków legalnych nie mogłem już brać udziału.

O ile mi wiadomo, Tytus Komarnicki opuścił Francję jednocześnie z Czesławem Bobrowskim w październiku 1943, gdyż w wyniku masowych aresztowań wśród Polaków w byłej strefie nieokupowanej byli obaj aktywnie poszukiwani przez Gestapo. Dlaczego i za jaką to panią matką powtarza Zabiełło pacierz o sabotowaniu Komarnickiego przez kierowników P.O.W.N. skoro nie był już aktorem, ani bezpośrednim świadkiem wydarzeń, zaszłych po jego aresztowaniu?

Ponieważ nie ma dymu bez ognia, przypuszczam, że jego informatorzy, nie zadawszy sobie trudu, aby sprawdzić dokumenty w archiwach, pomieszali dwa okresy. Istotnie, po wyjeździe Tytusa Komarnickiego, ale dopiero wtedy, wystąpiłem do Londynu z wnioskiem o skupienie w moich rękach kierownictwa całością spraw polskich we Francji. Nie czekając zresztą na decyzję, objąłem to kierownictwo samorzutnie, bo tak mi nakazywało moje poczucie odpowiedzialności. Weszliśmy wówczas w okres zaostrzonej akcji represyjnej ze strony Gestapo i masowej akcji sabotażowej ze strony francuskiego ruchu oporu. Polskie organizacje legalne, dziesiątkowane aresztowaniami, mogły ulec zniszczeniu, a przecież mieliśmy przed sobą zasadnicze zadanie ujawnienia się w związku z całkowitą już pewnością uwolnienia Francji w bliskiej przyszłości przez desant armii sojuszniczych. Dzięki instrukcjom otrzymywanym z Londynu i dzięki obecności przy mnie oficera angielskiego, opracowującego z nami szczegóły wykonania operacji ,,Bardsea'', byłem lepiej niż ktokolwiek spośród Polaków we Francji poinformowany o nadchodzących wydarzeniach. Stałem na stanowisku, że ujawnienie się podziemnych organizacji polskich powinno zapewnić bezpieczeństwo organizacjom legalnym w przejściu do nowych zadań, a to powinno być skoordynowane przez jeden ośrodek kierowniczy. Z chwilą, gdy wygasły możliwości kierownictwa pół jawnego, należało je sprawować metodami tajnymi. Było to o tyle ułatwione, że zarządy i szeregi organizacji legalnych były już spenetrowane przez P.O.W.N. i tajnie przez nas opanowane na zasadach dyscypliny wojskowej czasu wojny. W kołach rządowych Londynu panowało również raczej zrozumienie tej konieczności skoordynowania całości prac polskich we Francji, ociągano się jednak z decyzjami, z powodów, jak mi wolno przypuszczać, wewnętrzno-politycznych, dotyczących m.in. także mojej skromnej osoby. W końcu zdecydowano się przeprowadzić tę operację w dwóch etapach. Najpierw mianowano Wiesława Dąbrowskiego, mego zastępcę i przyjaciela osobistego, delegatem ministerstwa spr. zagranicznych, a w jakiś czas później otrzymałem depeszę szyfrowaną premiera, mianującą mnie tajnym delegatem rządu. Decyzje te ułatwiły nam koordynację wystąpienia polskiego ruchu oporu równocześnie z Francuzami w sierpniu 1944 r., przygotowanie ujawnienia się ambasady i urzędów konsularnych, oraz sieci organizacji opiekuńczych, społecznych i kulturalnych. Bez powzięcia tych decyzji niełatwa byłaby sytuacja wojska (po wyjeździe gen. Kleberga i pułk. dypl. Jaklicza),

które nie miało żadnego powodu podporządkowania się, choćby tylko dla celów koordynacyjnych, szefowi głównemu POWN, a mogło to uczynić w sposób naturalny wobec delegata rządu. Podkreślam jednak, że ten proces scaleniowy zaczął się i został przeprowadzony dopiero po wyjeździe Tytusa Komarnickiego i że nawet z punktu widzenia formalistów z londyńskich biur personalnych był w naturalnym rzeczy porządku, ponieważ wśród pozostałych w tym czasie we Francji urzędników M.S.Z. byłem najstarszy stopniem i funkcją, a w dodatku jednym z dwóch posiadaczy niewygasłych axequatur z podpisem prezydenta Republiki Francuskiej.

Ostatnia z wymagających wyjaśnienia nieścisłości w relacji Zabiełły dotyczy opisu przesłuchiwania go przez Gestapo. Z olimpijską pewnością siebie i na pewno z dobrą wiarą pisze Zabiełło: „Z paru przechwyconych depesz szyfrowych Kawałkowskiego, podpisanych jego pseudonimem „Justyn", w których wymieniał często moje nazwisko, wiedzieli, że szef tej tajnej organizacji był w moim bezpośrednim otoczeniu i naciskali, abym podał, kto to jest".

Rzecz w tym, że z zasady nie podpisywałem moich depesz pseudonimem „Justyn", o czym Zabiełło nie wiedział, a co łatwo sprawdzić w archiwach Akcji Kontynentalnej. Pseudonimu tego używałem tylko w wewnętrznym życiu organizacyjnym i w rozkazach dziennych. Licząc się z możliwością penetracji wywiadu niemieckiego do biur polskich w Londynie, depesze podpisywałem różnymi imionami, zmieniając je po każdym aresztowaniu kogoś ze starszyzny organizacyjnej, lub po schwytaniu przez Gestapo obsługi którejś z moich stacji radiowych i informując Londyn o zaszłej zmianie ostatnią depeszą, podspisaną znanym jeszcze moim władzom pseudonimem. Od powstania organizacji aż do pierwszych aresztowań podpisywałem depesze pseudonimem „Hubert", a następnie (choć nie przypominam sobie kolejności): Roland, Max, Bernard, Mars, Valmy, przy czym wcale nie jestem pewny, czy wyczerpuję listę. Wbrew temu, co Niemcy Zabielle powiedzieli przy badaniu, nazwiska jego nie wymieniałem w depeszach z tego prostego powodu, że nie było mi to do niczego potrzebne. Sprawa jest niesłychanie jasna: Gestapo znała mój pseudonim „Justyn", spreparowała więc depeszę, rzekomo przeze mnie wysłaną i „przechwyconą", umieszczając w niej nazwisko Zabiełły, który, najwidoczniej, jak o tym świadczy jego relacja, dał się „nabrać" na ten klasyczny i nawet niezbyt inteligentny chwyt policyjny. Moim zdaniem zresztą Niemcy wiedzieli w chwili aresztowania Zabiełły, kto się ukrywa pod pseudonimem „Justyn", a jeżeli nie, to dowiedzieli się o tym mniej więcej w tym samym czasie, skoro 23 grudnia 1942 a więc w 2 tygodnie po uwięzieniu Zabiełły przybyło do mego mieszkania w Lyonie 5 milicjantów Darnana, żeby mnie zaaresztować. Ofiarą tego najścia padł mieszkający wspólnie ze mną Piotr Kalinowski. Wszystkie moje poruszenia w życiu nielegalnym opierały się na założeniu, że jestem

rozpoznany przez Gestapo z nazwiska i funkcji, a brakuje jej tylko jednego elementu, ale zasadniczego: mego adresu. Uważałem więc że cała sztuka utrzymania się na wolności polega na ciągłych zmianach miejsca pobytu i na legitymowaniu się autentycznymi dokumentami na cudze, francuskie — oczywiście, nazwiska. Organizacja nasza doszła w tej dziedzinie do dużej wprawy, to też posiadałem w samym tylko Paryżu 4 mieszkania tajne i byłem zawsze zaopatrzony w autentyczne dokumenty. Jako Monsieur Soullier w lecie 1944 roku, rozporządzałem aż 14 prawdziwymi legitymacjami po zaginionym w czasie wojny ich prawym posiadaczu, a jego żona, zamieszkała w Neuilly-Plaisence, pod Paryżem, miała obowiązek przyznania się do mnie w wypadku, gdybym został schwytany w jakiejś obławie. Na szczęście dla niej i dla mnie taka potrzeba nie zaszła.

O tym, jak dalece świetna kiedyś pamięć zawiodła (nie chcę powiedzieć — opuściła) Zabiełłę, świadczą zniekształcone przez niego nazwiska. Generalny dyrektor urzędów polskich z nominacji francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, Paul Chastand, nazywa się u Zabiełły Chastemps, a nasz wypróbowany przyjaciel z ministerstwa pracy w okresie vichańskim, major Lautur, przerobiony został na Latour. Stąd jeszcze jedna wskazówka dla autorów relacji, aby sprawdzali podawane przez siebie fakty bądź przy pomocy badań archiwalnych, bądź, gdy to nie zawsze jest możliwe, przy pomocy innych, żyjących uczestników wydarzeń. W każdym zaś wypadku obowiązkiem autora relacji jest oprzeć się pokusie podawania cudzych i nie sprawdzonych przez siebie wersji, chyba, że podaje je na wyraźną odpowiedzialność wskazanych przez siebie źródeł.

Al. KAWAŁKOWSKI

P.S.: Prace polskie we Francji zostały częściowo opisane w wydanej przez Polską Wojskową Misję Likwidacyjną w Paryżu w r. 1946 broszurze pt. „Wojskowy i Konspiracyjny Wysiłek Polski we Francji 1939-45". Jej autor, Wł. Pobóg-Malinowski, uchylił się od firmowania tekstu z uwagi na liczne kompromisy ze ścisłością historyczną, do których zmuszony został przez wydawców, pragnących nikogo nie urazić.

Historia i interpretacja

Czterdziestolecie niepodległości nie mogło być przemilczane w Kraju. Zbyt bliski jest duchowy związek między wolnymi Polakami a wielką masą narodu, a w szczególności coraz to samodzielniej myślącą młodzieżą, aby fakt odzyskania niepodległości w 1918 mógł być pominięty, a cóż dopiero

wymazany z pamięci. Pojawiły się tedy przyczynki historyczne i pojawić się musiała interpretacja.

Przyczynkiem najbardziej interesującym, choć z pozoru drobnym jest ogłoszony w warszawskim ,,Świecie" (Nr 48 z 30 listopada) list Izy Moszczeńskiej do późniejszego ambasadora Polski komunistycznej w Rzymie, Stanisława Kota. List ten pisany z Warszawy do Krakowa w dniach 11, 12 i 15 listopada 1918 stanowi dokument chwili: zawiera żywą sylwetkę przeżywanych wypadków, częściowo z własnej bezpośredniej obserwacji, daje obraz rozgardiaszu w jaki popadli tzw. aktywiści, notuje różne epizody tych przełomowych dni. Najważniejszy wydaje się jednak sam fakt odnalezienia ,,w jednym z archiwów polskich... sporego zbioru korespondencji, adresowanej do prof. Stanisława Kota". Jeżeli ta niesprecyzowana wiadomość zawiera coś niecoś prawdy, to można oczekiwać dalszych ciekawych odkryć, szczególniej jeśli odnaleziono krakowskie, może i NKN-owe zbiory.

List Moszczeńskiej ,,sprzed czterdziestu lat" poprzedziły w ,,Świecie" (Nry 45, 46 i 47 z 9, 16 i 23 listopada) trzy artykuły-reportaże Wiesława Górnickiego, napisane ,,w czterdziestą rocznicę drugiej Rzeczypospolitej" pod szumnym tytułem ,,Genesis polska, Legenda o Czerwonym Hetmanie". Artykuły te sprawiają zawód, bowiem zawarte w nich przyczynki faktyczne ograniczają się do dwóch szczegółów. Jednym z nich jest informacja o zebraniu odbytym 2 listopada 1918 w mieszkaniu Artura Śliwińskiego (Piękna 11 m. 10), na którym Konwent A wyłonił tzw. Rząd lubelski. Drugim jest wiadomość o ,,dramatycznej scenie przed Zamkiem", na której dojść miało do chwilowego zachwiania autorytetu Piłsudskiego i do wywieszenia przez demonstrantów z PPS czerwonego sztandaru. Górnicki umieszcza te zdarzenia w dniu 13 listopada, podczas gdy współczesny list Moszczeńskiej mówi o poniedziałku 11 listopada, przy czym i ona sama nie była świadkiem tych zdarzeń. Dlatego oba opisy budzą wątpliwość i cała opowieść wymaga dokładniejszego i bezstronnego zbadania.

Wiesław Górnicki odznaczył się już przedtem — w opowieści o ,,Trzech Skandalach" i w reportażach o emigracji — jako jeden z publicystów, którym zlecono specjalne zadanie w określonym celu. W danym wypadku celem było dowieść, iż ,,niepodległość Polski... nie została przez nikogo wywalczona", że ,,w Polsce nie było... wskrzesiciela i wybawcy", że Piłsudski i jego walka o wyzwolenie — to ,,legenda", a POW wcale nie rozbroiła Niemców w owe dni listopadowe, jeżeli zresztą w ogóle kiedykolwiek istniała. Ustaliwszy te wszystkie fakty, łatwo już było skonstatować — *,,czto i triebowałoś dokazat"*, jak to nas kiedyś w szkołach Priwislinja uczono — że Polskę wskrzesiły Moskwa i Berlin, w postaci ich rewolucji.

Do tych wszystkich argumentów dodać oczywiście należało próbę osobistego zniesławienia .Nie gorszy od Ireny Pannenkowej (,,Legenda Piłsudskiego"), Górnicki twierdzi, że Piłsudski" żył z pieniędzy partyjnych... później z pieniędzy austriackiego sztabu generalnego i składek społecznych, wreszcie z pensji w Tymczasowej Radzie Stanu". Po czym paszkwilant spostrzega się, że przeholował i nagle, na tej samej stronicy wymienia jego ,,nieprzeciętną indywidualność" : ,,jego życie od początku do końca przenika głęboka, kryształowa wręcz uczciwość i bezinteresowność w sensie korzyści osobistych". Pokazuje się więc, że społeczeństwo krajowe, a w szczególności młodzież, nie są już dzisiaj zdolne do strawienia pewnej miary kłamstw, i że nawet dziennikarze w służbie partyjnej prasy zmuszeni są do ostrożności i do spoglądania na obie strony.

Wzgląd na obudzoną opinię musieli mieć także na uwadze autorzy ,,tez", ogłoszonych przez Centralny Komitet PZPR w miesiąc po rocznicy (,,Trybuna Ludu" z 11 grudnia 1958). Oczywiście formuły obowiązujące w Sanhedrynie komunistycznym zostały zachowane: ,,40 Rocznica" dotyczy założenia partii, nie zaś proklamowania niepodległości, momentem

szczytowym historii Polski było nie odbudowanie państwa, a „zjednoczenie... dwóch partii marksistowskich, SDKPiL oraz PPS-lewicy"; „zwycięstwo Rewolucji Październikowej (w Rosji) otworzyło nową epokę historyczną", nie było nią wcale dla Polski wyzwolenie narodu. Po czym rozdział I tez — „Przełomowy Rok 1918" — zawiera niespodziewaną krytykę polskiej partii komunistycznej w tym okresie. „KPP nie uświadamiała sobie... że najbardziej palącymi sprawami, wokół których koncentrowały się wówczas dążenia i walka polskich mas ludowych, było wyzwolenie i zjednoczenie narodowe, utworzenie niepodległego państwa, ustanowienie swobód demokratycznych". A dalej: „KPP nie zdawała sobie wówczas sprawy z konieczności połączenia w jeden nurt rewolucyjny patriotycznych, niepodległościowych i demokratycznych dążeń szerokich rzesz narodu z klasowymi dążeniami...". Ta krytyka prowadzi w końcu do zasadniczej konkluzji: „Odzyskanie niepodległości było historycznym zwycięstwem narodu polskiego. Okupione zostało wysoką ceną krwi przelanej w powstaniach narodowych, w walkach ludu polskiego na barykadach rewolucji demokratycznych... we wspólnej z proletariatem rosyjskim walce przeciw carskiej tyranii. Dzięki zrzuceniu jarzma zaborów i zjednoczeniu się narodu we własnym państwie, oczyszczone zostało pole do dalszych walk klasowych...".

Autorzy tej dość nieoczekiwanej pod piórem komunisty tezy musieli mieć przed oczyma odezwy i artykuły PPS sprzed pierwszej wojny. W każdym zaś razie musieli zdawać sobie sprawę dzisiaj z nastrojów i z przekonań panujących w masach polskich, dla których niepodległość nie przestała być koniecznym warunkiem egzystencji narodu.

Michał SOKOLNICKI

Wolne miasto Gdańsk

Obecnie kiedy znowu rzucono projekt utworzenia fikcji w formie „wolnego miasta" Berlin, obejmującego zresztą tylko zachodnią strefę tego miasta, nie od rzeczy będzie rzucić nieco światła na rolę dawnego wolnego miasta — Gdańska.

Niezwykle pouczającą lekturą, która przekona każdego jakim nonsensem był ten sztuczny twór państwowy Traktatu Wersalskiego, są pamiętniki dwóch prezydentów Senatu (do objęcia władzy przez hitlerowców): dr. Heinricha Sahma i dr. Ernesta Ziehma. Pierwszy był prezydentem Senatu od grudnia 1920 do stycznia 1931 r., a drugi zasiadał od 1920 r. w Senacie, w latach 1920-24 był zastępcą prezydenta Senatu, a od stycznia 1931 r. do maja 1933 r. prezydentem. Uzupełniając je wspomnieniami pierwszego hitlerowskiego władcy Gdańska, Hermana Rauschninga, otrzymamy wyjątkowo przekonywujące dowody przeciwko koncepcji wolnych miast. Chcielibyśmy jednak na tym miejscu odsłonić przede wszystkim negatywną rolę, jaką Gdańsk odegrał wobec Polski.

Nie było dla nikogo — przed wojną — tajemnicą, że Gdańsk jest ośrodkiem wszelkiego rodzaju akcyj skierowanych przeciwko państwu polskiemu. Oczywiście nie tylko niemieckich. Położenie Gdańska, łatwość

komunikacyjna z Polską niejako predystynowały to miasto na centralę łącznikową organizacji podziemnych, szczególnie iż mogły one liczyć co najmniej na życzliwą obojętność władz gdańskich. A w wielu wypadkach nawet na serdeczną pomoc.

Gdańsk był w różnych okresach siedzibą władz partii komunistycznej Polski, miejscem czasowego pobytu poszczególnych jej przywódców. Tędy zazwyczaj wędrowali do ZSSR, względnie na Zachód, tutaj zaopatrywali się w fałszywe dokumenty po ucieczce z Polski. Byłoby oczywiście wręcz niezrozumiałe, gdyby także podziemne organizacje ukraińskie nie korzystały z możliwości jakie dawało, wolne miasto Gdańsk.

Niezwykle interesujące szczegóły, gdy chodzi o znaczenia Gdańska dla podziemnych organizacji ukraińskich, ujawnił publicysta ukraiński, zamieszkały obecnie w Toronto, a piszący pod nazwiskiem P. Tereszczuk. Specjalizuje się on w zagadnieniach dawnego ukraińskiego ruchu podziemnego w Polsce, w którym brał czynny udział. Ogłosił on ostatnio szkic o zmarłym we wrześniu ub.r. inż. Andrzeju Fedynie, kierowniku ekspozytury Gdańsk podając szereg nieznanych, a wręcz sensacyjnych szczegółów, pozostawionych w papierach zmarłego.

Fedyna znalazł się w szeregach Ukraińskiej Organizacji Wojskowej jeszcze w szkole średniej (gimnazjum w Przemyślu) i należał do ściślejszego grona przywódcy Eugeniusza Konowalca. Z osobą Fedyny spotykamy się w akcie oskarżenia, przygotowanym przez wiceprokuratora Władysława Żeleńskiego w sprawie St. Bandery i jedenastu współoskarżonych w procesie warszawskim w 1935 r. Zawiera on mnóstwo informacji o działalności OUN — następczyni UOW — nie tylko w Gdańsku, lecz i w Czechosłowacji, Niemczech, Litwie itp.

Prokurator Żeleński dysponował najobszerniejszym zestawem tajnych materiałów ukraińskich, a mianowicie tak zwanym archiwum Senika. Ten zbiór, liczący 418 oryginalnych dokumentów i 2.055 odbitek fotograficznych, udostępniony został przez władze bezpieczeństwa Czechosłowacji. Omelian Senik stał na czele biura OUN w Czechosłowacji, bodajże najważniejszego ośrodka zagranicznego.

Władze czechosłowackie odgrywały do końca 1932 r. rolę opiekuna ukraińskiej emigracji i jej bojowych organizacji, działających na terenie Polski, a zmieniły swoje nastawienie dopiero w następstwie bardzo znacznego zbliżenia między Konowalcem a hitlerowcami. Niebezpieczeństwo hitlerowskie spowodowało również krótkotrwałe odprężenie w stosunkach polsko-czechosłowackich i wówczas to Praga udzieliła polskim władzom bezpieczeństwa wglądu do archiwum Senika. Dokumenty te policja czeska uzyskała przeprowadzając w połowie października 1933 r. rewizje w mieszkaniach i lokalach czołowych działaczy OUN. Aresztowany został wówczas kierownik centrali w Pradze Martynec oraz jego najbliżsi współpracownicy. Nie spowodowało to katastrofy dla organizacji, którą przeniesiono do bezpieczniejszego Wiednia, natomiast zainteresowane państwa — jak Czechosłowacja i Polska — uzyskały wiele tajnych materiałów — co nie mogło pozostać bez poważnego politycznego wpływu. Ale to sprawa oddzielna. Powróćmy do ekspozytury gdańskiej.

Tereszczuk publikuje obszerne wyjątki nieogłoszonego dotychczas pisma inż. Fedyny o działalności w Gdańsku. Czytamy tam m.in.: „W latach 1929-1934 ośrodek w Gdańsku był najważniejszym operacyjnym punktem OUN w drodze do kraju i z kraju. W tym czasie dostarczono do kraju przez Gdańsk dziesiątki tysięcy egzemplarzy „Surmy" i innych rewolucyjnych wydawnictw, gdyż wszystkie inne drogi, szczególnie przez Karpaty, były trudne, kosztowne a przede wszystkim niebezpieczne.

W tym okresie czasu transporty te załatwiała nie jakaś specjalnie do tego celu przeszkolona grupa, lecz ludzie, którzy uważali, iż jest to ich

narodowym obowiązkiem. Nie uważali oni bynajmniej, iż podejmując się tego stają się jakimiś szczególnymi bohaterami. *Transportem nielegalnej literatury zajmowali się również ówcześni członkowie naszego parlamentarnego przedstawicielstwa. Ładowali oni w konspiracyjnych lokalach „Surmę" i wozili ją do Warszawy czy nawet aż do Lwowa i ani razu żaden z tych transportów nie wpadł w ręce polskiej policji. Mogliśmy się z nimi nie zgadzać w sprawie taktyki walki wyzwoleńczej, lecz oni rozumieli konieczność istnienia naszej organizacji i wyświadczali jej usługi. Należy również podkreślić, że byli wśród nich także członkowie naszego duchowieństwa* (Podkreślenia moje B.H.).

Celem usprawienia transportu stworzona została specjalna komórka w Gdyni, własny ośrodek transportowy. Działała ona przez około półtora roku i tak jak została przez nas stworzona tak też została zlikwidowana. Mimo iż tędy przewieźliśmy tysiące egzemplarzy „Surmy" ani jeden numer nie wpadł w ręce policji polskiej".

Powyższe stwierdzenie dowodzi, że Fedyna potrafił zorganizować i utrzymać doskonały aparat transportowy, korzystając również z usług posłów ukraińskich. Oczywiście byli to najbardziej bezpieczni łącznicy, których chroniła legitymacja poselska. Ta informacja Fedyny świadczy — dziś ma to znaczenie czysto historyczne — że zarzuty wysuwane pod adresem ukraińskich parlamentarzystów o współpracy z ruchem nielegalnym były jednak ścisłe. Zainteresowani oczywiście zaprzeczali w sposób jak najbardziej stanowczy, często nawet oficjalnie odcinali się od podziemia ukraińskiego, które zresztą — znowu tylko formalnie — nie szczędziło krytyk parlamentarnej reprezentacji. Fakt istnienia współpracy — porozumienia — między przywódcami legalnych stronnictw ukraińskich a nielegalnymi rzuca wysoce charakterystyczny refleks na ówczesny stan rzeczy, na całą naszą politykę wobec Ukraińców. Dziś moglibyśmy powiedzieć, że ta współpraca była wręcz naturalna i wskazalibyśmy np. na Cypr. Bez zbytniego zdziwienia stwierdzilibyśmy jedynie istnienie dwóch równorzędnych kierunków, zmierzających do tego samego celu. I jak to Fedyna zwięźle określa „mogliśmy nie zgadzać się w sprawach taktyki walk wyzwoleńczych, ale oni rozumieli konieczność istnienia naszej organizacji". Nie tylko zresztą organizacji, ale i form jej działania.

Fedyna twierdzi, że tyle nici skupiało się w Gdańsku, tyle spraw tam załatwiono, że dzieje ekspozytury zajmują czołowe miejsce w historii OUN.

„Tam zaszły wypadki posiadające jeszcze dziś wielką wagę w międzynarodowym układzie i dlatego przedwcześnie jeszcze jest je ujawniać. Zastosowano tam takie metody pracy, z których jeszcze dziś można korzystać zarówno w kraju, jak i zagranicą...".

A więc zasłona tajemnicy padła na technikę pracy. Wydaje się, że jest co najmniej przesadą twierdzić, iż wypróbowane w Gdańsku w latach trzydziestych metody pracy podziemnej mogą być dziś stosowane i to w warunkach systemu sowieckiego, niemniej jednak inż. Fedyna wolał zachować milczenie. Daje natomiast szerokie uzasadnienie znaczenia ekspozytury gdańskiej pisząc m.in. :

„Wskutek swojego specyficznego, politycznego położenia, Gdańsk był w tym czasie bliżej Lwowa, niż Łuck czy Warszawa. Przebywali tam członkowie organizacji, których trzeba było przez pewien czas przechować lub którzy potrzebowali odpoczynku. Żyli więc okresami członkowie, którzy po więzieniu potrzebowali spokoju, poprawy zdrowia, których trzeba było odpowiednio pomieścić, którzy, ze względu na nieznajomość języka potrzebowali opieki. Żaden z nich nie wpadł w ręce policji ani w drodze do Gdańska ani w powrotnej. Do Gdańska przybywali na organizacyjne spotkania, i to nie raz : Bandera, Stećko, Janiw, Kołodzińskij, Kordiuk i wielu

innych członków krajowego kierownictwa. Z drugiej strony (a więc z placówek zagranicznych, B.H.) — Ściborskij, Senik, Martynec i inni. Szczęśliwie przez Gdańsk, przejeżdżała w obie strony, *grupa bojowców udająca się na wyszkolenie do Prus Wschodnich oraz inna grupa na przeszkolenie z chorwackimi ustaszi. W Gdańsku, pod kierownictwem generałów Kurmanowicza i Kapuściańskiego, odbywało się wojskowe przeszkolenie byłych oficerów Ukraińskiej Galicyjskiej Armii*". (Podkreślenia moje B.H.).

Jak więc z tego wynika Gdańsk spełniał istotnie wyjątkowo wielką i różnoraką rolę dla OUN i kryptonimowe nazwy „Mimozówka", „Sakiewka" i „Przystań" ściśle określały jego funkcje i znaczenie. „*W Gdańsku*" — wywodzi dalej inż. Fedyna — „*płk Konowalec stworzył oddzielny referat dla Zjednoczonych Stanów Kanady i Płn. Ameryki*". Na czele jego stał Fedyna, utrzymując kontakt z ukraińskimi organizacjami i przywódcami w wymienionych państwach. „*Przez Gdańsk*" — czytamy dalej — „*przechodziły wszystkie przesyłki pieniężne z zagranicy dla kraju i nie było ani jednego wypadku, by nie doszły do miejsca przeznaczenia. Mam wrażenie, że polska policja nie znała drogi z jakiej korzystaliśmy*". (Podkreślenia moje B. H.).

W Gdańsku drukowano nielegalną gazetę niezależnego ruchu chorwackiego „Chrwatska Drżawa". Z Chorwatami łączyły nas wspólne dążenia do niezależności i dlatego pomagaliśmy sobie wzajemnie, gdzie to tylko było możliwe. *Z Kwaternikiem, czołowym członkiem kierownictwa chorwackich ustaszi i pierwszym ministrem spraw wojskowych nowej Chorwacji, łączyła mnie bliska znajomość*".

Informując, iż załatwił mu sprawy związane z wydawaniem nielegalnego pisma oraz wiele innych, rzuca dumnie wieloznaczące pytanie: „Kto z nas zna zasięg współpracy z Chorwatami w owym czasie?". (Podkreślenia moje B.H.).

Ale Fedyna odsłania jeszcze inne powiązania Ukraińców, rozmowy jakie toczyły się na terenie Gdańska, a które miały wielkie znaczenie dla organizacji.

„Kto wie o konferencji, w której z naszej strony brali udział płk. Konowalec, ja oraz trzeci członek organizacji, a z *drugiej strony z-ca szefa sztabu głównego jednego z ówczesnych mocarstw*? Na konferencji tej omawiano sprawy *mobilizacji ukraińskiego podziemia na wypadek wojny z Polską. Konferencja była określona jako ściśle tajna, gdyż omawiano na niej metody mobilizacji, były nakreślone i przedyskutowane punkty mobilizacyjne, dowództwa skupień, sprawy mundurowe, żywnościowe, medyczne, zaopatrzeniowe-zbrojeniowe łącznie z lekkimi działami. Wszystko to miało być dostarczone w pierwszej chwili w drodze powietrznej*. Widzę, że ze śmiercią płk. Konowalca i ta tajemnica znalazła się w jego trumnie, bo w 1939 r. nie było u nas żadnej podziemnej mobilizacji". (Podkreślenia moje B.H.).

Bardzo to ciekawe! I o łączności i o współpracy z Kwaternikiem i ustaszi, jak przede wszystkim o tej konferencji z zcą szefa sztabu wielkiego mocarstwa. Szkoda tylko iż Fedyna nie podał ani kiedy ta konferencja odbyła się i jakie to było państwo. Wolno przypuszczać, że spotkanie to mogło mieć miejsce nie później aniżeli na początku 1933 r. W takim wypadku w rachubę wchodzić mogły tylko Czechosłowacja lub Niemcy. Przesadą byłoby twierdzić, że pod względem militarnym były to wówczas mocarstwa. Czechosłowacja niewątpliwie reprezentowała wtedy nawet większy potencjał aniżeli Niemcy. Trudno oprzeć się wrażeniu, iż Fedyna ogromnie przecenił znaczenie tego spotkania. Uległ — wysoce zrozumiałej i bardzo rozpowszechnionej wśród działaczy podziemnych iluzji — brania za dobrą monetę nie tylko każdej oferty, ale i badania terenu. Czechosłowacja na pewno nie wszczynałaby akcji zbrojnej przeciwko Polsce, a nie groziła jej żadna akcja z naszej strony. Jeśli więc wojsko czechosłowackie badało

możliwości wyposażenia podziemia ukraińskiego, to chyba na własną odpowiedzialność. Należy wykluczyć istnienie poważnych planów zaczepnych wobec Polski.

Po dojściu do władzy Hitlera, Berlin nie wykluczał możliwości akcji prewencyjnej ze strony Polski i w wypadku takiej ewentualności dywersja ukraińska mogłaby być pomocna. Czy skuteczna to drugą sprawa. Dowodem jednak, iż strona przeciwna nie traktowała zbyt poważnie owej konferencji jest chyba dalszy rozwój wypadków i to jeszcze za życia płk. Konowalca, owego zdecydowanego rzecznika działań zbrojnych.

Wspomnijmy tutaj tylko marginesowo, gdyż do zagadnienia tego powrócimy oddzielnie, że w grudniu 1933 r. płk Konowalec został zaproszony do Berlina na konferencję. Przyjęli go gen. von Reichenau, jako przedstawiciel ministerstwa Reichswehry, oraz Diels, inspektor Gestapo. Przedłożyli mu szereg żądań oraz nakazali, by w przyszłości miast dotychczasowej akcji w Polsce wszcząć „instensywną nacjonalistyczną agitację" w sowieckiej Ukrainie. I jakkolwiek żądania niemieckie szły wbrew woli i ocenie sytuacji Konowalca, który zdawał sobie sprawę z przykrych dla niego i dla organizacji konsekwencji, przyjął je i już w lutym 1934 r. rozpoczęła się, po obradach kierownictwa OUN w Berlinie, budowa komórek dla akcji na ZSSR.

Fedyna, podkreślając wagę jaką płk. Konowalec przywiązywał do organizacji wojskowych, informuje, że „starał się umieszczać młodych członków organizacji *w szkołach oficerskich w Holandii, Włoszech, Niemczech i na Litwie. W jednych wypadkach udało się to, w innych nie. Również ci członkowie udawali się na miejsca przeznaczenia przez Gdańsk*". (Podkreślenia moje B.H.).

Osobny rozdział poświęca inż. Fedyna życiu społecznemu, kulturalnemu i politycznemu młodzieży ukraińskiej, studiującej w Gdańsku. Mówi z uznaniem o życzliwej pomocy władz gdańskich. Nie zapomniano również o szkoleniu wojskowym korzystając ze sprzętu gdańskiego. Chwali sobie stosunki z poszczególnymi osobistościami, których informował o sprawach ukraińskich. Wymienia przede wszystkim dr. Roehcke, dyrektora Instytutu Wschodniego, posła Martini, sen. Volkmanna oraz prez. Senatu dr. Sahma. W 1934 r. Fedyna został tak dalece „spalony", iż musiał wycofać się z życia organizacyjnego. Mógł wprawdzie przejść na inny teren, ale odrzucił te sugestie i uzyskał od Konowalca zwolnienie z organizacji. Przeniósł się do Kłajpedy, gdzie skończył studia.

Tereszczuk, publikujący wspomniane materiały Fedyny, zachowuje całkowitą dyskrecję o jego poczynaniach w latach wojennych. Zadawala się przytoczeniem urywków z nekrologów z pism ukraińskich, z których wynika, że ze strefy brytyjskiej w Niemczech Fedyna przybył w 1951 r. do Kanady, uzupełniając je informacją o udziale Fedyny w jednej z konferencji ABN w Niemczech.

Przytoczyliśmy obszerne wyjątki z pisma Fedyny, gdyż stanowią one najbardziej wyczerpujące dane, tyczące działalności organizacji ukraińskich na terenie wolnego miasta Gdańska. W. Martynec w swej pracy o ruchu podziemnym (Ukraińskie pidpillia wid UWO do OUN) ogranicza się w tej sprawie zaledwie do krótkiej wzmianki. Inne źródła są równie, albo jeszcze bardziej wstrzemięźliwe. Wiele materiału zawierają natomiast poufne biuletyny wydziału narodowościowego ministerstwa spraw wewnętrznych. Są to informacje pochodzące w przeważnej mierze ze źródeł policyjnych i konfidencyjnych. Niemniej jednak są one bardzo ścisłe i zawierają dla niektórych okresów najbardziej obiektywny i najbardziej wyczerpujące materiały. Ale, niestety nie zostały one opublikowane.

Benedykt HEYDENKORN

Konferencja w Spa

W roku ubiegłym ukazały się dwa nowe tomy dokumentów brytyjskich, dotyczących lat 1919-1920 (1). Są to tomy siódmy i ósmy, należące do pierwszej serii tego wydawnictwa. Z polskiego punktu widzenia tom ósmy zawiera szczególnie ciekawy materiał. Znajdujemy w nim pełne protokóły konferencji w Spa z lipca 1920 r., protokóły z rozmów brytyjskich z Kamieniewem i Krasinem, oraz z konferencji pomiędzy Millerandem i Lloydem George'em w Boulogne (27 VII) i w Hythe (8 i 9 VIII). Dla historyka wojny polsko-bolszewickiej dokumenty angielskie są pierwszorzędnej wagi i dzięki nim możemy nie tylko skorygować pewne nieścisłości, ale również uzyskać pełniejszy obraz polityki francuskiej i brytyjskiej.

Z protokółów w Spa, widzimy dokładnie kiedy Grabski rozpoczął negocjacje — niektóre polskie opracowania podają mylne daty — a także jak przedstawiał on polski punkt widzenia. Protokół z pierwszego spotkania, dnia 9 lipca, który możemy porównać z notatkami Weyganda w *Mirages et réalité* (wydanym w 1957 roku), zawiera szereg interesujących elementów. Jak z protokółu wynika, Grabski prosił przede wszystkim o ,,moralne poparcie'' Polski przez Ententę oraz o pomoc w zawarciu pokoju z Bolszewikami, (str. 503). Tyrada atakująca polski ,,imperializm'', jaką Lloyd George wygłosił przy tej okazji była znana, ale w tekście brytyjskim znajdujemy szereg pikantnych szczegółów. Na przykład premier brytyjski stwierdził, że Polska zajęła obszary zamieszkałe przez dwadzieścia do trzydziestu milionów Rosjan (str. 505) — Ukraińców dostrzegał on jedynie w Galicji Wschodniej — a później, w drugiej sesji, że Wilno może być jedynie przedmiotem sporu ,,pomiędzy Litwą a Rosją'' (str. 527).

Wypowiedzi Grabskiego brzmią niezwykle blado i wydaje się, że godził się on z wszystkimi zarzutami, wysuwanymi pod adresem Polski. Co więcej, po wysłuchaniu warunków dyktowanych przez Lloyda George'a, stwierdził że został upoważniony w Warszawie do przyjęcia tego typu warunków, co brzmi zaskakująco. Grabski powoływał się na telegram Sapiehy z dnia 6 lipca do konferencji w Spa — pełny tekst telegramu w brytyjskim tłumaczeniu jest również *novum* — który absolutnie nie wskazywał na to, aby Polska gotowa była przyjąć tak daleko idące ustępstwa (str. 505, 506). Jakkolwiek wiadomo jest, że Millerand nie stanął w Spa w obronie Polski, z protokółu wynika wyraźnie, że po ataku Lloyd George'a oświadczył, że ,,Rząd Francuski solidaryzuje się w pełni z brytyjskim punktem widzenia'' (str. 506).

W późniejszej dyskusji nad warunkami, które zostały przedstawione Grabskiemu do podpisania, premier usiłował widocznie, choć bezskutecznie, przeciwstawić się dyktatowi Wielkich Mocarstw. Uzyskał jedynie pewne zmiany dotyczące Linii Curzona. W pierwszym rzędzie Alianci zgodzili się na to, aby wojska sowieckie zatrzymały się o 50 km. na wschód od tej linii, a nie o 20, jak początkowo projektowano, a także, aby linia rozejmu we Wschodniej Galicji przebiegała wzdłuż linii frontu, co Lloyd George wyraźnie potwierdził (str. 530).

---

(1) *Documents on British Foreign Policy,* Ist. series, vols. VII, VIII (1958).

W trakcie dyskusji Grabski zapytał czy Polska może liczyć na wojskową pomoc aliancką, na co otrzymał odpowiedź przeczącą (str. 528). Niesłuszne jest więc twierdzenie, że Francja lub Wielka Brytania pozostawiły jakiekolwiek wątpliwości w tym zakresie.

Wśród innych ciekawszych elementów, protokół notuje wysiłki francuskie, aby nie traktować linii Curzona jako ,,linii ostatecznej'' (str. 516), o czym wprawdzie wiemy już z artykułu ambasadora Laroche'a: ,,La Question de Teschen devant la Conférence de la Paix'', w *Revue d'Histoire Diplomatique*, tom 62; ale co znajduje potwierdzenie w dokumentach brytyjskich.

Rozmowy prowadzone przez Lloyd George'a z Kamieniewem i Krasinem są kopalnią informacji dla historyka, zajmującego się polityką brytyjską wobec Rosji Sowieckiej i zawierają wiele uwag na temat Polski. Rozmowy między Lloyd George'em a Millerandem w Boulogne dostarczają również dużo nowych danych, dotyczących polityki obydwu mocarstw.

Protokoły z konferencji w Hythe (tzw. trzecia konferencja w Hythe, lub w Lympne) wnoszą wiele interesującego materiału, ale może najciekawsze ustępy odnoszą się do wyjątkowo drastycznych ataków na Polskę i Piłsudskiego, w których Millerand i Lloyd George prześcigali się na wzajem. Obaj mężowie stanu traktowali Polskę jako kozła ofiarnego, na którego można zwalić winę za wszystkie niepowodzenia. A więc krytykowali Polskę za agresję wobec Rosji, za brak realizmu, za wycofywanie się wojsk bez oddania jednego strzału (sic), za bezwład polityczny i chaos. Z uwag Milleranda wynika, że gdyby Polska nie stanowiła koniecznej z francuskiego punktu widzenia zapory przeciw komunizmowi oraz bariery oddzielającej Niemcy od Rosji, z radością pozostawiłby ją swemu losowi.

Millerand oświadczył na przykład, że z Polsce panuje taki chaos, że ,,w obecnej chwili naród polski w ogóle nie istnieje'' (str. 711). Lloyd George wtórował, mówiąc, że ,,najgroźniejszym wrogiem Aliantów są Polacy'' (str. 713). Żądania, wysunięte przez Francję i Anglię, aby Polska oficjalnie oświadczyła, że będzie walczyć do upadłego, stają się w pełni zrozumiałe dopiero w świetle rozmów w Hythe. Chodzi tu mianowicie o Piłsudskiego, którego zarówno Lloyd George jak i Millerand podejrzewali o granie podwójnej gry. Millerand stwierdził wyraźnie że ,,Piłsudski ma zapewne jeden jedyny cel, a mianowicie utrzymanie się przy władzy i dla osiągnięcia tego celu może jutro rokować z Bolszewikami'' (str. 734). Lloyd George oświadczył, że Piłsudski jest zapewne zdrajcą, czemu Millerand bynajmniej nie oponował. Co więcej powiedział on brytyjskiemu premierowi, że jest ,,gotów poświęcić Piłsudskiego Lloydowi George'owi'' (str. 740), ale przecież Polska musi być uratowana od komunizmu, a więc nie o to chodzi.

Na podstawie brytyjskich dokumentów łatwo jest wykazać raz jeszcze całą krótkowzroczność polityki brytyjsko-francuskiej w stosunku do Polski. Wyżej wzmiankowane cytaty pozwalają na potępienie nie tylko tej polityki, ale nawet sposobu rozumowania Milleranda i Lloyd George'a. Ale nasuwają się także i inne refleksje; czy w tym wszystkim nie było też trochę naszej własnej winy? Skąd czerpali swe informacje o Piłsudskim francuscy i brytyjscy mężowie stanu — czy nie z polskich źródeł? Kampania oszczercza, prowadzona przeciw Piłsudskiemu latem 1920 roku, jest ogólnie znana, a nie należy także zapominać o tym, że w momencie kiedy czerwona armia stała na ziemiach polskich, wewnętrzny kryzys polityczny i rozcietrzewienie walk partyjnych dochodziło do szczytu. Czyż Zachód tego nie widział? Często, zbyt często, opracowując rozdziały najnowszej historii Polski przeprowadzamy wyraźny podział pomiędzy problematyką polityki wewnętrznej i polityki zagranicznej. Potępiamy spory i kłótnie partyjne z jednej strony a potem mówimy o polityce zagranicznej, w której wykazujemy błędy mo-

carstw zachodnich i krytykujemy ich stosunek do Polski. Czyż nie istnieje *iunctim* pomiędzy wydarzeniami w samej Polsce a stosunkiem Aliantów do nas? Jakkolwiek będziemy krytykować błędy Zachodu w roku 1920, nie należy zapominać o tym, że z tych czy innych przyczyn nie potrafiliśmy wzbudzić na Zachodzie takiego zaufania do nas jak na przykład Czesi. Nie dotyczy to tylko wydarzeń z roku 1920, lecz także wielu innych faz polskiej polityki między wojnami. Analiza wpływu polityki wewnętrznej na zagadnienia międzynarodowe jest niekiedy niezmiernie trudna, ale jest ona również konieczna do zrozumienia całości obrazu. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o samobiczowanie się, do którego Polacy mają niewątpliwe skłonności, ale o bardziej krytyczny pogląd na historię Dwudziestolecia. Nowo opublikowane źródła i dokumenty brytyjskie dają pod tym względem wiele materiału do rozważań i refleksji.

Piotr WANDYCZ

Fundusz stypendialny im. Albina Radomskiego

Pragniemy przedstawić Czytelnikom „Kultury" rzadki przykład aktywnego podtrzymywania nie tylko polskiej tradycji ale i rodzinnej ciągłości. Oto leży przed nami dokument następującej treści :

Celem uczczenia 55 rocznicy założenia przez ALBINA RADOMSKIEGO przedsiębiorstwo (drogerii) w Strzelnie (Polska) Zarząd Spółki :

H. R. RADOMSKI & CO. Limited
Toronto (Canada)

czując się spadkobiercą Jego pracy, uchwałą z dnia 24 listopada 1958, ustanowił Fundusz Stypendialny

Imienia ALBINA RADOMSKIEGO

który ma służyć jako pomoc lub nagroda dla osób lub instytucji, zajmujących się naukami ekonomicznymi. Na poczet Funduszu wpłacone zostaje $ 1.000 i Fundusz ten będzie rocznie uzupełniany każdorazową uchwałą Zarządu Spółki, w miarę wypracowywanych przez Spółkę dalszych zysków.

Do Komitetu FUNDUSZU poproszeni zostali :

Prof. Stefan STYKOLT z Toronto (Kanada)
Jerzy GIEDROYC z Maisons Laffitte (Francja)

obok jednego przedstawiciela Spółki fundującej stypendium. KOMITET FUNDUSZU udziela i ustala wysokość stypendiów większością 2/3 głosów, w granicach aktualnie istniejących zasobów Funduszu, z ograniczeniem sumy $1.00 jako nienaruszalnej rezerwy kasowej.

Administracja Funduszu prowadzona będzie bezpłatnie przez Spółkę.

Board of Directors:

H.R. RADOMSKI	W. IWANIUK	M. RADOMSKI
president	v president	secretary

Certified translation: December 12th 1958

◆

Kimże był ów p. Albin Radomski, którego spadkobiercy w Kanadzie tak znamiennie postanowili uczcić?

Albin Radomski urodził się w 1882 w Mogilnie, woj. Poznańskie. W młodości — jak informują jego spadkobiercy — patrzył na pracę i działalność Ks. Piotra Wawrzyniaka, Patrona Związku Spółek Zarobkowych w Poznaniu. W ślad wskazań Ks. Wawrzyniaka, by rozbudowywać polski stan kupiecki, z drobnym kapitałem zakłada w roku 1904 drogerię w Strzelnie. W tymże roku powołuje tam do życia Towarzystwo Polskich Kupców, którego był prezesem aż do zgonu.

W roku 1909, z pomocą Polskiego Koła Parlamentarnego w Berlinie, skarży władze niemieckie domagając się sądownego uznania polskiej pisowni w metryce urodzenia swego syna, stwarzając precedens do oficjalnego uznania polskich imion na terenie b. zaboru pruskiego.

W Powstaniu Wielkopolskim jest członkiem Rady Ludowej i odznaczony zostaje Mieczami Hallerowskimi.

W okresie niepodległości jest Prezesem Rady Miejskiej, wielokrotnym członkiem sejmików powiatowych i wojewódzkich, Izby Przemysłowo-Handlowej oraz członkiem Rady Związku Kupiectwa Polskiego.

Z przekonania i czynów demokrata, odmawia przyjęcia odznaczeń uwarunkownych przychylnym ustosunkowaniem się do grupy przy władzy.

Zginął zamordowany w lesie Miradzkim przez hitlerowskiego okupanta w październiku 1939 r.

Tych, którzy dziś pochopnie zmieniają swe nazwiska, a synom nadają imiona strawne dla Anglików i Amerykanów — warto może poinformować, że p. Albin Radomski poprzez akcję w parlamencie niemieckim spowodował uchwałę sądu okręgowego (*Landesgericht*) na mocy której... „soll ein Strich ueber „l" in Nahme Radomil sein". Synowi p. Albina było na imię Radomił a nie „Radomil", jak chcieli go pisać Niemcy. Twardy Poznaniak przeprowadził zwycięską walkę o tę jedną kreseczkę decydującą o polskim brzmieniu imienia jego pierworodnego syna.

Potomkowie takich Polaków nie wynaradawiają się nigdzie o czym najlepiej świadczy przytoczony powyżej akt ufundowania stypendium.

◆

Komitet Funduszu jednomyślną uchwałą przyznał tegoroczne stypendium p. Andrzejowi Brzeskiemu, który robi doktorat z nauk ekonomicznych na Uniwersytecie Kalifornijskim, w Berkeley.

Nikifor

,,Nie trzeba zachęcać zwykłych talentów. Tylko to, co jest wyjątkowe, może mieć jakieś znaczenie dla świata'', mówił Goethe do Eckermanna. Ale kto ma stwierdzić, co jest wyjątkowe, kto ma rozróżnić geniusz od tego, co jest pospolite? Być może, wyjątkowe jest to, co nie ma do wyjątkowości pretensji: śmiałość połączona z pewnością siebie.

W epoce, w której ludzi bardziej pasjonuje oduczenie się tego, co umieją, niż nauczenie się czegoś nowego, prymitywy i naiwni mogą być pewni, że zawsze znajdą poklask. Nie zawsze ten prymityw, ten naiwny artysta na ten poklask zasługuje: może być z natury płaski, lub też sawantem pełnym hipokryzji, pozującym na naiwnego amatora. Ale NIKIFOR (1) jest rzeczywiście godny uwagi: zarówno jego życie, jak i jego dzieło są tym, czego wolno oczekiwać od autentycznego naiwnego malarza (Polacy wolą używać terminu: prymitywa). Spędził on życie w rodzinnej górskiej wiosce i, jak twierdzi, nie potrzebuje pieniędzy. Zarabiał na życie sprzedając na rynku swego miasteczka obrazy, których malowanie go bawiło; po nocach śnił, a w dzień malował to co widział we śnie. Ma być człowiekiem mało towarzyskim, a nawet od czasu do czasu agresywnym. Słowem, byłby cynikiem, gdyby nie był równocześnie mistykiem. Albowiem zarówno jego sny, jak i jego marzenia, których te obrazy są odbiciem, ilustrują świat pogodny, szczęśliwy, prawie że sakralny. Tak jest nie tylko ze względu na kościoły, które najbardziej lubi rysować — kościoły, które nie istnieją w świecie doczesnym i realnym — ale również ze względu na atmosferę quasi-religijnego skupienia, która przenika te jego obrazy. Skupienie (*recueillement*) jest najwłaściwszym terminem, albowiem sztuce NIKIFORA brak rozmachu lirycznego i profuzji kwietnej Seraphine de Senlis, brak cech idyllicznych i pasterskich Bauchant'a, brak wreszcie epickiej wielkości Rousseau. Gdybyśmy chcieli go porównać ze znanymi nam naiwnymi malarzami *miejskimi* (albowiem należy on do tej kategorii), to byśmy wykryli w jego sztuce punkty styczne z Gaillaud i Pivin, jeżeli chodzi o tematykę; natomiast Nikifor zachowałby odrębność dzięki swoistemu odczuciu religijnemu, nacechowanemu żarliwością i powagą.

Tematy, które dają mu natchnienie, albo raczej przez które

(1) W galerii Dina Vierny.

Jean Grenier, autor artykułu o Nikiforze, jest znanym filozofem i esseistą. Wydał ,,Les Iles'', ,,Existence malheureuse'' i szereg innych książek. Albert Camus jemu poświęcił ,,Człowieka Zbuntowanego''.

znajdują ujście jego właściwości medium — to oczywiście przede wszystkim kościoły, katolickie czy prawosławne, przy czym nasz malarz ma wyraźną słabość do świątyń o jak największej ilości okien, oraz bardzo dba o symetrię. Na spółkę z innymi malarzami prymitywnymi czy naiwnymi lubuje się on w mnożeniu obiektów i w symetrii, i tak jak u wielu innych prymitywów punkt ciężkości ustala w samym centrum obrazu, a domy i drzewa są poustawiane jakby wzdłuż dwóch ramion wachlarza, zwróconego swym otwartym półkołem w stronę widza. Podobnie jak inni malarze naiwni lubuje się w przeciwstawnych pokładach kolorów, które przedstawiają niebo; ich stopniowe blednięcie oddaje większe czy mniejsze oddalenie. Wszystkie te cechy są raczej charakterystyczne dla całej grupy malarzy naiwnych, niż dla poszczególnych artystów. Natomiast co jest indywidualne w wypadku NIKIFORA — to jakiś podkład uczuciowy, który nie daje się zanalizować, i nie daje się ująć w żadne teorie. Nasz artysta jest głuchoniemym i analfabetą, nigdy nie był w żadnym muzeum, nigdy nie opuścił swej rodzimej wioski, Krynicy na Łemkowszczyźnie (wioska ta stała się zdrojowiskiem). Lecz jego historiografowie, Ela i Andrzej Banachowie, powiadają, że uważa on siebie za ,,człowieka lepiej poinformowanego od innych, za powiernika Posłania'', że często samego siebie przedstawia jako biskupa, profesora czy sędziego. Odczuwa potrzebę pisania krótkich komentarzy u dołu swych obrazów : są one niezrozumiałe, ale świadczą o jakiejś potrzebie porozumiewania się z innymi ludźmi. Co chce on im powiedzieć? Prawdopodobnie chce wywołać przed nimi obraz Raju Utraconego, pragnie im wskazać drogę do niego — drogę ,,ubogich duchem''. Wydaje mi się, że w swym obrazie ,,Arka Noego''. Nikifor przedstawił samego siebie pod rysami kierowcy barki. W odmalowaniu tej Arki, w której zmieścić się mogą najwyżej dwie osoby, jego fantastyczna wyobraźnia ustępuje miejsca nastrojom mistycznym, bardzo słowiańskim — nastrojom wyczekiwania rychłego, bardzo rychłego zbawienia, na skutek zaginięcia świata, skazanego na zagładę.

Jean GRENIER

(Przełożył z francuskiego W.A.Z.)

Galerie Lambert

Powstałe prawie jednocześnie dwie polskie galerie: Galeria Grabowskiego w Londynie i Galeria Lambert w Paryżu to dwa wydarzenia pomyślne w naszym tu bytowaniu. Obie, jak mi się zdaje, mają podobne założenia, podobny cel zasadniczy. Ani jedna ani druga nie

jest pomyślana jako galeria o wystawach wyłącznie malarzy polskich. Założyciele mają ambicje wystawiania *tylko* malarzy z prawdziwego zdarzenia, a wśród nich także malarzy polskich, i tych z emigracji, i tych którzy przybywają tutaj z Polski. Nie znam malarskich warunków Londynu, ale jeżeli chodzi o Paryż, to ma on już ponad 200 galerii. Ambicja otwarcia nowej na ,,polskiej'' Wyspie Św. Ludwika (Biblioteka Polska, Hôtel Lambert, Księgarnia ,,Libella'') jest przedsięwzięciem śmiałym; zawdzięczamy je uporowi i rzadkiej energii jej dyrektora K. Romanowicza.

Nie pamiętam wiosny paryskiej, podczas której widziałbym trzy wystawy polskich malarzy z kraju i z których każda byłaby po swojemu znacząca.

Powiedzmy sobie otwarcie : o malarstwie polskim ludzie na Zachodzie nie wiedzą nic. Nie miało ono żadnego wpływu na malarstwo światowe. Tu, w Paryżu, jest to najbardziej widoczne, tu, dokąd jeździliśmy i gdzie uczyliśmy się najwięcej. Weźmy ostatnie dziesiątki lat : Żydzi z Europy wschodniej jak Sutin i Chagall, zaliczani nieraz do szkoły rosyjskiej, (chyba mylnie, bo w swej poezji, gwałtowności ekspresyjnej, są przede wszystkim żydowscy, a kulturalnie są związani z Paryżem), Niemcy jak Klee i Max Ernst, a nawet ekspresjoniści niemieccy, Rosjanie, jeżeli weźmiemy malarstwo dekoracyjne wprowadzone przez balety Diagilewa, malarze ostatniej doby od Puniego po Poliakowa i Nicolas de Staela, a ostatnio ekspresjoniści amerykańscy z Pollockiem na czele, nie mówiąc już o Katalończykach — od Picassa, Dali'ego po Clavego — wszyscy oni nie tylko *brali* z Paryża, ale na malarstwo Paryża *oddziałali* i istnieją tutaj w świadomości przeciętnego, kulturalnego człowieka. A przecież Makowski zdaje mi się malarzem nieporównanie większym od sławnego tutaj Grommaira, Czyżewski na pewno jest subtelniej, głębiej, bogaciej malarski od Noldego czy Kirchnera, a jeżeli popatrzeć wstecz to Boznańska przede wszystkim, ale i Pankiewicz, byli bardziej malarzami od sławnego Liebermana. A Waliszewski, a Cybis ? Jeden Kisling, o ileż pięter słabszy, trafił do paryskiego ogółu.

Już o wystawie Nikifora, skromnej i zachwycającej, powiedzieć możemy, że była sukcesem. ,,Express'' pisze o niej : ,,Nikifor dzisiaj w szpitalu maluje dalej, nie troszcząc się o to, że wśród tylu wystaw, jednej świetniejszej niż druga, jego wystawa jest w tej stolicy malarstwa może rewelacją roku''. Ale o Nikiforze pisze w ,,Kulturze'' Jean Grenier, czujny krytyk malarski i świetny zarazem pisarz.

Równocześnie z Nikiforem wystawiał Kantor, a teraz Dominik, zainaugurował swoją wystawą Galerię Lambert.

Z trudem rozróżniamy twarze Japończyków i Chińczyków, a dla nich my wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Malarzowi nieabstrakcyjnemu, jak ja, grozi podobny brak rozróżnienia.

Dlatego piszę z nieśmiałością o tych dwóch malarzach.

Kantorowi może zaszkodziła zbyt gwałtowna reklama ,,malarza Polski współczesnej''.

Znałem jedno jego płótno, wystawione zaledwie parę lat po wojnie, w Paryżu. Było ono pod silnym wpływem Picassa, mocne i efektowne. Potem dochodziły do nas wieści o jego walce ze żdanowizmem, o jego odwadze, za którą umiał zapłacić nie tracąc pasji malarskiej. Dziś pokazał nam płótna taszystowskie, z którymi nie potrafiłem nawiązać kontaktu.

Przypomniał mi, wprost z tuby wyciśniętymi smugami białej farby na czarne tło Mathieux, kałużami czerwieni obok kałuż czarnych i tą jakby obowiązkową techniką improwizacji — malarstwo opatrzone już w Paryżu. Na niektórych płótnach Kantora odczułem piękno paru zestawień barwnych, zgranych z czerniami furtek i szczelin liliowych. Na wielkiej wystawie amerykańskiej i Motherwell, i Stamos, i A. Gottlieb, a przede wszystkim

Jackson Pollock zafrapowali mnie silniej gwałtownością, drapieżnością i szaleństwem ogromnych płócien. Ale zastanawia mnie jedno, że może tylko *ogrom*, rozmiar tych płócien stwarza te efekty nowe, których malarz abstrakcyjny nie może narzucić widzowi, jeżeli ma do dyspozycji płótno „normalne". Myślę o Pollocku. On i jemu podobni malowali czy malują bluzgając farbą ze strzykawek, z podziurawionych pudełek blaszanych, z których leje się farba, rozcierają te farby palcami, nogami całym sobą ; nazywa się to „wchodzić w obraz". I cały ten obraz wyrasta z gry wypadków (*écriture automatique* surrealistów — tu miała także swój wpływ), z tańca derwiszów na rozłożonych na ziemi płótnach. Kogo z malarzy polskich stać na te beczki farb i kilometry płótna, z którymi tylko „Grunwald" i kurtyna Siemiradzkiego mogłyby konkurować. Czy tego rodzaju malarstwo nie woła o ściany ? Może i Kantor nie wciśnięty w ciasne mury półciemnej galerii dałby widzowi przeżycia bardziej przekonywujące i bardziej pokrewne obrazom Amerykanów.

Zasadnicza różnica pomiędzy abstrakcjonistą Dominikiem, a Kantorem to to, że obrazy Dominika nie wydają się improwizowane, a bardzo długo malowane i wzbogacane. Jego plamy barwne mają przy tym zupełnie inną genealogię : są jeszcze bardzo związane z postimpresjonizmem, z którego u Kantora nie ma już śladu. Dominik, uczeń Cybisa, jest jak najbardziej jemu pokrewny i w materii malarskiej, i w poszukiwaniach barwnych. Zawsze uważałem Cybisa za najbardziej abstrakcyjnego malarza wśród Kapistów ; dla niego chromatyka barwna, nowe gry i zestawienia były jakby wszystkim, natura zaś tylko punktem wyjścia, prawie nieważnym pretekstem. Bliski Bonnardowi, w tej odkrywczej pasji kolorystycznej, poszedł najdalej w kierunku „odrzeczowienia", w jakby zupełnej obojętności czy maluje gołębia, kobietę czy garnek. W okresie kiedy sam najsilniej przeżywałem wpływ tego malarza bił on nas wszystkich, nawet Waliszewskiego, jakąś tajemną wiedzą matematyki barwnej, bogactwem, rzadkością kombinacji. Do dziś nie znam następcy Bonnarda o tym smaku kolorystycznym.

Niemniej dopiero Dominik przecina „pępowinę" z naturą. Pozostaje *ekspresja* psychiczna, dotkliwiej odczuwana przez widza niż w obrazach Cybisa, ale absolutnie już ginie przedmiot, nawet cień asocjacji rzeczowej. Czy malarstwo tym jest wzbogacone ? Na pewno wzbogacone nowym doświadczeniem rasowego malarza. Co by na to powiedział, gdyby żył jeszcze, zawsze ciekawy młodych Bonnard, który mówił, że malarstwo abstrakcyjne zbawi malarstwo. Dla mnie ta szlachetna, w każdym płótnie inna, gama, jest przecież tym zubożona, ale nie jestem widzem obiektywnym, cały mój rozwój, od okresu najsilniejszej inkubacji Cybisem, szedł w przeciwnym kierunku, ku urzeczowieniu, nawet utematycznieniu obrazu.

Jest jeden obraz Dominika, który może był mi najbliższy, choć ma skazę, którą tak często wyczuwamy u postimpresjonistów : walor ostry i ciemny, czernie robią na tych płótnach wrażenie dziur. Ale właśnie na tym płótnie żółcie, zielenie i biele w swoim zgraniu zdawały mi się świetne. A obok obraz o ostrych czerwieniach, czerniach i bielach, skrzydlaty, dał mi znowu wyczucie możliwości artysty w gamie ciemnej, a wielkie kule słońca, złote i srebrne, w serii innych płócien na ultramarynach i fioletach mają również wymowę malarską.

Patrząc na obrazy malarza, co do którego autentyczności i wrażliwości nie mam powodu wątpić, stawiam sobie jeszcze i jeszcze pytanie do jakiego stopnia kierunki abstrakcyjne, od Malewicza i Mondriana, od Kandynskiego aż po Pollocka, Kantora i Dominika, które wyleczyły, wypaliły swymi promieniami dziewiętnastowieczną dominację tematu literackiego (wypalając jednocześnie ileż żywych tkanek ze sztuki), do jakiego stopnia są one przemijającą fazą sztuki, skrajnym punktem dojścia wahadła, czy też przeciwnie jest to dopiero *punkt wyjścia* malarstwa, w którym przedmiot nie

będzie mógł zaistnieć, gdzie cézannowska praca na naturze, o którą Cézanne do śmierci walczył, będzie tylko szacownym anachronizmem ?

Wiek przynosi uczucie przemijania, nie mody tylko, ale i *widzenia*, za każdym razem jakby obowiązującego na wieczność, ale i uczucie nieoczekiwanych nawrotów. Czy mógłbym uwierzyć w okresie panowania kubizmu, w 1924 roku, że młodzi malarze, że taszyści zaczną odkrywać z zachwytem Monety z ostatniej epoki jego życia, te genialne szkice do ,,Nympheas", (za które sam oddałbym i ,,Nympheas" i wszystkich taszystów), które ponad rok temu wystawiła Katia Granoff. Przecie wówczas wspominać Moneta było aktem wstecznym, prawie komicznym — panowali kubiści.



Wychodząc z Galerii Lambert, na rue St. Louis-en-l'Ile, pod wrażeniem płócien Dominika jeszcze więcej pokochałem przedmiot, jako element obrazu, tworzywo obrazu : szynki i sery na ciemnej gładkiej martwej van Schootena (Luwr), karafka z lekkim jej cieniem, padającym na ścianę i dwoma owocami (drobny fragment ,,Zwiastowania" Rogiera van der Weydena : Luwr), kapustę i melon rozcięty w geometrycznym obramieniu muru i stołu Cotana (San Diego, California), szklanki w ażurowym koszu Stosskopfa (Strasbourg) (1), czy suknia czerwona dziewicy bronionej przez św. Jerzego na białym koniu na tle brunatnych poletek i dziwnych wież w obrazie Ucella (Musée Jacquemart-André). Przypomniałem sobie wówczas wrażenie pozornie błahe, sprzed wielu lat, które we mnie utkwiło i jakby skrystalizowało mój stosunek do malarstwa i do świata. Jeszcze w okresie Proletkultu i Majakowskiego bolszewicy wydawali w Berlinie, głównej wówczas centrali emigrantów, pismo o sztuce. Miało ono na celu zwalczanie samego stylu przedwojennej sztuki symbolistów nastrojowców, od Bieławo i Gippius, aż po Kuzmina i Sewierianina, a na pewno również i przedwojennego Błoka. Pismo było skrótowe, agresywne i *konkretne* (wówczas w Polsce Bruno Jasieński pisał wiersze brutalne, sławiące zapach świeżej gazety i asfaltu ulicy). Pismo nazywało się ,,Wieszcz". To słowo po rosyjsku : ,,wieszcz" z miękkim znakiem na końcu, koniecznie z miękkim znakiem, znaczyło ,,rzecz", ale ten miękki znak słowo to oswajał, jakby je czynił w wymowie delikatnym. Rosjanie skasowali wówczas miękki znak i dzięki temu to słowo dźwięczało po nowemu, brutalnie i zwycięsko. Nie marzenia, nie subtelne metafory, nie greckie Apollony i symboliki, ale *rzecz* brutalna i konkretna.

Idąc po wąskim trotuarze tak przez nas ,,wychodzonej" Wyspy Świętego Ludwika, myślałem o mojej reakcji na Dominika, na jego malarstwo tak oderwane, i tak poetyczne, ale dla mnie zbyt ,,mgliste", i życzyłem mu, by *na nowo odkrył* tę ,,wieszcz" i na nowo się w ,,wieszczy" zakochał.

Dominik kocha Rafaela, mówi z pasją o martwych siedemnastowiecznych, z zachwytem o Poussinie — to wszystko znaczy bardzo wiele. Niech będę raz prorokiem : ten artysta o tak żywym instynkcie malarskim, i tak mało dogmatyczny, nie będzie trwał wiecznie w czystej, odrzeczowionej abstrakcji.

Józef CZAPSKI

(1) Te dwa płótna to wspomnienie wystawy martwej natury, którą zorganizował w Paryżu K. Sterling, bodaj w 1954 r. Są one reprodukowane w ,,La nature morts" Sterlinga. Ed. Pierre Tismé.

Szolem Alejchem

(W STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN)

W maju 1916 roku, a więc niemal przed 43 laty, zmarł w nowojorskiej dzielnicy Bronx człowiek, którego nazwisko mało było znane poza sferami żydowskimi. Pogrzeb jego był jedną z największych demonstracji w dziejach nowego Jorku. Trumna z prostego sosnowego drzewa nie miała żadnych ozdób. 120.000 osób kroczyło za karawanem. Nie było widać policji, panowała cisza i porządek. Widać było prawdziwą żałobę. Była to jedna z największych demonstracji w dziejach naszego miasta. Wiele fabryk i warsztatów przerwało pracę, wielu robotników wolało zrezygnować z zarobku aby oddać ostatnią posługę zmarłemu.

Czyja śmierć tak poruszyła masy, niemal wyłącznie żydowskie? Zmarły nie był magnatem, ani politykiem, ani gwiazdą ekranu... Był skromnym człowiekiem, ale ulubionym pisarzem. Zwał się Sholem Rabinowitz, ale każdy Żyd znał go jako Szolem Alejchem ,,pokój z Wami...''. W testamencie wyraził on życzenie, by go pochowano, nie między arystokratami czy potentatami, ale w gronie zwykłych robotników żydowskich, wśród prostego ludu. Pragnął mieć prosty napis na kamieniu. ,,Nie dyskutujcie'' — powiada — ,,problemu pomnika dla mnie, nie mógłbym spać spokojnie w grobie na myśl, że moi koledzy wygłupiają się. Moim jedynym pomnikiem będą moje dzieła, jeśli się znajdzie jakiś mecenas...''. Szolem Alejchem przebywał w Stanach Zjednoczonych zaledwie 2 lata, od r. 1914, i czuł się tu zawsze obcym, jakby wygnańcem. Mimo że od 11 lat nie mieszkał stale w Rosji, korzenie jego tkwiły zawsze tam, na dalekiej Ukrainie, wśród mas żydowskich w miasteczkach i miastach. Z przerażeniem patrzał na powolną amerykanizację żydostwa amerykańskiego, na grożący zanik kultury i języka żydowskiego.

Sholem Rabinowitz urodził się w r. 1859 w Perejesławiu, w gubernii połtawskiej, ale wczesne swe lata spędził w małej mieścinie Woronce. Życie w tym typowym miasteczku żydowskim wywarło niezatarte wrażenie na dziecku; ten świat stał się tłem jego opowiadań, powieści i dramatów. Woronka staje się później nieśmiertelną Kasrylówką, symbolem literatury jidiszowej. W młodych latach był Sholem naturą tryskającą dowcipami i kawałami. Ojciec, początkowo zamożny, traci majątek, rodzina wraca do Perejesławia. Ojciec ma tam zajazd, interesy idą kiepsko, młody Rabinowitz musi pomagać: obsługuje gości,

werbuje przejezdnych na stacji pocztowej. Po śmierci matki nastają ciężkie czasy. Ojciec żeni się po raz drugi; macocha, ustawicznie strofuje i przeklina chłopca. Sytuacja poprawia się gdy ojciec decyduje się wysłać syna do rosyjskiego gimnazjum. Sholem był doskonałym uczniem, utrzymywał się przeważnie z lekcji co podniosło jego *prestige* w domu ojcowskim i dało mu niezależność. Po ukończeniu szkoły średniej spędza Sholem 3 lata jako nauczyciel domowy w majątku Zofijówka blisko Kijowa u Elimmelecha Loewa. Lata te, w zamożnym domu, były może najszczęśliwsze w jego życiu. Tu poznał młodziutką córkę Loewa Olgę. Romans młodej pary nie trwał długo. Jak w powieści, dumny i bogaty ojciec nie pozwolił na ciąg dalszy i oddalił korepetytora. Ten przyjmuje posadę rabina rządowego w Lubieniu i zostaje tu do r. 1883. Teraz następuje zwrot pomyślny: happy end romansu. Rabinowitz otrzymuje błogosławieństwo starego Loewa, żeni się z swą dawną uczenicą, liczącą wówczas zaledwie 18 lat i pomaga teściowi w administracji majątku. Mieszka w Zofijówce, Białocerkwi i Kijowie. Szczególnie po śmierci Loewa, w r. 1885, wchodzi w sferę bogatej burżuazji, prowadzi rozległe interesy, gra na giełdzie. Epoka ta kończy się w r. 1890, gdy straty majątkowe prowadzą niemal do bankructwa. (Postać Menachema Mendla i jego Luftgeszefte w dziełach Szolem Alejchema są odgłosem tych lat). Potem przenosi się do Odessy, gdzie rozwija działalność wydawniczą, wraca do Kijowa, ale dopiero w r. 1900 wycofuje się zupełnie z interesów.

Początki działalności literackiej Szolem Alejchema sięgają lat 80-tych. Pierwsze jego listy i artykuły w języku hebrajskim na tematy wychowania i służby wojskowej ukazały się w r. 1882 w czasopiśmie *Ha Melitz*. Ogłasza też szereg opowiadań. Twórczość hebrajska urywa się w r. 1889.

Niemal równocześnie pisze po rosyjsku. Drukuje powieść, opowiadania i artykuły w *Jewrejskoje Obozrenije* i w *Kievlaninie*. Dodać należy, że Rabinowitz władał świetnie hebrajskim a szczególnie rosyjskim, w słowie i piśmie.

Jidisz był naturalnie zawsze jego głównym językiem potocznym. Ale literatura jidisz była wówczas dopiero w powijakach. W petersburskim czasopiśmie *Volksblat* ukazało się w r. 1883 jego pierwsze opowiadanie ,,Zwej szteiner''. Podpisuje prace Szolem Alejchem; ten pseudonim miał z początku zapewne na celu zachowanie tajemnicy autora ze względu na jego pozycję w świecie handlowym i towarzyskim. Musimy sobie zdać sprawę, że inteligencja żydowska posługiwała się przeważnie rosyjskim, nieraz hebrajskim i patrzała wówczas jeszcze z pogardą na język masy. Później oczywiście pseudonim Szolem Alejchem stał się symbolem wspólnoty autora z ludem żydowskim. Rozkwit *Jidisze Volksbibliotek*, rocznika literackiego wydawanego przez Szolem Alejchema od r. 1888, stał się *niezmiernie ważną* datą w dziejach literatury jidiszowej. Wydawca zaczyna płacić za artykuły, rzecz dotąd nieznana. Poziom intelektualny piśmiennictwa podnosi się

niesłychanie. Popularność Szolem Alejchema rośnie, mnożą się nakłady jego dzieł. Był on pisarzem niezmiernie płodnym. Od ,,Zwej sztejner'' w r. 1883 do ,,Fun Jarid'', który ukazał się w roku jego śmierci, wyszło 40 tomów jego pism w jidisz : nowele, powieści, sztuki teatralne, krytyka i inne. (Jedną z głównych pobudek, które kierowały nim, była chęć wyrugowaniu kiczu, który dotąd panował wszechwładnie w prozie jidiszowej).

Po pogromach r. 1905, Szolem Alejchem opuszcza Rosję i wraca tam tylko od czasu do czasu z odczytami. Objeżdża Europę i Stany Zjednoczone. Jego wystąpienia publiczne były istnym pochodem triumfalnym. W r. 1908, podczas pobytu w Mińsku, nabawił się choroby płuc; suchoty nie opuszczają go do śmierci. Do wybuchu pierwszej wojny światowej spędza lato w Szwajcarii, a zimę na włoskiej Riwierze. Był kilkakrotnie w Warszawie.

Szolem Alejchem miał wygląd intelektualisty, twarz żółta, schorowana i zawsze poważna, nawet gdy czytał najzabawniejsze ustępy swoich utworów.Pierwsza wojna zastaje go w Niemczech, nad Morzem Północnym ; ostatnim pociągiem wyjeżdża do Danii, a stamtąd do Stanów, gdzie pozostaje do śmierci. Żona jego zmarła w Stanach w r. 1942. Żyją — jeśli się nie mylę — 3 córki, syn, wnuki i wnuczki.

Szolem Alejchem uznany jest powszechnie za największego i najpopularniejszego z klasyków literatury żydowskiej. Żydostwo było dla niego nie stanem tragicznym, pełnym cierpień, nie gorzkim losem, lecz źródłem szczęścia, nieskończonym tematem podziwu i rozkoszy. Jest w jego twórczości zasadniczy typ : biedny Żyd wschodnioeuropejski, który mimo prześladowań, antysemityzmu, pogromów i biedy, zachował radość należenia do wspólnoty żydowskiej. Pisarz identyfikuje się z ludem, chce dzielić jego dolę i niedolę. A przy tym trzeba stwierdzić, że pochodził właściwie z zamożniejszej sfery średniej, że obracał się przez długi czas kołach wyższej burżuazji. Sfery te były częściowo emancypowane i pod silnym wpływem kultury europejskiej, w pierwszym rzędzie rosyjskiej. Sam był nauczycielem rosyjskiego, utwory jego wykazują wpływy Gogola, Turgeniewa, Czechowa a zwłaszcza Gorkiego. Mimo to chce być pisarzem ludu, zrozumianym przez wszystkich.

Wedle własnych słów zbiera on niejako historyjki i obserwacje jak przechodzień ; uważa się za urząd pocztowy, do którego Żydzi z Kasrylówki, Hajsyna lub Kijowa skierowują swe opowiadania lub kawały. Twierdzi, że nie wymyślił niczego. Mimo tej popularności i prostoty nie należy się łudzić. Ta prostota to właśnie najwyższy, niezrównany kunszt wielkiego artysty, genialnego pisarza. W przeciwieństwie do Mendele Mocher Sforim i do Peretza jest raczej obiektywnym realistą, ale realistą pełnym i zrozumienia miłości dla ludzkości. Są analogie i podobieństwa, choć nieraz tylko częściowe. Wspomnę tylko o Dickensie, który z pewnością zaważył na twórczości Szolem Alejchema. Jest podobieństwo z współczesnym mu Prusem, wątpię jednak

czy jeden znał prozę drugiego. O rosyjskiej literaturze już była mowa. Jest u Szolem Alejchema silne poczucie obowiązku społecznego; przypomina w tym ukraińskiego pisarza i poetę Iwana Franko.

Świat Szolem Alejchema to przeważnie świat ludzi małych i cierpiących, którzy jednak nie są ofiarami losu. Są to raczej ludzie bezbronni, których jedyną bronią jest *słowo*, pełne mądrości, wesołej ironii; nieraz drwią z samych siebie. Pełno jest gry słów, umyślnych przekręcań, wymyślonych miejscowości, jak Zołodijewka, Kozodojewka, lub Piszczi Jaboda. Sporo słów rosyjskich lub ukraińskich, które podaje za rosyjskie. Koloryt lokalny miasteczek doskonale odtworzony, miasta mniej mu się udają. Są piękne, choć nie częste, opisy przyrody.

Szolem Alejchem odkrył humor i radość żydowskiej ulicy, był pierwszym żydowskim pisarzem, u którego znajdujemy śmiech wyzwalający. Jak każdy wielki humorysta nie umiał pisać wielkich powieści, jego humor nadaje się raczej do małych szkiców. Postacie jego to przeważnie typy reprezentacyjne dla danej grupy; tematem jego był w gruncie rzeczy żydowski *kolektyw*, nie indywiduum. Autor rzadko wnika bezpośrednio do wnętrza postaci. To wnętrze można odczuć z rozmów i monologów autora lub postaci; te dialogi i monologi to *zasadniczy* element techniki pisarskiej. Są też świetne opisy.

Galeria typów Szolem Alejchema, wśród których przeważa *shlemil* — niedołęga i *shlemazl* — pechowiec, jest rozległa. Ktoś powiedział, że gdyby wszystkie źródła znikły, można by odtworzyć z jego dzieł obraz życia żydowskiego w Rosji na przełomie 19 i 20 wieku.

Szolem Alejchem otworzył żydostwu okno na świat, a równocześnie pokazał światu prawdziwe oblicze Żyda niezasymilowanego. Świat nieżydowski przedstawiony jest u niego niemal wyłącznie z punktu widzenia żydowskiego i służy do podmalowania tła. Dlatego świat ten jest często nierzeczywisty, dla Żydów niezrozumiały i nieraz śmieszny. Mamy np. takiego inspektora czy rewizora Agamemnona Afonagenowicza Plisetzkiego, którego Żydzi po prostu nazywają Haman Ivanowicz. Trochę on zamyka Żydów, nieraz ich gnębi, ale na ogół nie może sobie z nimi dać rady. W porównaniu z prawdziwymi Hamanami lat późniejszych to człowiek stosunkowo ludzki. Mały cytat: „mieliśmy różne rodzaje rewizorów, dobrych i złych, takich, którzy brali łapówki i takich, którzy nie tknęli kopiejki z wyjątkiem podarunku noworocznego lub urodzinowego, którego przecież nie można odmówić...". W niektórych utworach porusza Szolem Alejchem w sposób lapidarny ale wstrząsający, problemy ogólne. W opowiadaniu „Powrót z cmentarza" znajdujemy skondensowany ale kunsztowny obraz nastrojów 1905 roku, atmosfery rozczarowań, samobójstw młodzieży, Sanina itd. Socjalizm, syjonizm i inne prądy z wielkiego świata podminowują zwarty świat żydowskiego miasteczka. Szolem Alejchem był bodaj pierwszy z pisarzy żydowskich, a na pewno pierwszy w

literaturze jidiszowej, który znalazł wzruszające akcenty dla dzieci i zwierząt.

Utwory Szolem Alejchema ukazały się w wielu krajach, w pierwszym rządzie w Rosji sowieckiej i Stanach Zjednoczonych w imponujących nakładach. W samej Rosji sprzedano w latach 1917-42 około 3 miliony egzemplarzy w jidisz.

Po długiej przerwie ukazało się przed kilku tygodniami nowe sowieckie wydanie w jidisz, oraz nowe rosyjskie tłumaczenia jego dzieł zebranych.

Dzieła Szolem Alejchema tłumaczone były na 20 języków, łącznie z japońskim i esperanto.

Mimo, że pisał dla swoich, w języku mało znanym, stał się znaną i podziwianą osobistością w literaturze światowej; szczególnie w Rosji i w innych krajach słowiańskich, w Niemczech, ostatnio też w Stanach Zjednoczonych. Tołstoj, Gorki i inni pisarze o sławie wszechświatowej wielbili jego geniusz.

Szolem Alejchem stał się częścią tradycji żydowskiej. W soboty podawano gościom herbatę z konfiturami i jego opowiadania. Nawet Żydzi zaasymilowani, którzy żydowskiego nie znali lub zapomnieli, słuchali jego opowiadań i jakoś je rozumieli. Także ortodoksyjni Żydzi nie mogli się oprzeć jego urokowi.

Renesans Szolem Alejchema, który rozpoczął się po jego zgonie, osiągnął zenit w epoce międzywojennej i trwa dalej. Czy można żądać więcej?

Alfred BERLSTEIN

Ewa i socjalizm

Po wieloletniej przerwie, do której przyczyniły się takie pomysły jak przenoszenie na ekran powieści J. Korczaka ,,Król Maciuś Pierwszy" w wersji socrealistycznej, pierwszym obrazem z powodzeniem wyświetlanym na Zachodzie był ,,Kanał" Wajdy. Obecnie, po roku, drugim z kolei jest brawurowa groteska T. Chmielewskiego ,,Ewa chce spać".

Jest to ,,film z kluczem", fantazja z łatwym do odgadnięcia szyfrem prowadzącym do rzeczywistości, poufny żart, dostępny w pełni tylko dla wtajemniczonych w abrakadabrę polskiej codzienności, w sekrety języka i aluzji, w pandemonium wisielczego optymizmu, w wesołość zakrapianą przekleństwami. A jednak publiczność angielska raz po raz wybucha śmiechem i nawet bije spontaniczne brawa. Od dzieciństwa wychowywani na przemyślnych nonsensach ,,Alicji w krainie czarów", na niespodziankach komizmu Leara, bawią się doskonale spiętrzonymi w chwiejną piramidę paradoksami komedii Chmielewskiego. Nic im nie przeszkadza ani zagmatwana krzyżówka akcji, ani egzotyka dziwacznego ustroju, w którym za umowną fasadą kryją się ciągłe niespodzianki. Zresztą Chmielewski zgoła

przypadkowo trafił na receptę filmową idealną dla Anglii: urocza dziewczyna, sentymencik, nieśmiały erotyzm, nieśmiała władza i nastrój niemal, że powrotu do dziecinnej zabawy w złodziei i policjantów. Gdyby jeszcze Ewa, przedwcześnie przyjeżdżająca do szkoły zawodowej w prowincjonalnym mieście, szukała noclegu razem ze swym pieskiem i zacny piesek ocalił jej niewinność, triumf byłby zupełny.

Na ogół bowiem nie spostrzeżono się, że jest to satyra, oparta bardziej na rzeczywistości niż na fantastycznych, surrealistycznych pomysłach; że jest to film posiadający znaczenie społeczne mimo całej swej niefrasobliwości, a nie pastiche staroświeckiej farsy.

Cudzoziemiec bawi się na „Ewie" jak na wznowieniu archaicznych prymitywów Macka Sennetta z zarania Hollywoodu czy jak na jednoaktówkach Chaplina. Ta sama rzecz dla polskiej publiczności zmienia się po trosze w festiwal opozycji, po trosze w kinowe święto narodowe z racji, iż jednak „pozwolili", a także w nagłe, wstrząsające i wzruszające, zanurzenie się w swojszczyznę bałaganu i biedy. A można też podczas wyświetlania „Ewy" czuć się jak Włosi, których za granicą nagle żenują słynne neorealistyczne obrazy, bezceremonialnie pokazujące przykre kontrasty ślicznej Italii.

Londyński „Daily Herald" napisał, że komedia Chmielewskiego jest przestarzała i jako pomysł i jako rodzaj dowcipu o dobre lat 30. Socjalistyczny dziennik nie uchwycił, że dla osłonięcia bezceremonialnej nagości politycznej wielu żartów konieczne były choćby przewiewne szatki groteski i bajeczki dla niegrzecznych dzieci. Poza Polską może to istotnie wyglądać na wzorowanie się na „Drôle de drame" M. Carné, na spóźnione odkrycie luminarzy z prowincji, w kraju jednakże mogło być nieodzownym osłodzeniem pigułki. Chyba bowiem tylko dzięki przeniesieniu akcji w nieodpowiedzialny świat operetkowej groteski udało się wyśmianie i policji i chaosu planowania i biurokratycznej gmatwaniny życia, epigramatycznie streszczonej w haśle kobiecego hostelu robotniczego: „Unikaj rozpusty — nie spotykaj się z własnym mężem".

Przy swych niebywałych wybrykach satyra Chmielewskiego, choć mocno rozwierzgana, w istocie rzeczy pozostaje dobroduszna i dobrotliwa. Jest w niej raczej pogodne pogodzenie się z niedoskonałością udoskonalonego świata niż pasja ataku. Przecież nie może być naprawdę groźna policja, z której wolno tak bezgranicznie kpić, nie może być groźna administracja, której pomyłki tak łatwo się ośmiesza! W owej swoistej „orwellizacji na wesoło" prowincjonalnej dziury zawsze w końcu zwycięża rodzimy duch kmiotka-roztropka i cwaniaka-andrusa. Nadwiślański Dyl Sowizdrzał jest nieśmiertelny i kpi z każdej władzy.

Ewa (Barbara Kwiatkowska, wybrana na konkursie „Przekroju" na nowe gwiazdy dla filmów polskich) ma delikatną urodę, sarnie nogi, piękne oczy o siedmiomilowych rzęsach, co wszystko razem sprawia, że przy pustej kieszeni najszczęśliwszym rozwiązaniem, jakie może jej zapewnić los i policja, jest ławeczka w parku. Zawsze lepszy to nocleg od celi aresztu dla prostytutek czy pierzynka z nie wiadomo kim. Zanim jednak się dobrnie do tak bezpiecznej przystani dla niewinności, trzeba po drodze i „sprzedawać cegłę", i zadawać się z kasiarzem odzianym przez uczynny komisariat w mundur policjanta, ukrywać się w opancerzonym składzie amunicji, obrywać kieszenie chudego płaszczyka zgrabnymi granatami i wprawić w ruch utajoną złośliwość rzeczy martwych, nie mówiąc już o pobudzeniu naturalnej chytrości żywych istot. Narastającego imbroglio nie powstydziłby się René Clair; wreszcie węzełka nie da się rozplątać i film na zakończenie zażartuje z samego siebie.

Na festiwalu w San Sebastian dano pierwszą nagrodę niebywałemu polskiemu skrzyżowaniu Marksa z Sennettem, satyry ideologicznej ze zwa-

riowanym kabaretem. Wpływ studenckiego kabaretu, tej najżywszej cząstki teatru powojennego w Polsce, jest wyraźny, jednocześnie dobry i szkodliwy. Najszkodliwszy dla kompozycji, dla drobnych epizodów, granych jak osobne skecze. Z młodej satyry wywodzi się śmiałość i werwa, ale też i fragmentaryczność, chwiejność tonu, uproszczony komizm scen rozgrywających się w komisariacie. Chmielewski raz trafia w setkę, a raz wypuszcza cel spod strzału. Tempo się załamuje, akcja popada w letarg, awanturnicze pomysły osłabia niemrawy montaż. Kiedy indziej zaś kłopotem staje się nadmiar pomysłów, wywołujący dublowanie sytuacji. Film ma np. dwa zabawne początki, starczyłby jeden.

Ale ta komedia zapowiada zdolnego reżysera, ma ogromne poczucie humoru, naturalny komizm. Doskonały jest L. Benoit jako smutny kasiarz, Kwiatkowska bardziej czaruje samą obecnością na ekranie niż grą, jej kobiece obietnice nie dorównują na razie, aktorskim, lecz swoboda, wdzięk, bezpretensjonalność otwierają drogę ładnej debiutance. Starsi aktorzy często wpadają w teatralną przesadę, w rodzaj gry sprzed Stalina i Hitlera; młodsi mówią sztucznie, z ciągłą pamięcią o mikrofonie, o szkolnie poprawnej dykcji. Ale to dziury w całym, bo całość jednakże podbija widza jako wybuch spontanicznej wesołości. ,,Ewa" powstała z potrzeby wyszumienia się po kalwińskiej surowości i nudzie poprzednich lat. Jest to kocia muzyka po dręczącej ciszy, łobuzerskie przekłucie nadętej błony pseudo-socjalistycznego purytanizmu. Gratulacje. Nie trzeba przecież aż arcydzieła by się śmiać i cieszyć i bawić. I pomóc ludziom wykpieniem niejednej bzdury, namaszczonej i uświęconej sloganami.

Zdzisław BRONCEL

Nadesłane nowości wydawnicze

Angielsko-polski i polsko-angielski Słownik Rolniczy. Opracował inż. roln. L. Woronowicz. Str. 267. (Wyd. staraniem Związku Rolników Polskich w W. Brytanii, Londyn oraz The East Europe Institute, New York, Londyn 1959, cena 18 sh.).

ŻYWINA (Józef). *Wilcze zioła*. Poezje. Str. 52. Winieta tytułowa i obwoluta Tadeusza Terleckiego. T.V. „Londyńskiej Biblioteki Literackiej". (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1958. Cena 7 sh.).

SOWIŃSKI (Kazimierz). *Dzień Dominika*. Sztuka w trzech aktach. Str. 104. Winieta tytułowa Tadeusza Terleckiego. Obwoluta Janiny Chrzanowskiej. T.I. „Londyńskiej Biblioteki Literackiej". (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1958. Cena 18 sh.).

BIEŃKOWSKA (Danuta). *Między liniami*. Wiersze. Str. 32. „Arkusz Poetycki". Nr 3. (Wyd. Staraniem Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie. Nakład: B. Świderski, Londyn, 1959. Cena 3 sh. 6 d.).

FLUKOWSKI (Stefan). *Wiersze*. Str. 38 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1958).

ZIMMER (Szczepan K.). *Stanisław Wyspiański*. A Biographical Sketch. Translated by Halina Maria Zimmer. Str. 90 i 4 nlb. Z licznymi fotografiami w tekście. (Nakładem autora, Chicago, Ill., USA, 1959).

Pamiętnik 50-cio lecia Polskiego Uniwersytetu Ludowego w Stanach Zjednoczinych. Chicago 1908-1909 — 1958-1959. Str. 36. (Nakładem Polskiego Uniwersytetu Ludowego w St. Zjedn.).

BRZĘKOWSKI (Jan). *Przyszłość nieotwarta*. Poezje. Str. 37 i 3 nlb. (Nakładem Oficyny Poetów i Malarzy, Londyn, 1959).

FISCHLOWITZ (Estanislau). *Cristoforo Arciszewski*. Str. 155 i 5 nlb. (Nakładem : Ministero da Educaçao e Cultura. Serviço de Documentaçao, Rio de Janeiro, 1959).

The Wayside Willow. Prose and Verse. Translated from the Polish by Members of Klub Polski of Columbia University. Str. 50 i 20 nlb. (Edited by Marion Moore Coleman. Loretta M. Bielawska, Student Editor, New York 1945, cena dol. 2).

Alliance Bulletin. Announcement for 1959-1960. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Alliance College. Alliance Technical Institute, Cambridge Springs Pa, USA).

Western Ukraine under the Bolsheviks. IX. 1939 — *VI*. 1941. Compiled by Milena Rudnycka (w jęz. ukraińskim). Str. 494 i 2 nlb. (Wyd. Shevchenko Scientific Society in USA, Inc., New York, 1958.

NAZARKO, OSBM (P. Dr I.). *Beatus Papa Innocentus XI et Ucraina*. (w jęz. ukraińskim). Str. 18. (Przedruk z „Logos'u", Yorkton, Sask., Kanada, 1958).

KARPENKO-KRYNYTZYA (Petro). *„Return Friend"* (Poezje w języku ukraińskim). Str. 51 i 1 nlb. (Monachium, 1958).

Babay. Wiersze ironiczne, satyryczne i komiczne. (w jęz. ukraińskim). Str. 111 i 1 nlb. Ilustracje Edwarda Kozaka. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1959).

BRZĘKOWSKI (Jan). 18 *Coplas*. Poezje. Ilustracje Franciszka Prochaski. (150 egz. tłoczonych na prasie ręcznej w pracowni M. i F. Prochasków, Aix en Province, 1959. Cena frs 2.000).

SZERMENTOWSKI (Eugeniusz). *Pan Henryk*. Str. 425 i 9 nlb. Tom VI. Serii Białej (Premiowej) „Biblioteki Polskiej". (Nakładem Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas", Londyn, 1959).

RADZYMIŃSKA (Józefa). *Bar pod Prometeuszem*. Sceniczny obraz symboliczny. Str. 32. (Nakładem autora, Buenos Aires, 1958).

ŚWIAT-IHNATOWICZ (Irena). *Jak żyje nowa klasa w Polsce*. Str. 52. (Wyd. „GRYF", Londyn, 1959).

BROMKE (Adam). *Poland's Rough Road To Socialism — Gomulka's Dilemma*. Str. 615-1 (30). (Odbitka z Queen's Quarterly, Vol. LXV, Winter, N⁰ 4).

LOZINSKI (B. Philip). *The original Homeland of the Parthians*. Str. 55. (Wyd. Mouton & Co.-S-Gravenhage, 1959).

Uwaga, fałszerstwa! Str. 174. Opracował Zespół Zachodniej Agencji Prasowej. (Wyd. Wydawnictwo Zachodnie, Poznań-Warszawa, 1959).

Listy do Redakcji

Londyn, 11 kwietnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Uprzejmie proszę o łaskawe umieszczenie niniejszego listu w najbliższym numerze „Kultury".

Z prawdziwym obrzydzeniem przeczytałem artykuł p. Stanisława Mackiewicza „Mise au point" w numerze 4/138 „Kultury". Jestem czytelnikiem „Kultury" od pierwszego numeru jego ukazania się, ale tak obrzydliwego artykułu nie spodziewałem się czytać na jego łamach.

Uważam, że ks. prałat Meysztowicz nie potrzebuje żadnej obrony, ale wydaje mi się, że czytelnicy mają prawo dowiedzieć się o ks. prałacie czegoś zbliżonego do prawdy, i to w ramach jego wystąpień publicznych, a nie ściśle prywatnych, które należą tylko i wyłącznie do niego samego.

Ks. prałata Meysztowicza nigdy na oczy nie widziałem i nie wiem jak wygląda. Korespondencja moja z nim zaczęła się jeszcze przed wojną, gdy po ukazaniu się II tomu „Rocznika Wołyńskiego" zwrócił się listownie do mnie, by przysyłać po dwa egzemplarze „Rocznika" do Stacji Naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Rzymie, co zrobiłem.

W 1949 r. wypadło mi nawiązać korespondencję z ks. prałatem Meysztowiczem w związku z „aferą" tzw. „Uprowadzenia polskich sierot z Afryki do Kanady" (o tym zob. artykuł ks. Łucjana Królikowskiego w „Poradniku Kulturalno-Oświatowym" Nr 210 z grudnia 1958). Odtąd korespondujemy z ks. Prałatem w sprawach naukowych.

Z działalności naukowej ks. prałata Meysztowicza należy wspomnieć : stworzenie Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie, który wydaje cenny periodyk „Antemurale".

Ks. prałat Meysztowicz wydał : *Repertorium bibliographicum pro rebus polonicis Archivi Secreti Vaticani* (1943), *De Archivo Nuntiature Varsaviensis quod nunc in Archivo Secreto Vaticano servatur* (1944), *Poselstwo Mieszka I do Abderamana III kalifa Kordoby w* r. 955 (drukowane w „Kulturze" (1950), *Polsko-morawska księga w Bibliotece Watykańskiej* (1950), *Manuscriptum Gertrudae filiae Mesconis II regis Poloniae* (1955), *Koronacje pierwszych Piastów* (1957), *L'insegnamento del decretum di Graziano in Polonia* (1958), *Św. Kazimierz* (1958), *La vocation monastique d'Otton III* (1959), *Szkice o św. Brunonie-Bonifacym* (1958). To pozycje znaczniejsze i mające nieprzemijającą wartość naukową. Prócz tego zredagował i wydał cztery tomy „Antemurale".

Wydaje mi się, że wymienienie tych najważniejszych pozycji naukowych mówi samo za siebie, kim jest i co robi ks. prałat Meysztowicz.

Kończę z wyrazami prawdziwego żalu, że ten artykuł p. St. Mackiewicza ukazał się właśnie w „Kulturze", którą sobie tak cenię.

Raczy WPan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku

Jakub HOFFMAN

Buenos Aires, 23 kwietnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha !

Najuprzejmiej prosząc o zamieszczenie powyższego specjalnie zaznaczam, że nie idzie mi o urażenie kogokolwiek, a tylko o wprowadzenie szczypty zdrowej radości w ten kącik cennych „Listów do Redakcji", czasem niestety zgryźliwy, często zbolały. Racz przyjąć, Redaktorze, stosowny pokłon.

Witold GOMBROWICZ

P.S. : — Przy sposobności pragnę podzielić się z Rodakami radosną wiadomością. Nie jest tak źle z Literaturą Polską w świecie ! Recenzja w jednym z najpoważniejszych paryskich miesięczników literackich o pewnej powieści, niedawno wydanej w języku francuskim kończy się cytatem z Danta : „tu duca, tu signore e tu maestro !"



Londyn, 20 kwietnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Jestem pełen admiracji dla talentu p. W.A. Zbyszewskiego i całkowicie zgadzam się z jego wywodami w sprawie różnicy w znaczeniu i implikacjach słów „import" i „przywóz" oraz słów „współistnienie i „koegzystencja". Muszę jednak stanowczo zrzec się zaszczytu autorstwa „szpetnych" zdaniem Zbyszewskiego „fantazyjnych nowotworów", jak np. błonica zamiast dyfterytu, oraz „dusznica" zamiast angina pectoris.

Obydwa użyte przeze mnie terminy lekarskie weszły do mowy potocznej. Nie są ani noworodkami ani nowotworami. Są to słowa starsze ode mnie i od p. Zbyszewskiego. O dusznicy bolesnej pisał znakomity kardiolog 19 wieku Józef Pawiński. Nazwa błonica zaś znacznie lepiej oddaje istotę choroby niż dyfteryt czy krup, gdyż nasuwa obraz błony powstającej na śluzówce gardzieli. Przytoczę zabawny ustęp z „Przeglądu Lekarskiego" (1895 !) : „Błoniczy czy błonicowy ? Nie ulega wątpliwości, że jak mamy tętnica — tętniczy, dziewica — dziewiczy, gruźlica — gruźliczy, surowica — surowiczy, tak również być musi błonica — błoniczy".

Łączę, Panie Redaktorze, najlepsze pozdrowienia.

Henryk SPEEDBY-SZPIDBAUM



Australia, kwiecień, 1959.

Szanowny Panie !

Proszę uprzejmie o zamieszczenie tłumaczenia mojego listu wysłanego do redakcji „Observera".

„Chief Editor of OBSERVER

Szanowny Panie !

W związku z wywiadem ze mną ogłoszonym w Pańskim piśmie z dnia 18 kwietnia br. chciałbym zamieścić parę sprostowań.

1. Wszystkie przymiotniki użyte przy opisie Gomułki są przytoczone niewłaściwie.

2. Byłem więźniem politycznym za czasów stalinizmu a nie po dojściu Gomułki do władzy.

3. Współredaktorów nie straciłem z przyczyny Związku Młodzieży Socjalistycznej.

4. Do Indii wyjechałem nie na Ludową Wycieczkę, lecz na stypendium Teodora Parnickiego.

5. Osobiście nie groziło mi stracenie posady, jak też i pismu nie zagrażało bezpośrednie zamknięcie.

6. Nie wierzę by zniszczenie kultury polskiej było możliwe przez kogokolwiek.

Jestem pewien, że wszystkie powyższe pomyłki wynikły z mojego raczej złego niż „doskonałego" angielskiego i pragnę podziękować panu Hastings, że mimo tej trudności był w stanie tak świetnie porozumieć się ze mną.

Z poważaniem

Leszek SZYMAŃSKI"



Nowy Jork, 20 kwietnia 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Długo sobie łamałem głowę, jaki list napisać do redakcji „Kultury", żeby zwrócić na siebie uwagę. Czułem że muszę napisać, bo skoro takie są prawidła gry, nie wolno mi ani się uchylać, ani wyrzekać ich wykorzystania. Jeszcze kto powie że arogant, bo za skromny. W przesadnej skromności zawsze siedzi arogancja, a skromność już mi pan Zbyszewski zarzucił, więc tylko patrzyć. Wiem też tak samo dobrze jak wszyscy, że duża większość czytelników zaczyna lekturę pism od listów do redakcji, a wielu na tym ją kończy. Trzeba więc stanąć na tej arenie, żeby kto nie powiedział, że nimi pogardzam. Tylko co napisać ? Poklepać któregoś z kolegów-pisarzy po plecach, mówiąc że geniusz ? W nadziei że odpłaci tym samym ? Wpleść zręcznie do zdania na inny temat relację o dalekim kuzynie, który opowiadał anegdoty na poziomie najgłupszych czytelników ? Żeby i oni coś z tego mieli ? Wszystko to już było i za duża konkurencja. Pozostaje wobec tego tylko jedno : pretensja pod adresem Redaktora za umieszczenie na okładce kwietniowego numeru nazwiska pana Zbyszewskiego cienkim drukiem i mojego tłustym. Pan Zbyszewski napisał artykuł o mojej „Podróży do Europy", której część znajduje się w tym samym kwietniowym numerze. Dlaczego okładka obwieszcza artykuł o artykule zamiast artykułu ? Bo ja dostałem się na okładkę tylko dzięki tytułowi pracy pana Zbyszewskiego. Od kiedy komentarze do Szekspira są ważniejsze niż sam Szekspir ?

Jeśli znowu wpadnę na jakiś zarozumiały pomysł, zaraz napiszę jeszcze jeden List do Redakcji, a tymczasem łączę wyrazy poważania i szacunku.

Wacław SOLSKI

P.S. : — Artykuł pana Zbyszewskiego o sobie przeczytałem z zadowoleniem. Ze wszystkich Gombrowiczów najbardziej mi się podoba pan W.A. Zbyszewski.

Londyn, 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Ze zdziwieniem przeczytałem list amb. M. Sokolnickiego (*Kultura* nr 3 z marca br.) w obronie gen. Sosnkowskiego, zwłaszcza że w liście tym pisze, że ,,generał nie potrzebuje obrony — ni cudzej ni własnej''.

Nie chcąc przedłużać dyskusji na temat rzekomej rozmowy Sosnkowski — Wilson w Casercie ograniczę się do głównego argumentu polemiki ze mną.

Pan M. Sokolnicki twierdzi, że ,,relacja uczestnika rozmowy, dopóki nie wywołała zaprzeczenia ze strony drugiego uczestnika rozmowy, pozostaje wiarogodnym dokumentem historycznym''. Teza ta jest nie do utrzymania dla rzetelnego badacza historii, a to z następujących powodów : 1) często drugi uczestnik rozmowy nie żyje i dlatego nie może odpowiedzieć na to, co o nim się po latach wypisuje, 2) nawet jeśli żyje, może nie wiedzieć co o rozmowie z nim się napisało.

W omawianej sprawie jednak istnieje zaprzeczenie marszałka Wilsona, z którego amb. Sokolnicki zacytował jedynie słowa : ,,że jej (i.e. rozmowy) nie pamięta''. Jest nim fotokopia dwustronicowego, własnoręcznego listu marszałka Wilsona, ogłoszona w krajowym tygodniku ,,7 dni'' (1 września 1957) rozsyłanym swego czasu dla rozbijania i tak już rozbitej politycznie emigracji polskiej. Myślę, że Kultura przyczyniłaby się wielce dla najnowszej historii polskiej ogłaszając obok siebie relację gen. Sosnkowskiego z przedmowy do książki gen. Sosabowskiego i list marszałka Wilsona z tłumaczeniem na język polski.

W ten sposób czytelnik będzie miał możność porównania obu tekstów i może sam osądzić, kto i kiedy starał się go ,,w błąd wprowadzić''.

Na inne poruszone przez p. M. Sokolnickiego tematy, a szczególnie na jego swoiste poczucie humoru odpowiadać nie mam zamiaru.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Andrzej W. TRENCZYŃSKI

◆

Toronto, kwiecień 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

Trudno mi uwierzyć, by Wacław Solski chciał się chwalić swoją ignorancją odnośnie osiągnięć kulturalnych Szwajcarii rzucając pytanie : ,,czy może ktoś wymienić, choćby po dłuższym namyśle, wielu szwajcarskich pisarzy, kompozytorów, malarzy o zasługach i sławie, przekraczających granice tego kraju ?''.

Owszem, bez chwili namysłu — w toku czytania tego zdania — wpadły mi następujące, wcale nie liche, nazwiska : W. Fritsch, doskonały dramaturg, nie przynoszący wstydu Duerrenmattowi, Paul Klee, bliższe wyjaśnienia zbędne, Artur Honegger, Ernst Bloch i dalsi kompozytorzy : Jean Binet, Adolf Bruner, Ithmar Schoeck.

Wreszcie jeszcze jedna uwaga. Twórczość Duerrenmatta, nie tylko dramatyczna, już wystarczyłaby, aby Szwajcaria zajęła na przestrzeni 50 lat poczesne miejsce w literaturze światowej. Jakaż szkoda, że uszło to uwagi Solskiego.

Z wyrazami poważania

Benedykt HEYDENKORN

Berkeley, 17 maja 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

W artykule „Mise au point" w kwietniowym zeszycie „Kultury", Stanisław Mackiewicz dzieli emigrację na trzy rodzaje ludzi. Zapomniał o czwartej i najliczniejszej kategorii — o tych, którzy zostali na emigracji po prostu dlatego, że im na obczyźnie żyć *wygodniej* (Zagłoba powiedziałby: „żyć przystojniej") zarówno w sensie materialnym jak i *psychicznym*. Oczywiście przeciętny emigrant z tej czwartej kategorii zaprotestuje gorąco, jeżeli mu się powie, że pozostaje na emigracji dla względów tak bardzo osobistych i oświadczy, że wybrał wolność, że pozostał na znak protestu itp. No ale takich protestów na serio traktować nie można.

W czasach zamierzchłych, bo jakieś 10 lat temu, Stanisław Mackiewicz pisał, że na emigracji powinni pozostać „....prezydent, rząd, wybitni publicyści i politycy a reszta powinna wracać do kraju". Może więc i dziś Stanisław Mackiewicz nie tyle zapomina o tej czwartej kategorii, ile uważa, że ta szara „reszta" w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Wyrazy szacunku łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI. 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: *cała strona* 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs. (*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 2e *trimestre* 1959

KULTURA

REDAKTOR : **JERZY GIEDROYC**
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Vsaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga Swirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		**4 dol. am.**	**6 dol. am.**
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	250 fr.	1.300 fr.	2.600 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — A.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	**285 fr.**	**1.500 fr.**	**3.000 fr.**
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **Roman J. Sas-Babczynski,** 164 Indian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedyńczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 250 frs.